KSIĄŻEK POBOŻNYCH
dla wiernych każdego stanu
Tom XXXVII.

NAUKA
WIARY I OBYCZAJÓW
W PRZYKŁADACH

zebrana z różnych autorów

przez

X. Kazimierza Riedla T. J.

Wierz, a zrozumiesz. (Św. Aug.)

TOM PIĄTY.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU" FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1892.

MAW

Nie zawiera nic przeciwnego wierze i obyczajom.

X. Teodozy Sozański T. J.

Nr. 3745.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

+ A. Card. Dunajewski

Kraków, dnia 13 Września 1892 r.

Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

III. Ciało i Krew Pańska.

D. Msza święta.

(Dokończenie).

Osobliwsza Msza.

Znany francuzki publicysta Ludwik Veuillot pisze w liście z Rzymu 10 maja 1870 bardzo obszernie o biskupach misyjnych, mianowicie o apostolskich wikaryuszach, a na końcu podaje ciekawe zdarzenie:

Jeden z tych wikaryuszów, będąc jeszcze zwyczajnym misyonarzem, został od swego biskupa do oddalonej okolicy posłany, aby zbadał, czy tam będzie stósowne miejsce do osiedlenia się kapłana. Przybył do celu swej podróży bez pieniędzy i środków do powrotu. Za ostatniego dolara kupił sobie flaszkę wina, aby mógł Mszę św. odprawiać, a to było najwyższą i jedyną pociechą jego w tak kłopotliwem położeniu. Miejsce to było zamieszkałe; byli tam i Europejczycy a mię-

dzy nimi Francuzi. Pozdrowił ich tedy w ich ojczystym języku, ale ci nie pozdrowili go nawzajem dlatego, że był kapłanem. Zamieszkał tedy pod drzewem w niejakiem oddaleniu od domów, w których nie mógł znaleźć gospody i całemi tygodniami żywił się w braku chleba nieznanemi korzonkami, które na chybił trafił znalazł i skorupiakami, które spożywał surowo, bo nie miał ich w czem ugotować; nieustanna jednak dzikość tych ludzi była dlań największą męczarnią, gdyż wszystkie prośby jego były daremne. Nieraz rzucił mu mieszkaniec tejże wioski jakie słowo obelżywe i oddalił się. Nikt go nie chciał słuchać, ani tem mniej ręki mu podać, ani starzec ani dziecko. Nie tracił nadziei, lecz nienawiść ku Bogu, jaką pałali ci ludzie, rozdzierała mu serce a siły jego nikły, febrą i zgryzotą osłabione.

Jednego dnia zbliżył się doń wysoki i piękny mężczyzna i zapytał go, pozdrowiwszy:

— Za pozwoleniem, czy masz pan co jeść?

Był to kapłan, którego biskup wysłał, aby go odszukać. Prawie konał z głodu i pragnienia, i nie miał środka ani tamtego kapłana z sobą zabrać, ani sam powrócić. Ubóstwo biskupa i nieznajomość kraju były przyczyną, że nic przy sobie nie miał. Tylko miłość mogła go dotychczas przy życiu zachować. Upadł na ziemię i prosił o trochę strawy. Tamten podał mu skorupiaki, który-

mi się głównie żywił, ogromne muszle tak obrzydliwe, że sam ich widok w zgłodniałym wstręt wzbudzał. Jakoż nie mógł ani wziąść ich do ust i było widocznem, że z głodu musi umrzeć.

W kilka dni potem misyonarze ci rozciągnieni na spieczonej żarem słońca ziemi, całkiem wyniszczeni febrą i robactwem mówili jeden do drugiego:

— Umieramy tutaj; niech jeden z nas zbierze ostatek sił i odprawi ostatnią Mszę św., niech poda drugiemu Komunię św. i w ten sposób Panu naszemu ofiarę chwały złożymy.

Była to uroczystość Wniebowzięcia N. Panny. Ciągnęli losy, który z nich miał Mszę św. odprawić; los padł na tego, co pierwszy przybył. Leżąc przed ołtarzem z ziemi, odprawia Mszę św. za konającego brata i za siebie, myśląc, że wkrótce i sam musi umrzeć.

Może dwadzieścia razy musiał zaczynać, tracąc często nadzieję, czy skończy — a ta istotna Msza konających prawie trzy godziny trwała. Wreszcie mógł konającemu podać Komunię świętą. Ten spoglądał z tkliwością na kapłana, co u stóp ołtarza leżał, a tamten budował się niewinnością i gorliwością apostolską młodego kapłana, który zaledwie zacząwszy pracować, musiał umierać i ofia-

rował jego i siebie Bogu za dusz ludzkich zbawienie.

Po Mszy św. położył się celebrans obok swego towarzysza i tak obaj czekali na śmierć. W nocy umarł młody kapłan. Uścisnął swego brata w Chrystusie, który tylko z wielkiem wysileniem rękę na głowie konającego brata na znak pożegnania i błogosławieństwa mógł położyć.

Gdy zaświtało, szło kilku podróżnych koło tego miejsca. Ujrzeli umarłego a obok niego konającego. Donieśli o tem do wsi; skoro mieszkańcy o tym wypadku się dowiedzieli, zmiękczyły się twarde ich serca. Więc gromadnie wyszli, przynieśli świeżej wody i pokarmu, a misyonarz jeszcze żyjący uczuł wreszcie, jak go ktoś uścisnął za rękę. Nie byli to już ci sami ludzie. W miejscu ołtarza wykopali grób i spuścili weń zwłoki zwycięzkiego kapłana; potem podnieśli chorego i trzymali go nad brzegiem grobu, aby go poświęcił. Na jego prośby zcięli wielkie drzewo, zrobili zeń krzyż i zatknęli na świeżym grobie.

Tak tedy krzyż nową tę ziemię wziął w posiadanie.

Obecnie wznosi się tam miasto z kościołem i liczy tysiące katolików, którzy tak chętnie słuchają słów biskupa, jak drodzy są sercu jego, a biskupem tym jest ów mi-

syonarz, którego zrazu tak okrutnie od siebie odepchnęli.

— Udaję się tam tak często jak tylko mogę — rzekł mi kończąc opowiadanie. Trudno mi łez powstrzymać, a serce moje pełne jest zachwytu nad dziwnemi zrządzeniami Bożemi. Ale gdym u podnóża owego krzyża do ludzi chciał przemówić, nie mogłem nic powiedzieć, jak tylko kilka słów bez związku.

Oto sposób, w jaki się krzyż zaszczepia i korzenie zapuszcza, jak kościół powstaje i rośnie, jak okolica w ciemnościach i zdziczeniu pogrążona zamienia się w biskupstwo.

Louis Venillot.

(Sendbote d. g. Herz. Jesu 1870. 7).

Skuteczność Mszy św.

Msza św. jest skutecznym środkiem do otrzymania od Boga wszelkich łask i darów. Oto zdarzenie, o którem opowiadał O. Piotr de Smet T. J., misyonarz Oregonu w Ameryce północnej.

Pewnego dnia roku 1853 znajdował się O. de Smet z kilkoma urzędnikami państwowymi w twierdzy będącej w pobliżu dzikich Indyan ze szczepu Siju, którzy chcieli mówić z białymi. Twarz mieli zamazaną węglem, na znak żałoby i wydawali żałosne jęki. Rozkazano wprowadzić ich do sali.

Skoro weszli, ten, który prowadził cały ten zastęp i był zarazem naczelnikiem całego szczepu Siju, zabrał głos mówiąc, że jest najnieszczęśliwszym ze wszystkich ludzi.

— W wojnie z Krukami (tak się zwał inny szczep Indyan), straciłem córkę, która jest w mocy nieprzyjaciół. Chciałbym ją uwolnić za każdą cenę i przychodzę do białych aby prosić o pomoc.

Następnie ujrzawszy Ojca de Smet, który był w sutannie, zbliżył się doń z ufnością i rzekł:

— Słyszałem o „czarnych sukniach“ i wiem, jak wasze „lekarstwo“ (t. j. religia) jest potężne; jeżli za mną zechcesz się wstawić do Wielkiego Ducha, to córka moja z pewnością do mnie powróci!

Ojciec de Smet odrzekł:

— Wielki Duch jest wszechmocny i może ci z łatwością powrócić twą córkę. Ale być może, że tego nie uczyni, bo twoje serce nie jest dobre. Mam powód słuszny do mniemania, że On jest niezadowolony z wojny, którą wydałeś Krukom, i że cię dlatego ukarał utratą córki. Jeżli przyrzeczesz, że na przyszłość będziesz dobrym, że będziesz dobrze rządził szczepem Siju i przygotujesz ich do przyjęcia Chrztu św., ja za ciebie ofiaruję Mszę św. i przedstawię twoją prośbę Wielkiemu Duchowi.

Ta odpowiedź napełniła go pociechą i otu-

chą: obiecał wszystko, czego ojciec de Smet żądał i pożegnał go mówiąc: — ten dzień jest najpiękniejszym w mojem życiu.

Po ośmiodniowej podróży, powrócił do swego szczepu i natychmiast zwołał jak najwięcej mężów. Opowiedział im całe zdarzenie i rzekł:

— Mam niepłonną nadzieję ujrzeć mą córkę, jeźli wszyscy żałować będziecie za wasze zbrodnie i przyrzeczecie dobrze się sprawować.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy nagle dały się słyszeć okrzyki radości na końcu równiny: młoda branka powracała do ojca. Ten, nie posiadając się z radości, uściskawszy córkę wśród łez wdzięczności, rozkazał jej, aby opowiedziała swe przygody. Posłuszna ojcu tak opowiadała:

— Zamknięto mnie do więzienia, gdziem wiele dni długich i smutnych przeżyła. Przedostatniej nocy (t. j. tej która nastąpiła po dniu w którym Msza św. za nią odprawioną została) jakiś człowiek przyszedł do mnie, zdjął ze mnie kajdany, dał mi pożywienie, otworzył drzwi mego więzienia i powiedział mi, abym wracała do ojca. Było bardzo ciemno a ja nie znałam drogi; nieznajomy ten człowiek z początku mnie prowadził; a następnie wskazał mi kierunek drogi i odszedł. Szłam cały dzień nie zatrzymując

się, bom wiedziała, ze Kruki pójdą za mną w pogoń.

Koło wieczora przyszłam nad brzeg rzeki nie głębokiej, puściłam się i przeszłam ją w bród, wstąpiłam na łąkę, która się rozciągała na drugiej stronie rzeki i obaczyłam znaczną liczbę wielkich drzew. Między niemi było jedno bardzo stare, na pół spruchniałe i wydrążone. Tam się schroniłam i sądziłam, że mogę bez obawy odpocząć i posilić się nieco.

Wtem usłyszałam krzyki i głosy ludzkie: byli to Krucy, którzy się za mną w pogoń puścili. „Ona tędy szła, mówili, patrzcie oto ślady jej nóg na piasku“. Przeszli przez rzekę jak ja, biegali po łące na wszystkie strony, ale nie mogli znaleźć nigdzie mojego śladu. Stanęli – potem szli obok drzewa w którem się znajdowałam, mówiąc: „Gdzie ona mogła pójść?“ Rozglądali się na wszystkie strony, a na myśl im nie przyszło, zaglądnąć do wnętrza drzewa. Nareszcie zatrzymawszy się jeszcze jakiś czas, i nie wiedząc, w którą stronę mają iść dalej, powrócili tąsamą drogą którą przyszli.

Wtenczas odetchnęłam swobodnie; całą noc w tej kryjówce spędziłam, a nazajutrz puściłam się w dalszą drogę i oto teraz powróciłam do mego ojca.

To rzekłszy, rzuciła się w objęcia swych rodziców, a naczelnik jej ojciec, napłakawszy

się długo z radości, oświadczył wobec całego swojego szczepu, że religia białych jest jedynie dobrą i że wszyscy powinni się przygotować do jej przyjęcia.

Ojciec de Smet, dowiedziawszy się o tem nadzwyczajnem uwolnieniu właśnie po odprawieniu Mszy św. na tę intencyę, podziwiał skuteczność Najśw. Ofiary.

(Schouppe Instr. relig. T. III, 224).

O czci Serca P. Jezusa.

Ze czcią Najśw. Sakramentu Ołtarza łączy się ściśle cześć Serca P Jezusa, a to z dwu przyczyn: 1) że Serce P. Jezusa jest częścią najzacniejszą Bożego Ciała; 2) że Serce Pana Jezusa miłością ku nam pałające, czyli miłość Serca Jezusowego jest źródłem N. Sakramentu; tym bowiem Sercem swem P. Jezus nas do tego stopnia ukochał, że Ciało i Krew swoją nam na pokarm i napój zostawił.

Błogosławiona Małgorzata Alacoque.

(†17 Października).

Święta Katarzyna Seneńska pytała dnia jednego Pana Jezusa, czemu chciał aby Mu bok po śmierci otworzono; P. Jezus zaś na to jej odpowiedział:

— Chciałem ludziom tajemnicę mego Serca odsłonić, aby poznali, że miłość moja

większa jest, jak zewnętrzne jej znaki, bo gdy dla mych cierpień jest granica, to miłość moja jest bez granic! Droga ukochana córko! Cierpienia zmysłów nie mogą iść w porównanie z cierpieniami duszy!

Szczególniejszym też sposobem święta Gertruda od tego Serca została wyszczególniona i cała istota jej zapłonęła świętą miłością ku temu Boskiemu Sercu. Jedno z pamiętnych miejsc w pismach tej Świętej, które jasne światło rzuca na cześć Najsł. Serca Jezusa jest następujące:

— Do rozlicznych łask, któremi mnie obsypałeś, o mój Jezu, dodałeś nieoszacowane znamię przyjaźni i poufałości, żeś mi Twe Najśw. Serce, tę chwalebną arkę Bóstwa, jako źródło nader obfite wszystkich mych rozkoszy darował. Za pośrednictwem tego świętego Serca objawiłeś mi najskrytsze tajemnice, udzieliłeś mi najczystszych rozkoszy i serce me dziwnemi sposobami wzruszałeś. Oddaję Ci więc teraz o mój Panie i Boże to, co jest Twoje i przez to Boskie Serce ofiaruję Ci moje uwielbienia i śpiewam Ci hymny pochwalne, które Ci się należą!

Lecz nie te Święte wybrał Pan Jezus do ogłoszenia nabożeństwa do Serca swego. Święta Gertruda wyraźnie mówi, że Pan zachował nabożeństwo do swego Boskiego Serca na późniejsze wieki, jako ostatni wysiłek

swej Boskiej miłości. Tem wybranem naczyniem do ogłoszenia tego tak miłego nabożeństwa, była Siostra Małgorzata Marya Alacoque, zakonnica Nawiedzenia N. P. Maryi. Jak niegdyś Magdalenę wybrał Pan Jezus, aby ona zwiastowała nawet Apostołom Zmartwychwstanie Jego, tak w drugiej połowie XVII stulecia wybrał P. Bóg Maryę Małgorzatę t. j. perłę ukrytą przed światem w ogrodzie zakonnym, aby ona ogłosiła światu nabożeństwo do Najsł. Serca Jego; a jako Magdalenie nawet uczniowie i Apostołowie nie chcieli wierzyć, że Pan istotnie zmartwychwstał, ba nawet uważali to jako złudzenie: tak i Maryi Małgorzacie nawet kapłani i biskupi przez długi czas wierzyć nie chcieli, i owszem, uważali ją jako obłudnicę, od szatana oszukaną, która własne mrzonki za objawienie Boże podaje. Ale jako dziś każdy prawowierny chrześcijanin wierzy w Zmartwychwstanie Pańskie, tak każdy prawowierny katolik wierzy dziś w objawienie Serca Jezusowego, już nie dla Małgorzaty, ale dla tego, że najwyższa Głowa Kościoła, Rzymski Papież objawienie to uznał za prawdziwe i cześć N. Serca Jezusa usilnie wiernym poleca. Posłuchajmy historyi tego objawienia:

Jednego dnia, kiedy przed N. Sakramentem klęczała Małgorzata, przenikło ją nagle dziwne uczucie osobliwszej obecności Bożej. Objawił się jej Pan Jezus, a dozwoliwszy

jej długo, jak niegdyś św. Janowi spoczywać na Boskich swych piersiach, odsłonił jej po raz pierwszy niepojęte tajemnice swego uwielbienia godnego Serca. Rzekł bowiem do niej:

— Oto Serce moje, które taką miłością pała ku ludziom, a szczególnie ku tobie, że płomieni swej gorącej miłości nie może już dłużej w sobie zatrzymać i zmuszone jest przez twoje pośrednictwo objawić je ludziom, aby się mogli wzbogacić skarbami, których im tak gorąco udzielić pragnę. Odsłaniam ci wysoką wartość tych skarbów: są to łaski uświęcenia i zbawienia, aby ród ludzki, z przepaści zatracenia wybawić. Obieram ciebie za pośredniczkę pomimo twej niegodności i niewiadomości, aby się tem wyraźniej pokazało, że wszystko dzieje się przezemnie.

Po tych słowach wziął serce Małgorzaty i zanurzył je w swojem, które jakby jakie morze ogniste zabłysło i oddał je jej. Jako dowód, że to objawienie nie było płodem rozbujałej wyobraźni, został jej na rozkaz Boskiego Oblubieńca swego, silny i trwały ból w lewym boku.

Gdy innym razem przed wystawionym Najśw. Sakramentem klęczała w modlitwie zatopiona, ujrzała ukochanego Mistrza swego w promieniach z pięcioma ranami, jakby jakie słońca jasnemi, a osobliwie pierś jego

zdała się być morzem ognistem; a gdy ją przed Małgorzatą otworzył, pokazując jej Boskie swe Serce, obaczyła, że Ono jest źródłem tych płomieni. Objaśnił jej cuda swej miłości, do jakiego stopnia ludzi umiłował i jako ich niewdzięczność najboleśniejszem cierpieniem dlań była ze wszystkich męczarni. Oto jak się skarżył:

— Gdyby mnie ludzie nawzajem miłowali, wszystko zdawałoby się dla mej miłości drobnostką, com dla nich uczynił; i owszem chciałbym dla nich gdyby to możliwem było, jeszcze więcej uczynić; ale oni tylko oziębłością mi płacą za miłość, a za tkliwość moją tylko pogardą: więc ty mi udziel jakiej pociechy i wynagrodź mi w ten sposób ich niewdzięczność według możności.

Małgorzata przedstawiła Panu Jezusowi słabość swą i nieudolność, ale Jezus jej odpowiedział:

— Oto masz nadobfite środki, abyś mogła niemi zastąpić to, na czem ci zbywa!

Mówiąc to, otworzył swe Serce, z którego wypadały ogniste płomienie, które zdawały się pożerać serce Małgorzaty tak, że wielką miłością zapłonęła. Prosiła tedy Mistrza swego usilnie, aby się zlitował nad jej niedołęztwem, mówiąc, że nie zdoła znieść takiego nadmiaru łask.

— Ja wzmocnię twoją słabość, ja będę twoją siłą — odrzekł Jezus, — nie bój się

nic; ale bądź posłuszna memu głosowi, abyś się mogła przygotować na spełnienie moich zamiarów.

Następnie podał jej sposób, w jaki ma czcić Jego Najśw. Serce.

— Masz *w każdy pierwszy piątek* miesiąca przystępować do Komunii św., w celu przebłagania mnie; w nocy z czwartku na piątek uczynię cię uczestniczką mojego smutku i owej śmiertelnej trwogi, której doznałem w Ogrodzie oliwnym; między jedenastą a dwunastą, masz z twarzą ku ziemi pochyloną wraz ze mną przejednać Boską sprawiedliwość błaganiem o miłosierdzie dla grzeszników i w ten sposób osłodzić mi smutek i opuszczenie jakich doznałem przez ucieczkę moich uczniów.

Najważniejsze jednak objawienie otrzymała w oktawie Bożego Ciała.

Małgorzata klęczała znowu przed N. Sakramentem, cała płonąca świętą miłością i pałając pragnieniem oddania się Panu Jezusowi w najdoskonalszej ofierze. I nagle stanął P. Jezus przed nią i w odpowiedzi na tęsknotę jej serca rzekł:

— Nie możesz mi większej przysługi wyświadczyć, jak czyniąc to, czego już tak często od ciebie żądałem.

I pokazując jej płonące Serce swoje, dodał owe słodkie, niezapomniane a dziś po

całym Kościele katolickim rozbrzmiewające słowa:

— Oto Serce, które tak dalece ludzi ukochało, że niczego nie żałowało, aby się aż do wyniszczenia samego siebie posunąć i w ten sposób miłość im swą okazać; a miasto podzięki odbieram od największej ich części niewdzięczność przez brak uszanowania, przez świętokradztwa, przez oziębłość i pogardę, jaką mi w tym Sakramencie miłości płacą. Co mnie jednak najbardziej boli, to to, że właśnie serca, które mi są poświęcone, tak sobie postępują. Dla tego żądam od ciebie, aby piątek po oktawie Bożego Ciała na osobliwszą uroczystość czci mego Serca przez Komunię i uroczyste przeproszenie był poświęcony, aby Mu wynagrodzić za zniewagi, które znosić musi, gdy jest wystawione na ołtarzach. Przyrzekam ci także, że moje Serce się rozszerzy i pełnemi strumieniami wyleje swą miłość na tych, którzy mi tę cześć wyrządzą.

— Ależ najwyższy mój Panie — odrzekła Małgorzata, do kogóż to Ty się udajesz? Do mnie nędznego stworzenia, do mnie, nędznej grzesznicy, której niegodność sama przez się już twe zamiary zniweczyć zdoła?

— Czyż ty nie wiesz — odrzekł P. Jezus — że ja używam słabych, aby zawstydzić mocnych? że ja zwyczajnie na najmniejszych, na ubogich duchem, moją potę-

gę w najjaśniejszym blasku pokazuję, aby stworzenie nic nie przypisywało sobie?

— Więc daj mi, o Panie, daj mi środek do spełnienia Twego rozkazu! — rzekła Małgorzata, poddając się woli Jezusa.

— Udaj się do mego sługi (O. Klaudyusza de la Colombière), — rzekł Zbawiciel — i powiedz mu w mojem imieniu, aby uczynił co tylko może, iżby to nabożeństwo ustanowione było i aby mi przez to sprawił tę świętą pociechę; niech się nie zraża trudnościami jakie napotka; niechaj wie, że ten jest wszechmocny, który sobie nic ufając, we mnie swą ufność położy.

Wielebny Ojciec Klaudyusz de la Colombière był kapłanem od Boga ku temu celowi wybranym. Był on od niejakiego czasu kierownikiem duchownym Małgorzaty. Mąż rzadkich przymiotów duszy i szczerej pobożności, należał do grona synów św. Ignacego, który nieustannie starali się gorliwie o chwałę Bożą i dla tego pod każdym względem mógł być zdolną podporą Małgorzaty. Poznał ducha jaki ożywiał tę pokorną dziewicę a gdy mu opowiedziała ostatnie objawienie, poświęcił się bez odwłoki, 21 czerwca 1675 r. w piątek oktawy Bożego Ciała, we dług sposobu od Małgorzaty podanego Najświętszemu Sercu Zbawiciela — na zawsze. Wkrótce jednak musiał się udać do Anglii, ale i podczas pobytu swego tamże, znosił

się zawsze listownie z Małgorzatą. Obie te święte dusze, nietylko przez gorącą miłość Jezusa, ale także przez niewysłowione cierpienia złączone, pocieszały, umacniały i pouczały się nawzajem jak ich Duch Boży natchnął.

Nastąpiły teraz dla Małgorzaty ciężkie chwile cierpień, chwile wielkiej trwogi i wewnętrznych katuszy, z zewnątrz upokorzenia i zupełne opuszczenie od Boga. Zdawało się że Pan Jezus podwaja w niej zdolność do cierpienia, aby jej serce oczyszczone od wszelkiej skazy, mogło cierpieć wraz z Jego Sercem. Aby ją wykształcić ku tak wysokiemu posłannictwu, do jakiego ją przeznaczał, chciał Jezus, aby złożyła z siebie zupełną ofiarę na ołtarzu Jego Serca. Spełniły się na niej owe obietnice, jakie już przed tem od Pana otrzymała, gdy do niej rzekł:

— Jedz i pij ze stołu mych rozkoszy i posilaj się, abyś mogła odważnie postępować; bo droga jest długa i uciążliwa, i będziesz musiała się umęczyć i na mojem Sercu spoczywać. Weź moja córko krzyż, który ci daję, zaszczep go w swem sercu, miej go zawsze przed oczyma, noś go w swych objęciach; on ci da uczuć najprzykrzejsze katusze, ale katusze ukryte przed oczyma ludzkiemi; towarzyszyć ci będą nieustannie: głód bez nasycenia, pragnienie bez zaspokojenia, upał niczem się nie dający ugasić.

Małgorzata cierpieniami oczyszczona i wzmocniona, nie należała już do siebie; pożerało ją gorące pragnienie zatopienia swej woli zupełnie i na zawsze w woli Bożej. Na to pragnienie odpowiedział P. Jezus rozkazem, aby przez heroiczny akt poświęcenia, siebie samą woli Jego Boskiego Serca zupełnie do rozporządzenia zostawiła. Małgorzata posłuchała wesołem sercem i podpisała ten akt własną krwią swoją. W nagrodę za to poddanie się ustanowił ją dziedziczką wszystkich skarbów swego Boskiego Serca; nazwał ją wielce ukochaną uczennicą swego Serca, ofiarą całopalną swej miłości.

Tymczasem obrano Małgorzatę na mistrzynię nowicyuszek. Komu ten urząd poruczają temu całą przyszłość klasztoru powierzają, gdyż przy niejakiej gorliwości i miłości ze strony mistrzyni nie może się obejść bez tego, aby w czasie próby tak pojętne i dobrze usposobione dusze aspirantek, nie przejęły się duchem i usposobieniem tej, która jest ich kierowniczką i wzorem na drodze życia, na którą z świętą jakąś bojaźnią i pobożną trwożliwością wstąpiły.

Małgorzata przyjąwszy ten urząd z wewnętrznym wstrętem jedynie na rozkaz Zbawiciela, oddała się temuż z gorliwością niestrudzoną. W nowicyacie była podobnie jak artysta w swojej pracowni. Z bystrością znawcy przenikała dusze nowicyuszek i pra-

cowała nad niemi z miłością, która nigdy się nie nuży, aż zobaczyła, że Oblubienice Chrystusowe stały się jak najpodobniejsze do Boskiego Oblubieńca swego.

Trudy jej uwieńczył Bóg skutkami najpomyślniejszemi.

W tem świętem kółku głosiła nasamprzód nabożeństwo do Najśw. Serca Jezusowego. Było to w roku 1685. Dnia 20 lipca przypadły jej imieniny. Nowicyuszki chciały swą mistrzynię uczcić stosownemi powinszowaniami, mowami, śpiewami. Małgorzata umyśliła cześć, którą jej wyrządzić chciano, obrócić ku Sercu Pana Jezusa. Kazała im tedy w sali nowicyatu ustroić ołtarz. Przyniosła ze sobą mały obraz Serca P. Jezusa własnoręcznie na papierze wymalowany i postawiła go na ołtarzu. Potem upadła na kolana i w niewypowiedzianym zachwycie oddała się Sercu swego Pana i Mistrza w ofierze a po niej spełniły nowicyuszki w największem skupieniu i gorącości ducha ten sam akt poświęcenia.

— O drogie siostry — zawołała Małgorzata w świętej radości, jakąże rozkoszą napełniłyście mnie, przez to wspólne oddanie się i poświęcenie Sercu Jezusowemu! O jakże jesteście szczęśliwe, że was ku temu wybrał, aby to nabożeństwo nasamprzód do życia wzbudzić! Prośmy bez przestanku, aby Jezus w sercach wszystkich ludzi zapanował!

Ale jednak i teraz nie brakło kropli goryczy, która do wszystkich jej pociech zawsze była przymięszana. Skoro ta mała prywatna uroczystość po klasztorze się rozniosła, wystąpiły głosy przeciw tej nowości, a Małgorzata ujrzała się wkrótce między swoimi niezrozumianą, opuszczoną i prześladowaną. Ale Pan Ją pocieszył i obiecał jej, że właśnie Zakon Nawiedzenia nabożeństwo do Jego Boskiego Serca przyjmie.

I tak się też stało. Przełożona z Semeur w Auxois pisała do Małgorzaty, że się wraz z całem Zgromadzeniem łączy z nią we czci Boskiego Serca. W liście załączony był misternie wymalowany obrazek Najśw. Serca. Małgorzata niewysłowioną uczuła radość.

Ta wiadomość, pisała, napełnia mnie tysiąc razy większą rozkoszą, jak gdyby mi Matka skarby całego świata była darowała.

Ale Pan Jezus cieszył się więcej cierpieniami swej oblubienicy, jak jej pociechami. Wezwał ją tedy, aby wybierała albo wesele i radość Aniołów, albo wielkie cierpienia ku czci Jego Najśw. Serca. Małgorzata wybrała cierpienie. Na nowo więc zanurzoną została w morze wewnętrznych i zewnętrznych cierpień i napełnioną nieugaszonem pragnieniem coraz większych cierpień.

— Bez krzyża, zawołała pełna radości i bez Najśw. Sakramentu, nie mogłabym żyć,

ani wytrzymać długiego wygnania mego na tym padole płaczu!

Takie uczucia i swoim nowicyuszkom wpajała.

— Noście Jego krzyż, mawiała do nich, noście go dobrowolnie, z weselem i odważnie.

O miłości, cierpliwości i pokorze Serca Jezusa, mówiła do nich z taką gorącością i natchnieniem, że te młode dusze z zachwytem jej słuchały. Nazywały ją przeto swoim „Janem“, który także do swoich uczniów tylko o miłości mówił.

Zalecała cześć Serca Jezusa pisemnie i ustnie, polecała ją duchownym i świeckim i zdawała się wszystkie skarby posiadać, gdy się jej udało kogo do tego nabożeństwa nakłonić. W tym czasie pisała do Ojca de la Colombière te pamiętne słowa:

— Ach gdybym mogła wszystko opowiedzieć, co wiem o tem miłem nabożeństwie do Najśw. Serca Jezusa, gdybym zdołała całemu światu okazać pełność łask, które Jezus w swem Sercu zamyka, i które na wszystkich wylać pragnie! Zaklinam Cię, Wielebny Ojcze, nie zapominaj nigdy wszystkim tego ogłaszać! Boski Zbawiciel dał mi to do zrozumienia; chciał za pośrednictwem Ojców Towarzystwa Jezusowego to nabożeństwo wszędzie zaprowadzić i przez to niezliczone mnóstwo wiernych sług, doskonałych przyjaciół i wdzięcznych dzieci po-

zyskać. Skarby łask i błogosławieństw, które to Boskie Serce w sobie mieści, są nieskończone! Nie wiem, czy jest jakie nabożeństwo w życiu duchowem, któreby zdolniejszem było duszę w krótkim czasie do najwyższej doskonałości podnieść i dać jej uczuć słodycz służenia Jezusowi, jak właśnie nabożeństwo do Serca Jezusa. I owszem mówię to z całą pewnością: gdyby ludzie wiedzieli, jak miłem jest to nabożeństwo Jezusowi, nie byłoby żadnego chrześcianina, choćby niewiem jak oziębłego, któryby się w niem natychmiast nie ćwiczył. Niech się Wielebny Ojciec przedewszystkiem stara, aby dusze, które Bogu po klasztorach służą, temu nabożeństwu się oddały; znajdą one w tem nabożeństwie najsilniejszą pomoc, aby pierwotną gorliwość i doskonałe zachowanie reguł w nich przywrócić, a te które je zachowują, do najwyższej doskonałości doprowadzić. Ci co nad zbawieniem dusz pracują, otrzymają władzę skruszenia serc najzatwardzialszych, a jeśli tkliwą miłością pałają ku Boskiemu Sercu, pracować będą z cudownym skutkiem.

Ludzie świeccy przez to miluchne nabożeństwo otrzymają wszelką pomoc, jakiej w swym stanie potrzebują, pokój i zgodę w rodzinach, pociechę w strapieniach, Boskie błogosławieństwo w przedsięwzięciach. Serce to stanie się właściwą ucieczką dla nich

w życiu i przy śmierci. Ach jakże lekką jest śmierć, jeźli się czciło święte Serce Tego, który nas sądzić będzie!

Nareszcie przecież dożyła Małgorzata tej pociechy, że ujrzała, jak klasztor, w którym mieszkała, poświęcił się Najsłodszemu Sercu Jezusa. Przy końcu oktawy Bożego Ciała r. 1686 przyszła do niej ta siostra, która przedtem była jej najgorliwszą przeciwniczką i prosiła ją o obrazek Serca P. Jezusa. Małgorzata dała go jej milcząc, ale z bijącem sercem. Pospieszyła do swych córek duchownych i wezwała je do gorącej modlitwy, aby uprosić u Boga spełnienie pragnienia jej życia, dla którego wszystko poświęciła i tyle wycierpiała.

Gdy siostry nazajutrz rano przyszły do chóru, obaczyły ołtarz, a wśród kwiecia obraz Boskiego Serca z napisem, który je wszystkie do czci Jego zapraszał. Gdy się zaś dowiedziały, że ta miła niespodzianka jest dziełem owej zakonnicy, która przedtem była najzaciętszą przeciwniczką tego nabożeństwa: wtenczas długo tłumiony płomień zapału jasno zabłysnął i w górę się wzbijając, wszystkich za sobą bez odwłoki porwał.

Jednogłośnie zabrzmiał w onym dniu szczęśliwym przed tym skromnym obrazem hymn chwały i uwielbienia do Serca Jezusa miłością gorejącego, do którego odtąd wszystkie serca należały i zarazem powzięto postano-

wienie, w ogrodzie klasztornym wznieść kaplicę na cześć tego Boskiego Serca.

Zapał ku tej myśli był tak wielki, że ją jeszcze przed błogosławioną śmiercią Małgorzaty, pomimo ubóstwa klasztoru wykonano.

— Teraz chętnie umrę — pisała do dawnej przełożonej, kiedy poznanie Serca mego Zbawiciela drogę sobie wreszcie toruje. Kochajmy Serce Jezusa, a potem o nic się nie troszczmy.

W tym samym roku uczyniła Małgorzata w wigilię wszystkich Świętych za natchnieniem Boskiego Oblubieńca swego heroiczny ślub, przez który dopełniła ofiary siebie samej. Na dowód, jak miłym Mu był ten ślub, ukazał Jezus swej ukochanej uczennicy swe Najśw. Serce jaśniejące jako słońce, otoczone płomieniami z szeroką i głęboką raną, którą na krzyżu otrzymało, okolone koroną cierniową z krzyżem na wierzchu, który z Serca tego wyrastać się zdawał i oznaczał, że miłość Jezusa była źródłem wszystkich cierpień i że te w ciągu całego życia Jego były Mu przytomne i nigdy Go nie odstępowały.

Nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusa, które nasamprzód w klasztorze Semeur w Auxois zrozumiano, a teraz także w klasztorze w Paray le Monial, gdzie Małgorzata mieszkała, tak natchniony oddźwięk znalazło, i od reszty klasztorów tego zakonu przy-

jęte zostało t. j. w Moulins i Dijon; a w tym ostatnim odprawiono za pozwoleniem władzy duchownej publiczne nabożeństwo ku czci Boskiego Serca Jezusa.

Do rozszerzenia tego nabożeństwa przyczyniło się przeważnie małe dziełko Ojca Colombière, które zawierało uwagi i rozważania o Najśw. Sercu Jezusa, i po śmierci autora dopiero drukiem ogłoszone zostało.

Małgorzata spełniła więc wewnętrzne i zewnętrzne zadanie swoje. Boski Oblubieniec zapragnął jej. Miała teraz posłannictwo które na ziemi zaczęła, żarliwemi modlitwami swemi o zbawienie grzeszników do Najśw. Serca Jezusa, nadal w niebie spełniać.

Dzień jej życia miał się ku schyłkowi; przepowiedziała to z całą pewnością:

— W tym roku umrę, bo już żadnej boleści nie czuję!

Bez boleści nie mogła żyć oblubienica ukrzyżowanego Jezusa. Aby się przygotować do najważniejszego kroku życia, udała się na samotność i spędziła tam dni 40. Tam rozmyślała nad swojem życiem, zadrżała na myśl o karzącej sprawiedliwości Bożej, opłakiwała swe niewierności, wzmacniała swą nadzieję i zapalając się najgorętszą miłością kryła się do otwartego Serca Jezusa, gdzie najgłębszy pokój znalazła.

We dwa miesiące potem dostała lekkiej febry. Nie widziano niebezpieczeństwa i dla

tego nie opatrzono ją Św. Sakramentami. Ale gdy kilkakrotnie nalegała, podano jej Komunię św., którą z gorącą pobożnością jako Wiatyk przyjęła.

— To ostatni raz! — rzekła do Siostry ją obsługującej.

Następny dzień był dniem jej śmierci.

Jeszcze jedną walkę stoczyć musiała oblubienica Jezusa. Niewysłowiona trwoga przenikła jej duszę na myśl o surowym sądzie. Objęła krzyż i tuląc go do ust i serca jęczała i płakała. Wreszcie zawołała:

— Miłosierdzia, mój Boże, miłosierdzia!

Wtedy pokój i radość zawitały do jej serca i tęsknota za Jezusem.

— Ach, mój Panie — wzdychała, kiedyż mnie weźmiesz z tego wygnania? Jakże się cieszę, że mi powiedziano, do domu Pańskiego pójdziemy! Tak jest, mam nadzieję, że przez miłość Serca Jezusa do mieszkań Pańskich wnijdę i to już bardzo prędko!

I o miłości tego Serca do swego otoczenia mówiąc, i za przyjściem Pańskiem tęskniąc, oddała piękną duszę swą Bogu, wymawiając słodkie imiona Jezusa i Maryi. Umarła 17 Października r. 1690 mając lat 43.

Zwłoki jej jak róża zakwitły i zajaśniały dziwnym blaskiem a nazajutrz w chórze zostały wystawione. Lud cisnął się gromadnie aby umarłą jeszcze raz ujrzeć i polecić się jej przyczynie do Boga.

Po jej śmierci rozszerzało się nabożeństwo do Serca Jezusa coraz bardziej.

Roku 1691 wyszło dziełko ks. Croiset (Kroazé) T. J. o nabożeństwie do Serca Jezusa. Ten światły i sławny mąż znał Małgorzatę osobiście; ona też przepowiedziała, że przez jego dzieło nabożeństwo do Serca Jezusa wszędzie się rozszerzy.

I w rzeczy samej, zaraz po ogłoszeniu tego dziełka wznosiły się wszędzie kaplice i kościoły na cześć N. Serca Jezusa i zaczęto także już święto na dniu od Zbawiciela wyznaczonym obchodzić. Zakon Benedyktynów przyjął to święto jako jedno z najważniejszych uroczystości zakonnych do swego kalendarza.

Stolica święta zatwierdziła nabożeństwo do Boskiego Serca po raz pierwszy w r. 1693. Zakładano bractwa, i tak szybko ogień Bożej miłości, który z tego trzykroć świętego Serca wynikał, serca ludzkie zapalał, że już roku 1726 nie mniej jak 317 bractw we wszystkich częściach świata założono. I odtąd całe dyecezye poświęcały się Sercu Jezusa; całe kraje szukały pomocy i schronienia przeciw naciskowi ziemskich nieprzyjaciół i przeciw wrogom duszy w Sercu swego Boga.

(Sendbote d. gött. H. J. 1865, 2).

„Nikt nie umarł".

Pewnego dnia, pisze misyonarz z Indyi Wschodnich, gdym właśnie chciał się udać

do chorego, przybiegli do mnie dwaj zaproceni mężowie.

— Ojcze, jesteśmy chrześcianie z Wajalogam.

— Z tak daleka? Czy mam komu udzielić Ostatniego Namaszczenia?

— Tak Ojcze, trzeba całej naszej wsi udzielić Ostatniego Namaszczenia.

— Całej wsi?

— Tak Ojcze, czytaj!

Podali mu liść palmowy, na którym było napisano:

„Chrześcianie z Wajalogam, w prochu przed tobą porzuceni, zaklinają cię, abyś im przecież w pomoc przyszedł. Cholera kołacze do naszych drzwi. Już trzy sąsiednie pogańskie i tureckie wsi, mocno od niej ucierpiały. Nieopuszczaj Wielebny Ojcze swych dzieci, ale pospiesz do nas, odprawiaj u nas Mszę św. i wysłuchaj nas spowiedzi, a będziemy ocaleni".

— Moi kochani — rzekłem — czyż nie widzicie, że was strzegł Pan Jezus i N. Panna, kiedy w waszej wsi jeszcze nikt nie zachorował? Wasza wieś tak daleko jest ztąd oddalona, że całego tygodnia potrzeba, abym się do was mógł dostać. Tu zaś muszę dzień i noc być na pogotowiu, bo do chorych wołają, podczas gdy wy wszyscy jesteście jeszcze zdrowi. Dopóki więc was cholera oszczędza, nie mogę chorych w tej okolicy porzucać.

— Więc, jeżeli W. Ojciec nie może iść z nami, to proszę nam powiedzieć, co mamy czynić?

— Ponieważ teraz nie mogę osobiście być u was, daję wam ten obraz N. Serca Jezusa, weźcie go; choć on wam nie udzieli Ostatniego Namaszczenia, ale wam może lepiej dopomódz jak ja. Przypominam sobie, że w jednem wielkiem mieście mojej Ojczyzny, cholera tak strasznie się srożyła, że codzień 120 ludzi umierało. Ale od dnia, w którym biskup ślub uczynił do N. Serca Jezusa, ustała straszna choroba. Więc i wy udajcie się do tego N. Serca. Weźcie ten obraz i obnoście go w przyszłą niedzielę w procesyi po waszej wsi. Tych kilku pogan, którzy pomiędzy wami żyją, nie będą się temu sprzeciwiali.

— I owszem Ojcze, poganie sami prosili, abyśmy spieszyli do ciebie Ojcze i prosili o ratunek.

— Ale to nie dosyć — mówiłem dalej. — Jak długo cholera będzie w koło was się srożyła, zbierajcie się codzień, rano i wieczór tak licznie, jak możecie w kościele i odmawiajcie litanię o Najsł. Sercu Jezusa. Niejeden dorosły nie będzie mógł codzień przychodzić, ale starajcie się, aby żadnego dziecka przy tem wspólnem nabożeństwie nie brakło. Ja wielką wagę do tego przywiązuję. Wszystkie dzieci nawet te, co le-

dwie chodzić umieją, niech będą w kościele.

— Ależ Wielebny Ojcze, wielka część tych dzieci jeszcze się nie umie modlić.

— To nic, powiedzcie im tylko, aby Pana Boga prosiły, iżby wieś od wszelkiego nieszczęścia zachował. Pan Bóg już pomoże dzieciom, aby to dobrze powiedziały i zrozumie ich z pewnością. Zresztą już sama obecność dziateczek u stóp ołtarza jest Boskiemu Sercu Jego bardzo miłą. On ma upodobanie w tych dziateczkach, bo one jeszcze nie grzeszą ciężko i nie należą do tych, którzy Jego N. Serce rozdzierają. Wbijajcie dobrze w pamięć starszym, że ich usilnie proszę i napominam, aby się tem staranniej strzegli wszelkiej obrazy Boskiego Serca. Teraz idźcie i czyńcie to, com wam polecił. a Serce Jezusa pomoże wam i ocali was.

Dwa miesiące potem, przyszedł do mnie kościelny z Wajalogam.

— No, Arultapen, (tak się nazywał), co słychać o cholerze?

— Poszła sobie Wielebny Ojcze.

— Wieleż ludzi umarło?

— Ani jeden u nas nie umarł, za to tem więcej w sąsiedzkich wioskach Turków i pogan.

Chwała, dziękczynienie i uwielbienie Boskiemu Sercu Jezusa. (Eichsf. Vol. 1884 34).

III. Ciało i Krew Pańska.

O czci Serca P. Jezusa.

(Ciąg dalszy).

Oblubienica Serca Jezusa.

W nowicyacie Sercanek w Conflans, leżała na łożu śmiertelnem zakonnica. Dopieroco kapłan miał naukę do zakonnic i zakończył ją słowy:

— Nie odejdę od was, czcigodne siostry, aż wam powiem słów kilka o zbudowaniu, jakiego doznałem u waszej czcigodnej chorej. Zbliża się ku końcowi jej życie. Jakaż to dla niej pociecha, umierać w swem powołaniu! Radość jej i spokój są niewysłowione. Zdaje się, że już jedną połową swej istoty jest w niebie i widzi Jezusa i Maryę, Aniołów i Świętych. Szczęśliwą jest, że wchodzi do niebieskiej ojczyzny, by już być wolną od grzechu, aby wiecznie dziękować i

modlić się za towarzystwo Serca Jezusa, w którem miała to szczęście żyć i w którem wkrótce już umrze.

W tych kilku słowach skreślony został stan duszy młodziuchnej siostry Ludwiki Mallac. Ta niewinna dziewica, rzadkiemi przymiotami ciała i duszy ozdobiona, już od dłuższego czasu jako kwiat zwiędła i radowała się wiedząc na pewno, że dni jej życia są policzone. Starzy ludzie nie chcą umierać; tego uczy doświadczenie. Młodzieńcza dusza nie widzi śmierci w tak ciemnych kolorach. Ludwika jednak, Bogu poświęcona zakonnica, zwyciężyła bojaźń śmierci, nie usposobieniem młodości, ale wiara i nadprzyrodzone światło łaski wskazały jej niebo jako przedmiot jej pragnień, jako cel ziemskiej pielgrzymki. Jedna z sióstr, widząc jak ona cierpi, wyraziła jej swoje współczucie.

— Ach, czyż to nie słuszna, abym nieco pocierpiała? Wszakże ja byłam tak szczęśliwą w mojej rodzinie, a jeszcze szczęśliwszą, nad wszelki wyraz szczęśliwszą w mej drugiej rodzinie, w klasztorze, w towarzystwie Serca Jezusa — a teraz — idę do nieba!

Chociaż choroba nie dosiągła jeszcze najwyższego stopnia, to jednak była słuszna obawa, że często powtarzające się ataki mogły ją nagle życia pozbawić; dla tego postanowiono dnia 3 grudnia jako w uroczy-

stość św. Franciszka Ksawerego, udzielić jej ostatnich Sakramentów św. Wiadomość tę przyjęła pobożna oblubienica Chrystusa z radosnym zachwytem. Żywa jej wiara pojęła wielkość tej czynności, dla tego chciała się do niej jak najlepiej przygotować. Pełna świętych myśli i pobożnych pragnień powtarzała z niewysłowioną radością te słowa:

— Tak mi teraz miło, jak w najpiękniejszych dniach życia mego, jak w przeddzień pierwszej Komunii i ślubów zakonnych.

Nim otrzymała Wiatyk, prosiła wszystkie siostry zakonne, które z jarzącemi świecami towarzyszyły N. Sakramentowi i w jej celi były zgromadzone, głośno o przebaczenie za zły przykład, który, jak w pokorze swej sądziła, w życiu swojem im dawała, i odnowiła swe śluby. Po Ostatniem Namaszczeniu zajaśniało oblicze jej radością i zawołała:

— Napełniona jestem słodkością! Jakże wielkiej łaski udziela nam ten Sakrament! Trzeba go było przyjąć, aby to pojąć. To przedsmak nieba! Możecie sobie wystawić, moje siostry, co ja czuję na myśl o tem przebudzeniu się w niebie, o wiecznem połączeniu z Jezusem Chrystusem, Zbawicielem naszym!

Życzyła sobie, aby odmówiły Te Deum i Magnificat. Jak się to często zdarza, Ostatnie Namaszczenie i teraz było środkiem nietylko duchownej ale i cielesnej ulgi. Nastą-

piło znaczne polepszenie, a choć i boleści i duszności nieraz powracały, życie jej jednak przedłużyło się aż do 22 stycznia następnego roku.

Czas ten, acz czas cierpienia, był jednak dla chorej czasem łaski, bo heroiczna jej cierpliwość i poddanie się zbliżały ją coraz więcej ku Bogu, a jeźli jeden akt doskonałej miłości wystarczy, aby zaraz pójść do nieba, a bolesna jej choroba była, że tak powiem, ciągłym aktem doskonałej miłości, to można słusznie wnosić, że otrzymała nagrodę w niebie.

— Czyż się nie boisz czyśca? Czy sądzisz, że będziesz w czyścu? — pytano ją; Ona zaś z uśmiechem odpowiadała:

— Zasługuję wprawdzie na czyściec, ale mam ufność w Boskiem miłosierdziu, że mnie od czyśca uchowa!

Innym razem opowiadała:

— W bezsennych nocach czasem robiłam sobie rozrywkę tem, że myślałam o moim pogrzebie. Gdym się zdrzemła, zdało mi się, że widzę Zbawiciela, który mnóstwo małych kwiatków sypał na moje łóżko; łatwo zrozumiałam, że kwiaty te oznaczają boleści.

Zbliżał się wreszcie koniec. Często powtarzała:

— Nie mam nic, wcale nic, coby mnie niepokoiło, albo zatrważało. Jak wielka to

łaska, być oczyszczonym we krwi Jezusa! zawołała otrzymawszy rozgrzeszenie.

O godzinie jedenastej rzekła jedna z sióstr do niej:

— Dziękuj siostro Bogu, zbliżasz się już do celu!

— Tak, ale jeszcze kilka godzin potrwa.

W tej chwili siostry przyszły, by odmówić modlitwy za konających. Oddech jej stawał się coraz słabszy, zkąd można było wnosić, że konanie wkrótce przeminie. Gdy dzwoniono na „Anioł Pański", Ludwika chciała się podnieść, to było znakiem, że już ostatnia chwila przyszła. Ucałowała podany jej krucyfiks, a gdy modlitwy na chwilę przerwano, zawołała głośno:

— Mój. Boże, mój Boże, mój Boże!

Te były ostatnie jej słowa. Głowa opadła w tył, trzykroć westchnęła, i po wszystkiem. Wesoło i spokojnie oddała piękną swą duszę w ręce Stwórcy swego.

(Sendbote d. h. Herz Jesu 1868. 4.).

Garcia Moreno.

Garcia Moreno, prezydent rzeczypospolitej Ekwadoru w południowej Ameryce, osobliwszy czciciel N. Serca Jezusa, zamordowany został dnia 6 sierpnia 1875 roku w Kwito, stolicy rzeczypospolitej. Można go słusznie

nazwać męczennikiem czci tego Boskiego Serca.

Sławny ten mąż urodził się w marcu roku 1821 w Guajakwil w Ekwadorze. Powróciwszy z Europy, dokąd w celach naukowych był się udał, został rektorem uniwersytetu w Kwito, następnie senatorem, konzulem a wreszcie 1861 r. prezydentem rzeczypospolitej. Ten wysoki urząd dzierżył po trzykroć, aż wreszcie od spiskowców w Kwito w jasny dzień i na publicznym placu okrutnie został zamordowany. Wydział krajowy z wdzięczności ku szlachetnemu prezydentowi swemu dał mu przydomek: Chwalebnego odnowiciela rzeczypospolitej i męczennika religii katolickiej.

Przedewszystkiem starał się swym ziomkom dobrym przykładem przyświecać; najlepszy to środek dla panującego, aby uszlachetnić swych poddanych. O. Dressel Tow. Jezusowego tak o tem pisał roku 1875 do jednego z Ojców:

— Miałem często sposobność z nim t. j. Moreną obcować i zawsze zbudowany odeń odchodziłem. Gdym go często odwiedzał w jego wiejskiem mieszkaniu, gdzie z swą rodziną dla odpoczynku bawił, był bardzo poufały i swobodny, nie tracąc wcale powagi. Gdy czas był na Mszę św., natychmiast udawał się do zakrystyi, przygotował szaty kapłańskie: ornat, albę i sam służył wobec

ludu wiejskiego do Mszy św. Gdyby Ojciec znał wysoką i wspaniałą postać prezydenta, jego żelazne a przecież przyjemne rysy, śnieżny włos, mimo siły wieku, wojskową postawę, toby Ojciec mógł zrozumieć, jakiem uszanowaniem widok jego napełniał.

Garcia Moreno był przedewszystkiem wiernym synem św. Kościoła katolickiego i jako taki okazał prawdziwie synowskie przywiązanie do namiestnika Chrystusowego na ziemi. Już w pierwszych czasach swoich rządów zawarł konkordat ze Stolicą Apostolską, w którym katolickiemu Kościołowi wszelka wolność przyznana została. Dał wtenczas wzruszający dowód bezwzględnego zaufania w mądrość i sprawiedliwość Piusa IX, dając swemu posłowi białą kartę zaopatrzoną swym własnym podpisem i prosząc przezeń Papieża, aby na tej karcie napisał punkta, jakie uzna za dobre.

Ogłoszenie dogmatu o nieomylności Papieża r. 1870 rozkazał w Ekwadorze publiczną uroczystością obchodzić, a gdy król Wiktor Emanuel, świętokradzką ręką ojcowiznę Piotrową Ojcu św. wydarł i Rzym zajął, protestował Garcia Moreno w imieniu rzeczypospolitej przeciw temu niegodziwemu zrabowaniu wspólnego Ojca wszystkich Chrześcian. W roku 1873 skłonił Garcia Moreno sejm, aby Ojcu św. przez coroczne świętopietrze ze skarbu państwa przyjść w pomoc.

Gdy roku 1875 po trzeci raz obrany został prezydentem rzeczypospolitej, doniósł o tem Ojcu św. własnoręcznem pismem i prosił o błogosławieństwo papiezkie na dalszy czas rządów. Między innemi tak pisze:

— Dziś, kiedy loże (masońskie) sąsiednich krajów wszelkiego rodzaju najhaniebniejsze zniewagi i najpodlejsze oszczerstwa na mnie rzucają, i w skrytości przygotowują środki, by mnie zamordować, potrzebuję bardziej niż kiedykolwiek Boskiej opieki, abym mógł żyć i umrzeć w obronie naszej św. religii i tej ukochanej rzeczypospolitej, którą mi Bóg do rządzenia powierzył. Jakież to szczęście jest dla mnie, być nienawidzonym i oczernianym dla Zbawiciela naszego, a jakże niezmiernie wielkie szczęście byłoby dla mnie, gdyby Waszej Świątobliwości błogosławieństwo wyjednało mi łaskę, krew moją za Tego módz przelać, który swoją krew za nas na krzyżu chciał przelać!

Lecz co najbardziej podziwienia i naśladowania godnem jest, to jego wielkie i gorące nabożeństwo do Najsł. Serca Jezusa. Pod tym względem nawet gorliwi katolicy nie jednego nauczyć się mogą od tego dzielnego męża. Widzieliśmy już, że on sobie za honor poczytywał służyć do Mszy św. Osobliwszą miał pociechę towarzyszyć Najśw. Sakramentowi w uroczystych procesyach i owszem sam niósł nawet chorągiew. W wielki

piątek regularnie udawał się do katedry wraz z ministrami, aby ucałować rany Zbawiciela ukrzyżowanego. W ostatnich latach życia, dwa razy na tydzień przystępował do Stołu Pańskiego.

Szczególniejszym dniem radości dla pobożnego prezydenta był dzień 25 marca roku 1874, w którym to dniu na jego życzenie i za jego staraniem Rzeczpospolita Ekwadoru uroczyście Najśw. Sercu Jezusa poświęcona została. Według planu przez biskupów nakreślonego, miała ta uroczystość pierwotnie mieć cechę czysto kościelną, ale Garcia Moreno, który był najgorliwszym członkiem bractwa Najśw. Serca Jezusa, nie zgadzał się na to. Na jego wniosek został ten dzień przez uchwałę Izby do rzędu uroczystości narodowej dla całej rzeczypospolitej podniesiony. Na ten uroczysty dzień gotowano się bardzo gorliwie. We wszystkich kościołach stolicy odprawiano rekolekcye dla wszystkich stanów, nawet dla wojska, a w sam dzień arcybiskup poświęcił całą rzeczpospolitą w przytomności prezydenta i wszystkich urzędów z wielką uroczystością N. Sercu Jezusa.

Masonerya nie mogła znieść tego hołdu publicznego, oddanego Sercu znienawidzonego Chrystusa i bądź co bądź postanowiła Morenę zgładzić. Na kongresie masonów

w Limie ułożono i uchwalono plan morderczy i wkrótce go wykonano.

Było to w pierwszy piątek miesiąca sierpnia 1875, a zatem w dzień, osobliwszym sposobem poświęcony czci Najsł. Serca Jezusa; pobożny prezydent przystąpił w ten dzień rano według zwyczaju swego do Komunii świętej. Około godziny 10-tej otrzymał kilkakrotnie ostrzeżenie i upomnienie, żeby się miał na ostrożności, gdyż spisek na jego życie jest uknuty. Ale dzielny ten mąż, mając czyste sumienie, odrzekł z niewzruszoną odwagą tylko te słowa:

— Podłość i nikczemność!

Potem z największym spokojem pracował na rzecz mającego się odbyć kongresu, pisząc sprawozdanie ze swej działalności. Sprawozdanie to zakończył następującemi słowy:

— Jeźli panowie osądzicie, że w czemkolwiek miałem powodzenie, to przypiszcie to nasamprzód Bogu i niepokalanej rozdawczyni Jego niezmierzonych skarbów łask; następnie sobie samym, narodowi, ubogim i wszystkim, którzy mnie w różnych gałęziach rządu rozumem i wiernością w wypełnianiu mego ciężkiego obowiązku wspomagali.

Około godziny pierwszej z południa, idąc do gmachu rządowego, wstąpił po drodze do katedry, aby oddać cześć P. Jezusowi, wystawionemu w Najśw. Sakramencie. Był to ostatni hołd czci i uwielbienia, jaki tu na

ziemi mógł złożyć Zbawicielowi, ale zarazem, acz nie wiedział o tem, przygotowanie do bliskiej śmierci, gdyż mordercy już czatowali.

Gdy przez dłuższy czas w modlitwie zatopiony klęczał, przystąpił doń jakiś chłopak i oznajmił mu, że ważne depesze nadeszły z Guayakwil.

Prezydent wstał i wyszedł z kościoła. Już dochodził do galeryi swego pałacu, gdy pięciu skrytobójców wypadło z za kolumny i nań się rzucili. Jeden z nich zadał mu nożem rzeźnickim straszny cios w głowę. Nie mówiąc ani słowa, obrócił się prezydent i chciał wyjąć rewolwer, gdy w tej chwili padły cztery strzały, a Garcia Moreno śmiertelnie ranny padł na bruk ulicy. Przyskoczyli mordercy, aby go strzałami i sztyletami tem pewniej zamordować.

— Bóg nie umiera! — zawołał dzielny prezydent.

Krew lała się z 22 ran; Garcia utracił mowę, ale przytomności wcale nie stracił. Przyniesiono go do katedry, do stóp tego Jezusa, którego Serce czcił tak gorliwie; tam zapytał go kapłan, czy swym mordercom przebacza? Nie mogąc mówić, skinął głową na znak przebaczenia i skonał. Jak życie, tak i śmierć jego była śmiercią świętego. Jednego mordercę żołnierz zastrzelił,

innym udało się w ogólnem zamięszaniu umknąć.

Po siedmiu latach niepokojów i najsroższych prześladowań, jakich garstka masonów dopuszczała się na całym narodzie katolickim, udało się katolikom odnieść zwycięztwo. Pierwszym czynem nowego rządu był następujący dekret:

Prowizoryczny rząd Ekwadoru

zważywszy, że dopieroco odniesione tryumfy, którymi ojczyzna się chlubi, widocznie wszechmocnej opiece Boskiej zawdzięczyć należy: uważa za swój obowiązek, wznieść Bogu niespożyty pomnik wdzięczności od mieszkańców Ekwadoru.

Postanawia tedy:

Art. 1. Kosztem państwa i z dobrowolnych datków, zbudować wspaniały kościół i tenże poświęcić Najśw. Sercu Jezusa, któremu rzeczpospolita już w szczególniejszy sposób się poświęciła.

Art. 2. Nowy ten kościół będzie zbudowany w środku stolicy, na miejscu przez świecką i duchowną władzę zarazem wskazanem.

Art. 3. Dnia 10 sierpnia przyszłego roku, jako w rocznicę ogłoszenia niepodległości Ekwadoru, będzie położony kamień węgiel-

ny pod tę budowę w sposób jak najuroczystszy.

Dan w Kwito, stolicy Rzeczypospolitej d. 23 lipca 1883 r.

Ludwik Cordero,
Augustyn Guerrero,
Rafał Perez Pareja,
Paweł Herrera.

Minister spraw wewnętrznych
J. Modest Espinosa.

(Eichsf. Volksb. 1884. 7).

Najlepsza cześć Serca Jezusa.

Wyrobnik pewien na imię Augustyn w ciężkiej zostawał biedzie. Za kilka dni miał wierzycielowi swemu wielki dług zapłacić. Wierzyciel nalegał, a Augustyn mając liczną rodzinę a mały zarobek, nie mógł długu spłacić. W niedzielę przed upływem terminu, poszedł popołudniu do miasta pół mili od wioski odległego. Chciał nieużytego wierzyciela prosić o przedłużenie terminu, albo w razie odmowy, udać się do zacnego pana, który mu już nieraz pomagał, i prosić go o pożyczkę na zapłacenie długu, ale żadnego w domu nie zastał.

Zgryziony Augustyn chciał już do domu powrócić. Droga mu wypadła obok kościoła,

z którego głos organu dolatywał. Augustyn wstąpił do domu Bożego i był na nieszporach, które się dopiero zaczęły. Po nieszporach wstąpił kapłan na ambonę i mówił z zapałem o Boskiem Sercu Jezusa, jak Ono wszystkich ludzi, nawet swych wrogów i prześladowców do siebie tuli i jak Ono jest dla wszystkich Chrześcian wzorem miłości nieprzyjaciół.

Z wielką uwagą słuchał Augustyn kazania, bo mu i do rozumu i do serca przemawiało. Jego wierzyciel niecierpliwy zdawał mu się także być nieprzyjacielem. Trzeba było więc wszelką nienawiść ku niemu z serca złożyć, trzeba się było zań modlić i uprzejmie go przy spotkaniu pozdrowić. Coraz jaśniej to poznawał, gdy powracając do domu nad słowami kapłana rozmyślał.

Będąc już blisko wioski, spojrzał na krucyfiks, który w cieniu drzew stał przy drodze. Przed krucyfiksem było kilka kamiennych klęczników, dla wygody przechodniów. Augustyn ukląkł i zmówił z swej książki do modlenia, modlitwę za nieprzyjaciół.

Nie długo się modlił, gdy dwoje z jego dzieci wybiegło naprzeciw niemu i wesoło go pozdrowiły. Augustyn wstał i spieszył z dziećmi ku domowi. Przyszedłszy do domu, opowiedział żonie, że daremnie wychodził z domu, że był na kazaniu i powziął postanowienie przebaczyć swemu wierzycie-

lowi. Przy tej sposobności chciał wyjąć z kieszeni książeczkę do modlenia. Ale jej nie miał przy sobie. Natychmiast posłał najstarszego syna do figury, bo mu się zdawało, że tam książkę zapomniał. Ale syn wrócił a książki nie znalazł. Nazajutrz przyniósł listowy paczkę. Augustyn rozwinął ją i ujrzał swą książkę do modlenia. W książce był kwit przez wierzyciela własnoręcznie podpisany, jako od Augustyna cały dług dokładnie odebrał.

Ze łzami w oczach spojrzał wyrobnik i jego żona ku niebu. Augustyn udał się spiesznie do miasta, aby swemu wierzycielowi za tak niespodziewane dobrodziejstwo podziękować. Juliusz, tak się zwał wierzyciel, rzekł łagodnie:

— Wczoraj słyszałem prześliczne kazanie o Najsł. Sercu Jezusa, jako wzorze miłości nieprzyjaciół. Kapłan mówił: że grzechem jest, swemu nieprzyjacielowi nie przebaczyć; ale także grzechem jest, przez gniew, przez brak miłości, przez nieczułość, nowych sobie robić nieprzyjaciół. Wtem łaska Boża jakby młotem w me serce zatwardziałe uderzać zaczęła i żądała wejścia.

— Poczciwy Augustynie! Bez wszelkiej miłości nalegałem na ciebie, abyś mi cały dług oddał; pomimo iż wiedziałem o waszem położeniu, nie chciałem ci przedłużyć ani terminu spłaty, ani nie chciałem, byś mi

ratami wypłacał. Za tę moją nieczułość chciałem wobec Boga przez odpuszczenie ci całego długu zadośćuczynić. W tym zamiarze udałem się wczoraj wieczór po nieszporach do ciebie na wieś. Gdym przyszedł do figury Pana Jezusa ukrzyżowanego, ukląkłem i prosiłem Pana Boga gorąco, aby mi pomógł wykonać mój zamiar. Na ławeczce przedemną leżała książka do nabożeństwa; po podpisie poznałem, że była twoja. Natychmiast wziąwszy ją, powróciłem do miasta, włożyłem w książkę pokwitowanie na odebranie długu i odesłałem ją pocztą do ciebie.

Obaj ci ludzie najlepiej zrozumieli, na czem zależy doskonała cześć Serca Jezusa. Jeden przebaczył — drugi cały dług darował z miłości ku Sercu Jezusa.

(D. Christl. Pilger 1866 n. 25).

Skarbniczka Boskiego Serca Jezusa.

Ile razy Zbawiciel w szczególniejszy sposób ludziom udzielić się pragnie, tyle razy używa do tego Maryi, swej matki ukochanej, jako pośredniczki, przez którą swe łaski na nas zlewać pragnie.

I w nabożeństwie do Jego Najśw. Serca miała Marya w osobliwszy sposób mieć udział. Pokazało się to w samych początkach tego

nabożeństwa, w jego dalszym rozwoju i w obecnym kształcie.

Nim jeszcze błogosławiona Małgorzata wstąpiła do klasztoru, objawił jej się razu jednego jak sama opowiada, Pan Jezus i rzekł jej:

— Gdyś mi twą czystość panieńską ślubowała, wybrałem cię na mą oblubienicę i przyrzekliśmy sobie wzajemną wierność. Moje natchnienie spowodowało cię do tego, nim jeszcze świat zdołał wkraść się w twe serce; bo ja chciałem je sobie czystem zachować i zupełnie wolnem od wszelkiej zmazy ducha światowego. Aby go w tym stanie zachować, strzegłem twą wolę od wszelkiej złości, którąby ją mogła zepsuć. Jeszcze więcej: oddałem cię pod opiekę mej matki, aby ona cię dla moich zamysłów wychowała.

Z jaką wiernością Małgorzata oddała się pod troskliwą Maryi opiekę, dowodzą liczne zdarzenia. Już powołanie i przywiązanie Małgorzaty do zakonu „Nawiedzenia Maryi“, właśnie dla imienia Maryi, które go zdobi, było dziełem tej dobrej matki.

Gdy następnie krewni Małgorzaty wszystkich możliwych środków użyli, aby ją od tego zakonu odwieść, ona zaś nie miała innej ucieczki, prócz Maryi, objawiła się jej ta najlepsza matka, dała jej to pocieszające zapewnienie:

— Nie bój się, ty będziesz moją praw-

dziwą córką, a ja będę ci zawsze prawdziwą matką.

Ale i w zakonie cieszyła się Małgorzata zawsze osobliwszemi względami swej „dobrej matki“, jak Maryę zwać była zwykła. Dnia jednego, gdy ciężką chorobą złożona była, żądała przełożona, aby prosiła Zbawiciela o nagłe uzdrowienie jako znak, że wszystkie te nadzwyczajne zjawiska w jej życiu pochodzą od Ducha Bożego. Jakoż prosiła o to swego Mistrza i natychmiast została uzdrowiona. Marya zaś pełna tkliwości te słowa jej rzekła:

— Odwagi, moja droga córko! Wiedz, że ja ci w imię mego Boskiego Syna zdrowie powracam; droga będzie długa i przykra; będziesz zawsze do krzyża przybita, zraniona gwoździami, cierniami skłuta, ubiczowana; ale się nie bój, ja cię nie opuszczę i przyrzekam ci moją opiekę.

— Była to obietnica, mówi Małgorzata, której Marya wiernie dotrzymała.

Niemniej budujący jest sposób, jak Małgorzata czynem okazywała swą miłość i wdzięczność ku Maryi.

— Już jako małe dziecko, tak pisze Małgorzata o sobie samej, miałam zwyczaj w potrzebach moich uciekać się do Najśw. Panny, która mi zawsze wielką troskliwość okazywała, i mnie od największych niebezpieczeństw zachowywała. Nie śmiałam wtenczas

rozumie się z nieświadomości błędnej — udawać się wprost do Jej Boskiego Syna, tylko zawsze do Niej. Na jej cześć chętnie odmawiałam różaniec zawsze klęcząc, albo przy każdej „Zdrowaśce“ klękając i ziemię całując.

Gdym się w czasie pobytu mego na pensyi przez cztery lata w tak nędznym stanie zdrowia znajdowała, żem chodzić nie mogła, a żadne lekarskie środki nie pomagały: poleciłam się Najśw. Pannie obiecując, że jeśli mi wyjedna zdrowie, zostanę kiedyś jej córką. Skoro tylko ten ślub uczyniłam, natychmiast zostałam uzdrowiona. Nadto zapewniła mię Najśw. Panna, że mnie ze swej macierzyńskiej opieki nie wypuści. Taką władzę miała nad mem sercem Marya, że mną jako swą własnością według upodobania kierowała, karciła mnie i pouczała we wszystkiem czynić wolę Bożą.

Z wstąpieniem do zakonu i od czasu jak Zbawiciel zaczął jej udzielać nauk co do czci swego Najśw. Serca, opieka Najśw. Panny nad Małgorzatą stała się jeszcze widoczniejsza, jak tego dowodzą liczne objawienia ze strony Maryi i oznaki dziecięcej ufności ze strony Małgorzaty. Tak też pouczała Małgorzata swą córkę duchowną:

— Złącz ducha i serce twe jak najściślej z Najśw. Panną i z Nią i przez Nią Słowu w jej żywocie wcielonemu należną cześć od-

dawaj, Ono w swem ukryciu uwielbiaj i kochaj. W tym celu składaj przedwiecznemu Ojcu ofiary, które Najświętsze Serce Jego Boskiego Syna w ogniu miłości, na ołtarzu serca swej najmilszej Matki Jemu składa, prosząc, aby wszystkie serca się nawróciły i miłością Jego całkowicie się zapaliły.

(Tilburger Monatshefte 1887).

Poświęcenie miasta i dyecezyi Amiens Boskiemu Sercu Jezusa.

Od drugiej połowy XVII stulecia, kiedy to straszna zaraza w Pikardyi okropne czyniła spustoszenia, nigdy nie było Amiens taką klęską dotknięte, jak w czerwcu i lipcu 1866 roku. Cholera srożyła się w mieście bardziej jak w latach 1849 i 1832. Wtenczas bowiem ograniczała się na niższe części miasta i zabierała tylko ofiary z uboższej klasy ludzi; teraz zaś rozpanoszyła się we wszystkich dzielnicach miasta i nie oszczędzała żadnej klasy społeczeństwa.

Codzień umierało 120 osób. Na pierwszą wieść o szerzeniu się epidemii, pospieszył biskup z Amiens, Monsignor Boudinet, który wtenczas bawił po za granicami dyecezyi, z powrotem do miasta, aby przez swą obecność uciśnionej owczarni dodać odwagi i otuchy. Zaraz też nakazał publiczne modły,

i urządził pierwszego lipca procesyę błagalną, w której też oprócz niezmiernej ilości ludu, osoby z najwyższych stanów udział brały.

Ale Boska sprawiedliwość nie dała się tym sposobem rozbroić; wprawdzie na kilka dni nastało polepszenie, ale wkrótce choroba znowu wybuchła; Miasto okropny przedstawiało widok; podobne do owych narodów, o których wspomina Pismo św., pogrążone było w cieniach śmierci. Ulice były puste; jeżli się zobaczyło wóz, to był to wóz wiozący lekarza albo zwłoki pomarłych; tu i owdzie widać było tylko kapłana, co spieszył do chorego lub konającego; sklepy i magazyny były pozamykane, całe kamienice stały pustkami, wszystko nosiło na sobie cechy smutku i przerażenia; tak wyglądało miasto, niedawno jeszcze wrzące pełnią życia; dodajmy do tego cierpienia wewnętrzne, trwogę i bezradność. Nie było już nadziei pomocy ludzkiej! Bóg sam mógł tylko dopomódz. Zrozumieli to bardzo dobrze mieszkańcy miasta Amiens.

Listem pasterskim biskupa wezwani, aby się w X niedzielę po Świątkach (29 lipca) licznie zgromadzili w katedrze, poszli za jego głosem. Tu przedstawił się widok, jaki się w życiu człowieka nie łatwo powtarza i jakiego miasto Amiens już od 100 lat nie było świadkiem.

Nie dość było biskupowi, że we własnej osobie spieszył swym owieczkom na pomoc, chciał arcypasterz w tym dniu dać szczególniejszy dowód troskliwości i gorliwości o swoją trzodę; chciał jej podać środek ratunku i ocalenia, o którego skuteczności nie mógł wcale powątpiewać; chciał miasto i całą dyecezyę przez publiczny, jak najuroczystszy akt oddać pod opiekę wszechmocnego, najlitościwszego i najwierniejszego Serca Pana Jezusa. W poprzedzającą niedzielę, podczas Mszy św., zobowiązał się ślubem tego aktu dokonać, a teraz przyszedł czas wypełnienia ślubu.

Rano dnia 29 lipca, bardzo wielu jeszcze nic nie wiedziało o wspaniałej uroczystości, która się odbyć miała; wieczorem zaś dnia tego, długo jeszcze przed oznaczoną godziną, z trudnością tylko dostać się można było do katedry, tak wielkie były tłumy ludu, garnącego się na nabożeństwo. Już ta okoliczność ogromne zrobiła wrażenie na ich serca. Tylu mieszkańców wydaliło się z miasta — tylu innych śmierć zabrała — zkądże więc takie mnóstwo ludzi? pytano się; czy przeszłość była snem tylko? czy może umarli zmartwychpowstali? Ale pytania takie wkrótce umilkły, bo suknie żałobne, które wszędzie spostrzegano i wyraz niemego smutku, malujący się na obliczach, aż nadto głośno wołały, że przeszłość wcale snem nie była

i że godzina zmartwychwstania jeszcze nie przyszła.

O godzinie piątej popołudniu, zaczęła się procesya. Najśw. Sakrament niósł biskup. Daremnem byłoby opisywać uczucia, jakie zawładnęły sercami wszystkich, gdy się procesya posuwała pomiędzy tłumami klęczącemi na kolanach i gdy z tysiąca piersi wydobyły się głosy psalmu: *Miserere mei Deus* Zmiłuj się nademną Boże, i owe: *Parce Domine, parce populo Tuo:* Przepuść Panie, przepuść ludowi Twemu.

— Nie, mówił pewien człowiek dość oziębły w ćwiczeniach religijnych, nigdy coś podobnego nie widziałem; nawet ja, ja musiałem płakać.

Gdy się procesya skończyła, wstąpił sam biskup na ambonę. Jego mowa pełna siły i miłości ku owieczkom swoim, wszystkich do łez poruszyła, gdy mówił te słowa:

Dobry pasterz daje duszę swoją za owieczki swoje. Tak jest, ja kładę życie moje; ileż razy czyniłem już zeń ofiarę. O jakże bym był szczęśliwym, gdyby Bóg mą ofiarę przyjął, a trzódkę moją oszczędził! Mam lat 60, jestem starcem, siły mnie już opuszczają i nie wystarczą już, aby gorliwości mej o wasze zbawienie zadość uczynić, poco mam już żyć dłużej? Obyście wy najmilsi, żyli, a życie waszego biskupa niech Bóg przyjmie!

jakże słodko byłoby mi umrzeć, aby was ocalić!

Łzy były odpowiedzią na te słowa; bo i jakże inaczej można było odpowiedzieć? Otoczony wzruszoną i płaczącą rzeszą, wymawiał arcypasterz uroczyste słowa poświęcenia:

— Ja, Jakób Antoni, biskup z Amiens, przejęty boleścią z powodu cierpień mego ludu i sam dotknięty wszystkiemi ciosami, które lud mój już prawie dwa miesiące ponosi, a które za cenę własnego życia pragnąłbym odwrócić; z głębi serca pragnąc resztę mej dyecezyi od podobnych cierpień zachować, a dla mego najmilszego miasta Amiens koniec, albo przynajmniej ulgę tych cierpień wybłagać: poświęcam klęcząc z pokorą w przytomności Najśw. Panny Maryi i wszystkich Aniołów i Świętych Bożych miasto i dyecezyę Amiens, poświęcam mych kapłanów, poświęcam samego siebie Najświętszemu Sercu Jezusa.

O niech nam przyjdzie w pomoc, niech nas osłania, niech nas uwolni to Boskie Serce, źródło litości; Jemu niech będzie uwielbienie, wdzięczność i miłość od nas w czasie i w wieczności! Amen.

Następnie lud zaśpiewał trzykroć: „O Najświętsze Serce Jezusa, zmiłuj się nad nami! Poczem udzielił biskup błogosławieństwa Najśw. Sakramentem a lud jeszcze trzykroć zaśpiewał:

Przepuść Panie, przepuść ludowi Twemu!
I nie bądź na nas zagniewany na wieki.

Tak się zakończył ów akt wiary i pokuty, pobożności i nadziei.

Od tego czasu, czytamy w liście z klasztoru Nawiedzenia pisanym 27 sierpnia 1866 roku, niknie cholera z dnia na dzień coraz więcej; już prawie nie zdarzają się wypadki śmierci, i można ją uważać za zupełnie wygasłą. Wszyscy przypisują tę łaskę jednogłośnie opiece N. Serca Jezusa. Obecnie ze wszech stron otrzymujemy listy, z prośbą o przysłanie szkaplerzyków N. Serca, które w Amiens tak cudowne skutki sprawiły. Wszędzie, gdzie się pojawi cholera, wzywanie Serca Jezusa jest pierwszym środkiem, do którego się uciekają. Oficerowie pruskiego wojska tak wielkie zaufanie mają do tych obrazków Serca Jezusa, że bracia kilku naszych Sióstr, pochodzących z zacnych rodzin prowincyj nadreńskich, wciąż proszą, by im takowych jak najwięcej przysłać; bo skoro je odbiorą, natychmiast je rozdają. Noszą je teraz jako obronę przeciw cholerze, tak jak je przedtem na wojnie nosili. Zaprawdę wielka pociecha, wielka radość w tych dniach smutku i cierpienia! (Sendb. d. gött. H. Jesu 1886 10).

Z Dalmacyi.

Ludy tego kraju są pełne wiary i religijnego usposobienia, ale dają się łatwo do zemsty nakłonić, być może wskutek obcowania z szyzmatyckimi Grekami, którzy wśród nich żyją, i wskutek sąsiedztwa z Turkami, którzy zemstę za obowiązek uważają. Jeśli kto z rodziny zostanie obrażony, to obrazę tę uważają jako obrazę całej rodziny, a pamięć tej obrazy przechodzi z pokolenia na pokolenie a z nią i obowiązek zemsty. Gdy zemsta ugaszona zostanie, dopiero następuje spokój. Dlatego to misyonarze główną zwracają uwagę na to, aby licznym nieprzyjaźniom koniec położyć.

W roku 1855 odprawiali Ojcowie Karrara i Basile missyę w Zadarze, w Dalmacyi. Jednego dnia przyszedł jakiś człowiek i chciał się widzieć z Ojcem Basile.

— Ratuj mnie Ojcze, — rzekł — życie moje jest w niebezpieczeństwie.

— W jaki sposób? — zapytał misyonarz.

— W mej młodości posprzeczałem się z właścicielem sąsiedniej wioski — przyszło do bójki, w której go zabiłem. Zbrodnia ta kosztowała mnie 20 lat ciężkiego więzienia; teraz skończyła się moja kara. Już dwa lata minęły, jakem powrócił do ojczyzny, ale rodzina, której głowę zabiłem, nienawidzi mnie i codzień stara się zemścić na mnie.

Jestem tedy w ciągłej obawie i trwodze; uwolnij mnie Ojcze, błagam cię, z tego rozpaczliwego położenia!

— Ha, mój synu, niech cię Bóg ma w swej opiece; bo ja doprawdy nie wiem, jak ci pomódz.

Nieszczęśliwy ten człowiek tak usilnie błagał, że Ojciec Basile obiecał spróbować, czy się nie da ich pogodzić. Gdy się jednak proboszcz, u którego misyonarze mieszkali, dowiedział o jego zamiarze, przedstawił mu, że już wiele wpływowych osób daremnie się o to kusiło, i że to niemożliwe.

— Niemożliwe istotnie — odrzekł misyonarz, — gdybym się spuścił na me własne siły; ale ja pokładam zupełną mą ufność w Boskiem Sercu Jezusa, a Ono, nie wątpię wcale, udzieli mi tej łaski.

Nazajutrz udał się z wójtem w drogę; ten niósł dwa obrazy N. Serca Jezusa, i Niep. Serca Maryi, nakryte chustką. Przychodzi do mieszkania rodziny obrażonej i chce się widzieć z panem. Prowadzą go do pokoju dwóch synów zamordowanego.

— Przychodzę — rzecze — pobłogosławić was, moi panowie, waszą rodzinę i waszą majętność.

Słowa te przyjęto z radością i uznaniem. Misyonarz użył tego pomyślnego wrażenia, które wywołał, i rzekł:

— Nie odemnie otrzymacie błogosławieństwo, lecz od Serca Jezusa i Maryi.'

Po tych słowach kazał te obrazy odsłonić. Dwaj bracia, do żywego poruszeni, padają do nóg misyonarza.

Nim was te Serca pobłogosławią, musicie spełnić polecenie, które wam przez moje usta dają.

— Ojcze, o co się rozchodzi? — zawołał starszy; jesteśmy gotowi uczynić, co każesz. Nie prawda? — rzekł, zwracając się do brata.

— Tak jest! — odparł tenże — jesteśmy gotowi!

— Więc dobrze! — Najświętsze Serce Jezusa rozkazuje wam, abyście zabójcy waszego ojca przebaczyli.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy starszy, który był zaciętszy, ręce swe rozkrzyżował i zawołał:

— Gdzie on jest? — Chcemy go do serca przycisnąć!

Wszyscy obecni tą nagłą zmianą bardzo byli wzruszeni, a misyonarz rozkazał natychmiast poszukać winowajcę, który z trwogą i niepokojem wyczekiwał skutku tego przedsięwzięcia. Przyszedłszy do drzwi pokoju, upada na kolana, pozdrawia obu braci chrześciańskiem pozdrowieniem: „Pochwalony Jezus Chrystus!“ i pyta, czy może wejść. Gdy mu wejść pozwolono, przyczoł-

gał się bliżej na kolanach i powtarza tosamo pozdrowienie, dodając:

— Czy mogę jeszcze bliżej postąpić?

Otrzymuje tęsamą odpowiedź i czołga się na kolanach ku starszemu bratu; następnie pozdrawia go po trzeci raz i pyta, czy pojednanie już spełnione. Obrażony ramiona swe otwiera, rzuca mu się na szyję i ściska go jak przyjaciela. Wszyscy obecni — a zgromadziło się ich wielu, aby być świadkami tej sceny — do łez byli poruszeni. Misyonarz zaś wskazał na obraz Najśw. Serca i rzekł:

— Przebaczyliście sobie wzajemnie; teraz trzebaby, aby obie strony Najświętsze Serce o przebaczenie prosiły: jedna strona za krzywdę i zbrodnię popełnioną, druga — za gniew tak długo żywiony. Usłuchali; potem nastąpiły powtórne uściski, w których wszyscy udział brali: mężczyźni i niewiasty a nawet małe dziatki. Krzywdę nie uważanoby za zupełnie przebaczoną, gdyby przy pojednaniu nawet o najmniejszem dziecku zapomniano; bo w późniejszym wieku mogłoby ono sobie rościć pretensyę do zupełnego zadośćuczynienia. Misyonarz zachęcił ich, aby pokój jaki nastąpił, zachowali, i wiernymi pozostali nabożeństwu do Serca Jezusa! Ułaskawiony zabójca nie mógł się posiadać z radości.

— Podczas mego długiego więzienia — rzekł — byłem tak szczęśliwy, żem 42 talary zachował. Teraz je ofiaruję na Mszę za duszę zabitego.

— O nie, — odrzekł starszy brat, — to nasza rzecz dbać o duszę naszego ojca. Te pieniądze niech będą ofiarowane Sercu Jezusa, któremu łaskę dopieroco otrzymaną zawdzięczamy. Użyjmy ich na sprawienie wspaniałych ram do tych dwu obrazów, a potem zawieśmy je w kościele na wieczną pamiątkę naszego pojednania ku czci wiernych. Ta propozycya bardzo się podobała, i tak zrobiono.

Nim się misyonarz oddalił, pobłogosławił jeszcze mieszkanie; sprawiono skromną ucztę, podczas której obaj bracia nowego przyjaciela swego posadzili między siebie i pili zdrowie wzajemnie. Obie strony przystąpiły do ŚŚ. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, a w trzy dni potem odnowili podczas nauki pożegnalnej publicznie w kościele przyrzeczenie, nadal żyć w zgodzie i miłości wzajemnej. Zbytecznem byłoby nadmieniać, że to zdarzenie najgłębsze wywarło wrażenie; wielu mieszkańców wioski nie mogło się od łez powstrzymać. Prócz tego, wiele rodzin żyjących z sobą w nienawiści, położyło koniec nieprzyjaźni i pojednały się z sobą. Tym sposobem świetnie stwierdzoną została prawdziwość obietnicy P. Jezusa, który rzekł

do bł. Małgorzaty, że przez obrazy swego Serca obfitych łask udzielać będzie.

(Sendb. d. gött. Herz. Jesu 3. 1870).

Serce Jezusa miłosierdzia pełne.

W r. 1868 pisała pewna osoba we Francyi do W. Ojca Ramière T. J.

Mając 12 lat, oddaną zostałam do zakładu będącego pod kierownictwem nauczycielek pełnych gorliwości i poświęcenia. Ale Ojcze mój, duch ciemności, który się niegdyś nawet do raju zakradł, i do naszego drogiego zakładu się wśliznął. Przedtem byłam aniołem — lecz wkrótce zostałam — szatanem. Wszelkie uczucie religijne zupełnie straciłam. Mówiono mi o spowiedzi, o Komunii o ufności w Bogu; ja na to wszystko odpowiadałam szyderskim uśmiechem. Pewnego dnia, gdym miała lekcyę na fortepianie, rozgniewana nieustannemi przedstawieniami mojej dobrej nauczycielki, zawołałam głosem rozpaczliwym:

— Szatanie, tobie me serce daruję. Chodź i weź je w posiadanie; oddaję ci je na zawsze!

Od tego czasu nie miałam chwili spokojnej. Szatan, który odtąd stał się mym panem, nie dał mi spokoju. Wyrzuty sumienia rozdzierały me serce, ale nie miałam odwagi wyznać moich zboczeń. Jednak osoba mnie

życzliwa, która nademną czuwała, przenikła stan mej duszy, gdyż nie byłam już tak wesoła jak wtenczas, gdy miałam czyste sumienie. Gdym się przymuszała do uśmiechu ona chciała zawołać: „Toż to jest śmiech szatana“! I nie omyliła się.

Wreszcie starano się skłonić mnie do odprawienia nowenny do Najsł. Serca Jezusa. Zgodziłam się na to. Już w pierwszych dniach czułam się jakby zupełnie zmienioną. Nowenna zakończyła się Mszą na cześć Najśw. Serca Jezusa. Odtąd łaska tak potężnie działała we mnie, że przez dobrą spowiedź znowu z Bogiem jestem pojednana i mocno postanowiłam, całe me serce Zbawicielowi oddać w darze. Przez ośm lat byłam nieprzyjaciółką Boga! O módl się Ojcze, módl się za mnie.

(Kl. H. Jesu Bote. 1884. 8).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.
X. Władysław Długołęcki T. J.

POZWALAMY DRUKOWAĆ. † *A. Kard. Dunajewski*
(L. S.) Książę-Biskup.
Kraków 7 Października 1892.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

III. Ciało i Krew Pańska.

O czci Serca P. Jezusa.

(Dokończenie).

Serce Jezusa wśród żołnierzy.

Było to we Włoszech w N., wieczorem zimowym. Kapłan wracał spiesznie do domu od chorego. Droga prowadziła go wzdłuż alei. Sądził, że jest sam, gdy wtem usłyszał jęki i westchnienia. Zatrzymał się i w niejakiem oddaleniu obaczył mundur, a wkrótce dokładnie ujrzał żołnierza, który się opierał o drzewo. Może to pijany, pomyślał i już chciał go ominąć, ale przyszło mu na myśl, że nie hałasuje, jak zwykli pijani, lecz wzdycha i szlocha.

Kapłan się zbliżył, położył mu łagodnie rękę na ramieniu i rzekł:

— Ach, mój drogi, co ci się to stało?

Żołnierz odwrócił się rozdrażniony, zmie-

rzył kapłana wzrokiem nieopisanym zdumienia, ale nic nie odpowiedział.

Kapłan powtórnie zapytał.

— Czy ks. dobrodziej jest może kapelanem wojskowym? wybąknął żołnierz.

— Nie, nie jestem kapelanem wojskowym, ale jestem kapłanem i żywo interesuję się tymi wszystkimi, którzy są nieszczęśliwi. A więc mój drogi, powiedzże mi, co ci się stało?

Słowa te wywarły skutek przeciwny temu, którego się kapłan spodziewał. Żołnierz bowiem odrzekł z pewną pogardą:

— Nic, nic, nic mi się nie stało! — to rzekłszy chciał odejść.

— Przyjacielu — rzekł mu teraz kapłan z największą uprzejmością — przyjacielu, tobie coś dolegało; słyszałem jakeś wzdychał, musiało ci bardzo dolegać, czy tak?

— Z pewnością, Ojcze duchowny.

— I może ci jeszcze dolega? Gdybym mógł coś uczynić dla twej ulgi, z całego serca bym uczynił! Tylko śmiało! powiedz, co ci dolega?

— Ach księże dobrodzieju, ja cierpię jak potępieniec.

— Widzisz więc mój drogi, jak to dobrze, żem cię tu spotkał. Może niewiesz, że ja jestem przyjacielem żołnierzy. Ale możeby było dobrze, zaprowadzić cię do lekarza.

— Nie, księże dobrodzieju, chory nie

jestem, ale już od kilku dni czuję jakąś trwogę i niepokój; ani w dzień, ani w nocy nie mam spokoju, a niemam nikogo, przed kim bym się mógł użalić; ale z drugiej strony nie miałbym odwagi, serca mego przed nikim otworzyć.

Teraz już wiedział kapłan, że tu nie szło o boleść cielesną; dlatego nalegał na żołnierza, aby mu swe serce otworzył, a zarazem zapewniał go kilkakrotnie, że jest przyjacielem żołnierzy.

— A zatem niech i tak będzie, rzekł zgryźliwie żołnierz; gdzież ksiądz ma swą chałupę?

— Więc chcesz się pan spowiadać?

— Tak.

— To dobrze, chodź do mego mieszkania.

Kapłan wziął żołnierza za rękę i namawiał go, by z nim poszedł do domu. Ale żołnierz się wzbraniał, mówiąc że już po capstrzyku, że już niema czasu i że się nie przygotował.

Kapłan nie chciał czekać aż do rana; wziął się tedy na inny sposób.

— Mój drogi, ty się ociągasz, rzekł do niego, byłbym w wielkim o ciebie niepokoju, gdybym cię zostawił bez pociechy, której tak potrzebujesz; ale mam sposób usunięcia wszystkich trudności; możesz się zaraz tu wyspowiadać.

Żołnierz spojrzał na kapłana wzrokiem zdziwionym.

— Tak — mówił kapłan dalej, będziesz tej nocy daleko spokojniej spał, a jutro możesz znowu do mnie przyjść, jeżli chcesz. Ja cię tu mogę wysłuchać spowiedzi; ja sobie siędę tam pod drzewem, ty uklękniesz koło mnie, a ja ci pomogę. Gdy zobaczymy, że ktoś idzie, to wstaniemy i będziemy z sobą rozmawiali, a potem znowu uklękniesz. Czy dobrze?

Żołnierz przystał, klęknął przy drzewie, ksiądz usiadł na ławeczce i zaczęła się spowiedź. Na szczęście nikt nie przeszkodził; a gdy żołnierz wstał od spowiedzi, był rozradowany i uszczęśliwiony.

— Wielmożny księże dobrodzieju, nie myślałem, że i tak się można spowiadać. Najserdeczniej księdzu dziękuję.

— Podziękuj raczej Panu Bogu, odrzekł na to kapłan; On to przy spowiedzi łaską swoją cię wspomagał.

— Wie ksiądz dobrodziej — mówił dalej żołnierz, wie ksiądz, przypominam sobie... teraz księdzu powiem... ja myślę, że moja matka, bardzo dobra kobieta, tę łaskę mi wyjednała. Gdym „rukował“ do regimentu, teraz właśnie cztery lata, rzekła do mnie: „Mój Jurku, codzień będę mówiła jedno „Ojcze nasz“ za ciebie, abyś pozostał dobrym chrześcijaninem; a gdybyś broń Boże

poszedł na bezdroża, aby ci Bóg nie dał spokoju, aż spełnisz twe religijne obowiązki". Spowiedź była mi nieco trudna, ale teraz już minęło, a ja się cieszę bardzo, żem się wyspowiadał.

— Masz słuszność, mój drogi — odparł kapłan; — Twoja poczciwa matka modliła się za ciebie. A teraz powiedz mi, czybyś mi nie zechciał uczynić jednej obietnicy?

— Obiecuję księdzu dobrodziejowi wszystko, co tylko ksiądz sobie życzy.

— A zatem obiecaj mi, zmówić codzień jedno „Ojcze nasz", za tych kamratów, którzy swych religijnych obowiązków nie chcą spełniać.

— Dobrze, obiecuję księdzu. I spodziewam się, że za kilka dni niejednego księdzu dobrodziejowi przyszlę.

Kapłan z wielką radością przyjął tę obietnicę; spełniła się ona wcześniej, niż się spodziewał.

Zaledwie dwa albo trzy dni upłynęło, przyszedł do mieszkania jego żołnierz, który z groźną miną tak doń przemówił:

— Księże proboszczu, chciałbym wiedzieć, dlaczego mnie ksiądz proboszcz nie pozdrowił.

Ksiądz zmięszał się z początku na takie pytanie, ale wkrótce uspokoiwszy się rzekł:

— Słuchaj mój dzielny wojaku, ja wcale sobie nie przypominam ciebie; zdaje mi się,

żeśmy się nawet nigdy nie znali; być jednak może, żeśmy się kiedyś widzieli.

— Rozumie się, żeśmy się widzieli, odparł żołnierz tymsamym tonem, ksiądz szedłeś koło odwachu; pozdrowiłeś mego towarzysza, ja byłem niedaleko — a mnieś ksiądz nie pozdrowił.

— Jeźliś ty mnie pozdrowił, a ja się nie odkłoniłem, tom cię z pewnością nie spostrzegł; o tem bądź przekonany.

— Nie, księże proboszczu, ja nie salutowałem, a jednak chciałbym wiedzieć, dla czego mnie się ksiądz nie ukłonił.

Teraz zaczął kapłan myśleć, że może temu człowiekowi brakuje piątej klepki; ale przypatrzywszy mu się dobrze, przekonał się, że nie; nie mógł jednak pojąć, zkąd pochodziło tak dziwne zachowanie się tego żołnierza.

Wytłumaczył mu więc grzecznie, ale i stanowczo, że tym się tylko kłaniać zwykł, którzy go albo pierwej pozdrowią, albo których zna osobiście — tej zasady się trzyma mianowicie wobec wojskowych, gdyż nie chce żadnego z nich narażać na szyderstwa i kpiny kamratów.

— Zresztą — dodał — tego żołnierza, któremu się odkłoniłem, znam osobiście i bądź pan pewny, że jestem przyjacielem żołnierzy, których wielu znam w waszej kompanii. Twoje wyrzuty mój drogi panie,

nie są mi przykre; a ponieważ pan takich oznak czci i miłości od kapłana się domagasz, dowodem jest, że pan i religię i księży kochasz.

— Myli się ksiądz proboszcz, — odparł żołnierz; — ja wcale nie lubię księży. Jak tylko jakiego księdza zobaczyłem, zaraz w okropną złość wpadałem.

— Oho! nie sądziłbym był o panu coś podobnego.

— A jednak tak jest; gdy moi towarzysze księży przezywają, to ja jeszcze bardziej, ale dość o tem! Gniewało mnie to, że ksiądz proboszcz mego towarzysza pozdrowił, a mnie nie; więcem postanowił przyjść i zapytać się o przyczynę.

— Dobrze, mój drogi, ponieważ tak szczerze i po prostu mówisz, to się dobrze, jak ufam, zrozumiemy. Ja pana wprawdzie nie znam bliżej, ale jestem o tem mocno przekonany, żeś pan nie zawsze nienawidził księży, bo jak mi się zdaje, masz pan dobre serce.

— O! co się tego tyczy, to ma ksiądz słuszność; gdym jeszcze był w domu, mówiono o mnie: „Głowa pusta, ale serce dobre“.

— Przypuszczam także, żeś pan kochał księży w czasie pierwszej Komunii.

Na myśl o pierwszej Komunii, ta dzika natura zdawała się mięknąć, jakoż potwier-

dził pytanie niemem głowy skinieniem. A kapłan tak dalej mówił:

— Jeżli pan chcesz, to panu powiem dla czegoś pan księży kochał, a dlaczego ich teraz już niecierpisz.

— I owszem, proszę mi powiedzieć, księże proboszczu.

— To prosta rzecz, mój drogi przyjacielu, boś pan wtenczas kochał religię i spełniałeś jej przepisy, a teraz...

— Ach teraz — rzekł żołnierz wzruszony — teraz... ah! proszę o tem nie mówić.

— Teraz już od dłuższego czasu czytasz pan złe książki, teraz obcujesz wciąż ze złymi towarzyszami, a gdy obaczysz księdza, to czujesz wyrzuty sumienia, a to się panu nie podoba. O, wtenczas byłeś pan szczęśliwy, nie prawda? Zdaje mi się jednak, że pan nim teraz nie jesteś.

Żołnierz zmierzył księdza od stóp do głów i zapytał:

— Jakże ksiądz to wie, księże proboszczu?

— Wiem pewnie, żeś pan nieszczęśliwy.

— Istotnie, jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwy — mówił żołnierz dalej — a ponieważ księdza mój los obchodzi, to księdzu jasno powiem: Już od kilku dni noszę się z myślą samobójstwa. Jakiś głos mnie prześladuje i mówi mi: Ty sobie musisz życie odebrać. A choć wszelkim sposobem się staram te myśli oddalić, to wyrzuty sumienia

i smutek nie dadzą mi chwilki spokoju, tak iż ani spać nie mogę. Gdy ksiądz niedawno szedł koło odwachu, myślałem właśnie o samobójstwie i powtarzałem sobie w duszy: Trzeba już koniecznie koniec zrobić!

To mówiąc, wyjął sznureczek z kieszeni.

— Chciałem — rzekł — dziś rano uwiązać sobie kamień do szyi i rzucić się w wodę.

Kapłan drżał przy tem opowiadaniu na całem ciele, ale nie dał tego po sobie poznać, lecz wziął żołnierza za rękę i rzekł:

— Tak jest, mój drogi, twemu nieszczęściu trzeba koniec zrobić, ale nie tak, jak ty myślisz. Wszak jest całkiem inny środek ku temu, a ten nieomylny środek jest ci wiadomy. Pan żyjesz z Panem Bogiem w nieprzyjaźni, musisz więc z Nim pokój zawrzeć.

— A jakże się to ma stać?

— Musisz pan powrócić do ćwiczeń twej religii, które cię pierwej tak szczęśliwym czyniły, pan się musisz spowiadać.

— To prawda, ale to niemożliwe.

— Jak to niemożliwe?

— Ja księdzu proboszczowi powiem! Ja nikogo nie znajdę, ktoby mnie chciał wyspowiadać. Potem spowiedź kosztowałaby mnie wiele zwycięztwa nad sobą, gdybym w kościele stanął na widoku i czekał, aż na mnie kolej przyjdzie.

— Ależ kto tego od pana żąda? Widać, że pan w tych rzeczach mało masz jeszcze

biegłości; pan się możesz teraz zaraz przedemną wyspowiadać, jeźli pan chcesz. Nim się pan spostrzeżesz, już będzie koniec, a od pana odstąpią wszelkie myśli samobójcze.

Żołnierz jeszcze się nieco namyślał, a potem rzucił się na kolana i zaczął się spowiadać. Gdy wstał, ściskając silnie kapłanowi rękę, rzekł:

— Spełniłem obowiązek, jestem zadowolony. Już minęło.

— Tak jest, mój drogi; minęła twoja męka; podziękuj Panu Bogu, który czuwał nad tobą, i Najśw. Pannie, która cię od większego nieszczęścia zachowała. Teraz masz znowu pokój z sobą i z Panem Bogiem. Tej tak wielkiej łaski z pewnością niczem sobie nie wysłużyłeś, nie prawda?

— Z pewnością księże proboszczu; byłem na całkiem złej drodze, ale może jaki poczciwy towarzysz za mnie się modlił.

— W rzeczy samej, tak jest; ktoś się modlił za ciebie, abyś się nawrócił; a teraz kiedyś już odzyskał łaskę Boską, musisz mi przyrzec codzień „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Marya“ zmówić za tych, którzy są w stanie grzechu śmiertelnego.

— Nietylko jedno „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“ zmówię, ale tyle ile będę mógł. O jak szczęśliwy jest człowiek, kiedy z Panem Bogiem żyje w pokoju! Jeźli mi się uda kilku z mych towarzyszy do księdza pro-

boszcza przyprowadzić, to z nimi znowu przyjdę, jeźli ksiądz proboszcz niema nic przeciwko temu.

— Wcale nic! Przychodź tylko z twymi towarzyszami ile razy chcesz. Im częściej tem lepiej. Jużem ci powiedział, że jestem przyjacielem żołnierzy. Do widzenia, mój dzielny wojaku, do widzenia!

Po tych słowach rozeszli się.

W ten sposób ów zacny kapłan zapoznał się z kilku żołnierzami garnizonu, a ci niedługo doń innych towarzyszy przyprowadzili. W jedno święto, zgromadził ich wszystkich w koło siebie w kaplicy, gdzie dla nich Mszę św. odprawił. Po Mszy św. wytłumaczył im, na czem zależy cześć Najsł. Serca Jezusa i zapisał ich do Apostolstwa Serca Jezusowego, dając im nazwę „Apostołów żołnierskich“. Uczynił to w tym celu, aby i nadal często przystępowali do Sakramentów św. i codzień „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“ za swych towarzyszy mówili. Odtąd poczciwi ci żołnierze podwoili swą gorliwość — między nimi odznaczał się jeden stary podoficer. Kapłan zrobił go „zelatorem“, bo był nim w rzeczy samej.

Tymczasem wybuchła wojna 1866 roku. Widok zbliżającego się niebezpieczeństwa ożywił wiarę w sercach wielu zbłąkanych, albo zobojętniałych młodzieńców i wielu przystępowało do spowiedzi, nim wyruszyli

na wojnę. I nie jedna łza zrosiła policzki tych zuchów, gdy się ze swym kapłanem ukochanym żegnali. Przyrzekli mu święcie, przedewszystkiem nie zaniedbywać swych religijnych obowiązków, a potem starać się o rozpowszechnienie czci N. Serca Jezusa i o wyniku swych starań od czasu do czasu go uwiadamiać.

W kilka miesięcy potem, otrzymał ów kapłan list od starego podoficera. Pisany był na polu bitwy pod Custozzą. I on i jego towarzysze byli w tej bitwie. Dziwną Opatrznością Boską nietylko wszyscy przy życiu zostali, ale nawet wszyscy bez wyjątku wyszli z bitwy tej zdrowi i bez najmniejszej rany.

Uradowany kapłan odprawił Mszę dziękczynną, aby Najsł. Sercu Jezusa za tę łaskę godne złożyć dzięki.

(Sendb. d. göttl. Herz Jesu 1882, 10).

Z Węgier.

Przełożony bractw Najsł. Serca Jezusa i Niepokalanego Serca Maryi opowiada co następuje:

— Tu w M. są na pierwszem miejscu konwiktorowie, którzy nabożeństwo do Serca Jezusa i Maryi wśród kolegów swoich rozpowszechniają, a ci znowu prowadzą do nas swoich rodziców lub gospodarzów, u których

stoją na stancyi. Nieraz całe wojsko studentów mnie obstąpiło. To mi dało sposobność, powiedzieć im jaką nauczkę. Nawet mniejsze chłopaki z normalnych klas przychodziły, aby ich do bractw zapisać. Oni w całej prostocie przychodzili, a ja ich w prostocie mej przyjmowałem. To postępowanie z małymi chłopakami niektórzy ganili, przyznawałem im słuszność, bo „co tam dzieci rozumieją o Sercu Jezusa i Maryi, co one wiedzą o nawróceniu grzeszników“?

Tymczasem przekonałem się, że tak nie jest. Chłopczyk 8-letni, który już do bractwa był zapisany, przychodzi do furty. Na pytanie furtyana, czego żąda, odpowiedział: „spowiadać się“: Zaprowadzono go do mnie.

Poczciwy chłopczyna trzyma oburącz kartę wpisową, na której jego imię było wypisane, tak jak dyakon zwykł trzymać mszał, kiedy prosi celebransa o błogosławieństwo do godnego opowiadania Ewangelii. Był zmięszany. Spostrzegłszy, że chłopczyk jest zrozpaczony, przystępuję doń i nachylam się ku niemu.

— Czego sobie życzysz, moje drogie dziecko?

— Spowiadać się.

— A czy ty wiesz, co to znaczy spowiadać się?

— Nie, ja się tego jeszcze nie uczyłem.

— A jednak chcesz się spowiadać?

— Tak jest, proszę.

I płakał gorzko. Widząc tak serdeczną skruchę i żal jego, oraz gotowość i pragnienie wyjawienia przedemną jako zastępcą Bożym wszystkiego co miał na sercu i uczynienia wszystkiego, czego odeń żądać będę: sądziłem, że na ten raz chłopczyna nie potrzebuje dokładniejszego pouczenia; kazałem mu więc uklęknąć, a on wśród potoku łez odprawiał pierwszą swoją spowiedź tak, jak jabym życzył sobie ostatnią odprawić.

Zaiste, i dzieci wiedzą, albo przynajmniej czują, co znaczy Serce Jezusa i Maryi i co znaczy nawrócenie grzeszników. Niezmiernie ucieszony i jakby w anioła przemieniony wyszedł chłopczyna odemnie.

Wrażenie to, jak się spodziewam, zostanie mu na całe życie.

(Sendb. d. g. H. Jesu. 1865, 4).

Ze Szlązka.

Pewna bardzo zacna kobieta, cierpiała blisko 9 miesięcy na kurcze żołądkowe, a przytem doświadczała strasznych niepokojów na duszy. Chodziła do kilku lekarzy, ale do leczenia wodą była jeszcze za słaba; inny lekarz rzekł jej:

— Choćbym pani dał całą moją aptekę, tobym pani nic nie pomógł. Duszne te niepokoje zamroczyły jej umysł tak, że zaczęła rozpaczać. Prosiła wciąż swego męża, aby

ją zabił siekierą, a że ten naturalnie nie chciał tego uczynić, skoczyła do studni 15 sążni głębokiej. Ujrzawszy to synek jej czteroletni, pobiegł natychmiast do starszej siostry, a ta do gospodarza domu i prosiła, by matkę wyratował. Ten natychmiast przybiegł i zapomocą wiadra ją wyciągnął. Wprawdzie nie poniosła żadnego uszkodzenia, ale choroba i niepokoje duszne nie ustępowały. Rzekła tedy do najstarszej córki:

— Idź też do księdza proboszcza i proś go, aby do mnie przyszedł. Boskie Serce Jezusa już mi dawniej raz pomogło, mam nadzieję, że Ono mi i teraz pomoże. I ty także możesz coś uczynić!

Odwiedziłem chorą i znalazłem ją w bardzo smutnym stanie. Mówiła do mnie:

— Nie prawda, księże proboszczu, żeby to nie było grzechem, gdyby mnie kto zabił?

— Oho! — rzekłem — nie dałaś sobie życia, nie możesz go sobie odbierać, i nikomu na to pozwolić; inaczej obie osoby ciężki grzech popełniają.

— Tak, ale boleści są nieznośne! — odrzekła; — a ja na to:

— W piekle są jeszcze bardziej nieznośne. Serce Jezusa pomoże!

Następnie poleciłem ją modlitwom członków Apostolstwa, przyjąłem całą rodzinę do tegoż i poleciłem im nowennę do Najsł. Ser-

ca Jezusa, Maryi i św. Józefa. Jak cudownie to pomogło, wszyscy się dziwują.

W krótkim czasie chora o tyle do zdrowia powróciła, że mogła przyjść do kościoła, aby przyjąć ŚŚ. Sakramenta, na podziękowanie Panu Bogu; a niedawno przyszła do mnie pełna radości, prosiła o Mszę dziękczynną i posłanie podziękowania do Intencyi miesięcznej Apost. Serca Jezusa z obietnicą, że co rok w rocznicę dnia, w którym miała nieszczęście wskoczyć do studni, przyjmować będzie ŚŚ. Sakramenta.

(Sendb. des. g. H. J. 1883, 3).

Śmierć szczęśliwa.

W szpitalu w S. umarł przed czterema tygodniami młody człowiek, mający 29 lat. Należał do zacnej rodziny mieszczańskiej i w dziecinnym wieku był religijnie wychowany. Ale skończywszy szkoły ludowe, poszedł do terminu i tu od lekkomyślnych towarzyszy, przez mowy przeciw wierze, bojaźń i wzgląd ludzki, tak się zepsuł, że od pierwszej Komunii, ani razu do ŚŚ. Sakramentów nie przystąpił. Paryż zepsuł go do reszty, tak, że powróciwszy do miasta rodzinnego, jako syn marnotrawny oddał się wszelakiej rozpuście i sławę, dobre imię, majątek i zdrowie utracił. Pozostał mu tylko szpital, do którego go w styczniu 1883 roku

jako chorego na piersi przyjęto. Tu objawiał najgorsze usposobienie, bo przy każdej sposobności szydził i drwił z religii i księży, ku największemu zgorszeniu chorych i boleści sióstr, które szpitalem zawiadywały. Te zacne dusze starały się nasamprzód przez miłość i uprzejmość, przez najtroskliwsze pielęgnowanie i wszelkiego rodzaju ulgi, zmiękczyć jego serce i Bogu go pozyskać, a same w najgorliwszej modlitwie polecały go Najsł. Sercu Jezusa i Maryi. Byłoby za długo opowiadać wszystko, co one przez ośm miesięcy w tej mierze czyniły; krótko mówiąc i z osobna i wspólnie odprawiały nowennę za nowenną, polecały go modlitwom Apostolstwa, obiecały publicznie podziękować, a osobliwie około Wielkiejnocy wszystko czyniły, aby go skłonić do spowiedzi wielkanocnej, ale wszystko daremnie. Odpowiadał znanym frazesem:

— Sumienie moje jest zupełnie spokojne, nie mam sobie nic do wyrzucenia.

Siostra, która tę salę opatrywała i najbardziej o zbawienie jego duszy się troszczyła, chciała go wreszcie nakłonić do przyjęcia medalika N. Panny, ale chory tak stanowczo i z takiemi objawami niewiary oparł się temu, że biedna siostra jasno poznała, że tu tylko cud łaski Bożej dopomódz może. Dla tego też od tego czasu milczała, ale podwoiła modlitwy i wytrwała, choć ją zniechęcenie na-

padało, gdyż miesiąc płynął za miesiącem bez śladu jakiejkolwiek poprawy. Jedna okoliczność dodawała jej otuchy: Chociaż chory najmniejszej wdzięczności nie okazywał siostrom, to względem chorych towarzyszy okazywał nieraz współczucie i dobroduszną hojność; ci zaś mieli nadzieję, że Bóg się nad nim zmiłuje.

W końcu sierpnia stan zdrowia jego znacznie się pogorszył; siostra prosiła posługacza, by choremu do sumienia przemówił. Ten pobożny młodzieniec uczynił to z największą ochotą i ku swemu zdziwieniu, taką od chorego otrzymał odpowiedź:

— Ale jeźli się będę spowiadał, to tylko przed księdzem M... który mnie do pierwszej Komunii gotował.

Nie ufano mu wprawdzie, ale proszono księdza M..., aby chorego odwiedził. Pokazało się jednak, że chory nie na żarty chciał się spowiadać. Jakoż spowiadał się długo i ze skruchą widoczną — odtąd zmienił się zupełnie; był łagodny i cierpliwy, mianowicie podczas długich bezsennych nocy, wdzięczny za najmniejszą przysługę, przyjmował każde słowo pobożnej zachęty a mianowicie niestrudzonym był w modlitwie. Żył jeszcze cztery tygodnie, podczas których swe otoczenie tak budował, jak je dawniej gorszył. W ostatnich dniach nie wypuszczał krucyfiksu z ręki; wciąż go całował i wzy-

wał Ukrzyżowanego; nawet gdy lekarz protestant go odwiedzał, podnosił krucyfiks w górę i więcej Jezusem był zajęty, jak tem co doń lekarz mówił. Ostatnie jego chwile były bardzo piękne i pełne pociechy; umarł, ucałowawszy krucyfiks z imionami Jezusa i Maryi na ustach. Wszyscy wielbili Boga za jego miłosierdzie nieskończone, osobliwie zaś siostry czuły się szczęśliwemi i prosiły mnie, bym publiczne złożył podziękowanie Najsł. Sercu Jezusa.

To nawrócenie wszystkich bardzo zbudowało, gdyż życie zmarłego aż nadto było wszystkim wiadome.

(Sendb. d. gött. H. Jesu 1, 1884).

Morze nieprzebranego miłosierdzia.

Z pierwszych lat życia mego, opowiada pewien nawrócony, pozostały mi tylko niejasne wspomnienia, ale z tych wspomnień jedną rzecz t. j. wielki obraz widzę jakby mej duszy obecny, który wisiał nad figurą Matki Boskiej w naszem mieszkaniu. Przed tym obrazem kazała mi matka się modlić. Obraz ten przedstawiał Zbawiciela, jak Serce swe okazuje. Ten też obraz wywierał pewnego rodzaju czar na mnie, bo mi matka mawiała:

— Jezus cię widzi, a jeźli nie będziesz grzeczny, to cię wyrzuci z Serca swego.

Wieczorem dnia pierwszej Komunii, gdyśmy wszyscy t. j. cała rodzina według zwyczaju razem przed tym obrazem uklękli na modlitwę, obiecałem Zbawicielowi, że Go zawsze kochać będę i prosiłem Go, by mnie zawsze w swem Sercu zachować raczył. Ale ach, namiętności mnie zwyciężyły wkrótce. Dla nauki młodych ludzi mówię, żem się stał ofiarą dwu strasznych rzeczy, które w naszych czasach wszystkiej młodzieży wiarę i cześć odbierają, t. j. złych towarzystw i złych książek. W dwudziestym roku życia, byłem najwyuzdańszym rozpustnikiem w rodzinnem mieście. Przez trzydzieści lat zbrodnię do zbrodni dodawałem. Wstąpiłem do wojska i Bóg tylko wie, jakie tam życie prowadziłem. Za złe prowadzenie się, posłano mnie do Afryki.

Ponieważ nie miałem odwagi mej rodzinie na oczy się pokazać, pozostałem tam przez długi czas; w końcu przecież musiałem powrócić. Co tu począć? Chodziłem od miasta do miasta, szukając pracy i często tylko żebranym chlebem się utrzymywałem; a tymczasem coraz głębiej zapadałem w zbrodnie. Doszedłem wreszcie do ostatniego stopnia bezbożności i tarzałem się w błocie namiętności. O, rumienię się ze wstydu pisząc te słowa, ale czynię to przecież na cześć i na chwałę Twego Boskiego Serca, o Jezu!

Napozór całkiem przypadkowo przysze-

dłem do Paray le Monial. Było to w dzień uroczysty. Tysiące świateł płonęło w oknach, bramy tryumfalne powznoszono, nieprzejrzane tłumy napełniały ulice, a pod niebiosa unosił się śpiew, którego melodyę jeszcze dzisiaj jakoby słyszę: Boże litości, Boże zwycięzco!

Zdziwiony pytam staruszki, stojącej obok mnie:

— Co to wszystko znaczy?

— Jak to? pan nie wiesz? To wielka procesya.

— Co za procesya? i poco?

— Na cześć Najsłodszego Serca Jezusa!

— Serca Jezusa? Gdzie Ono jest? Można je widzieć?

— Przecież pan wiesz, że go widzieć nie można. Ale Ono objawiło się zakonnicy Nawiedzenia, Błogosławionej Małgorzacie Maryi i poleciło jej, aby cześć Jego między ludźmi rozszerzała.

— Gdzież są zakonnice Nawiedzenia? pytam i idę za wskazówkami staruszki do klasztoru. Wszystkie szyderstwa na procesye, które w brudnych gazetach czytałem, przyszły mi teraz na myśl; z uśmiechem na ustach przyglądałem się ludziom, którzy z godnością, mając czerwony krzyż na piersiach, postępowali, a jednak uczułem w sobie pewne wzruszenie. Uderzyły mnie zwłaszcza słowa, wymawiane głośno przez grono

młodych ludzi: „Miłosierdzia Panie, dla tych wszystkich słabych ludzi, którzy Cię obrażają, nie wiedząc co czynią, niech znowu zajaśnieje niezmazana pieczęć Chrystusa, którą niegdyś na ich czołach wycisnąłeś“.

Przyszedłszy do klasztoru Nawiedzenia, chciałem się przecisnąć do kaplicy, ale aż po brzegi była natłoczona. Mając zamiar poczekać, aż się przerzedzi, oglądałem się nie wiedząc nawet o czem wtenczas myślałem. Wzrok mój padł na wielkie tablice, białem płótnem obite, na których były napisy czerwone. Jeden z nich był taki: „Obietnice Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, dane bł. Małgorzacie Maryi“. Napisy te, które za porządkiem czytałem, były dla mnie czczemi słowami bez wszelkiego znaczenia, których nic a nic nie rozumiałem: „Łaska, miłosierdzie, doskonałość“. Jeden jednak wiersz uczynił na mnie wrażenie: „Kapłanom dam łaskę wzruszania serc najzatwardzialszych“.

Cała moja bezbożność stanęła mi żywo przed oczyma duszy. „Wzruszania serc najzatwardzialszych“ tak piszą, rzekłem sam do siebie. Muszę spróbować, to nie zawadzi; wezmę ich za słowo i zaraz o księdza zapytam. Jakież słowa mogą być jemu poddane, aby one potrafiły poruszyć serce takie jak moje? I z szyderskim uśmiechem uderzyłem się w piersi. W tej chwili

szła zakonnica obok mnie; szorstko zwróciłem się ku niej:

— Chciałbym się widzieć z księdzem — z księdzem z Paray le Monial.

Zaprowadziła mnie do małej izdebki, której bielone ściany nosiły czarne napisy; ale ja na nie nie uważałem. Powtarzałem tylko uśmiechając się szyderczo: „Kapłanom dam łaskę wzruszania serc najzatwardzialszych".

Wkrótce przyszedł kapłan. Patrzymy sobie oko w oko; stoimy tak kilka sekund, on na mnie spogląda czekając, czy zacznę mówić. W całej postawie mojej przebijała się tylko bezbożność i szyderstwo — a jednak zadrżałem chwilowo. Kapłan to spostrzegł:

— No, mój przyjacielu! — rzekł.

— To jedno słowo wróciło mi śmiałość i zuchwalstwo.

— Przyjacielu!? O, ksiądz mnie nie znasz. Ja jestem niewierny, ja w nic z tego nie wierzę, co ksiądz mówi, a osobliwie co ksiądz pisze. Nazwij mnie ksiądz wyklętym, niewiernym, poganinem, wszystkiem, czem ksiądz chce; ale przyjacielem — nie!

Długo mówiłem w tym tonie. Zdanie które na białej tablicy czytałem, brzmiało wciąż w mych uszach, a towarzyszyło mu pytanie: „Co on mi też powie"? Ksiądz pobladł, ale ani śladu niecierpliwości nie było ani na twarzy jego, ani w postępowaniu. Nie za-

puszczając się w odpowiedź na me bluźnierstwa, zadawał mi różne pytania. Ja się śmiałem — on to dobrze uważał, ale nie rozumiał ruchu mej głowy, który miał znaczyć: „To nie to“.

Wygrałem... tryumfowałem. Już chciałem głośnym wybuchnąć śmiechem, i wszystko mu powiedzieć, gdy nagle... ach! drżę na te słowa, zapytał:

— Mój przyjacielu, czy masz jeszcze matkę?

O mój Boże! Jakiż skutek wywarło to pytanie! Serce Jezusa tu na mnie czekało! Serce me było wzruszone, łzy płynęły, drżałem na całem ciele!

— Czy mam matkę? Ksiądz mówisz o mojej matce? Ach tak, to prawda! Najświętsze Serce Jezusa! Ach widzę ten obraz, przed którym jako mały chłopczyna klęczałem obok mej matki! Konając pisała do mnie, a ja na to nie zważałem: „Moje dziecko, piszę do ciebie z łoża śmiertelnego; umieram ze zgryzoty, którą mi sprawiłeś; ale cię nie przeklinam, bo zawsze miałam nadzieję, że cię Najsłodsze Serce Jezusa nawróci“. Ach moja matka! Proszę słuchać! Przy wejściu do kaplicy czytałem, że Serce Jezusa kapłanom daje łaskę wzruszania serc najzatwardzialszych. Przyszedłem usłyszeć, co mi ksiądz powie, aby się potem z księdza wyśmiać. Teraz czuję, żeś mię ksiądz nawrócił.

Kapłan ukląkł — modlił się i płakał. Poszedłem do kaplicy Serca Jezusa — rzuciłem się na kolana przed kapłanem — wyznałem moje grzechy, a w kilka dni potem przystąpiłem do Stołu Pańskiego. A teraz! Niech to wszystko będzie na cześć Twego Najświętszego Serca, o Jezu; Kapłani kochajcie to Najświętsze Serce, a będziecie dusze ocalać! Matki, co płaczecie nad zdrożnościami waszych dzieci, błagajcie za nie Najświętsze Serce Jezusa!

(Frbg. Kirchbl. 1879, 26).

Opuszczamy tysiące innych przykładów, znanych z „Intencyj miesięcznych“ i innych dziełek o Sercu Jezusa. Wybraliśmy tylko te, które świadczą o miłosierdziu nieprzebranem Najsł. Serca Jezusa, a nie są znane czytelnikom naszym.

IV. Pokuta.

Pokuta, mówiąc w ogólności, jest to kara, jaką sobie człowiek za grzechy dobrowolnie wymierza, aby Panu Bogu za obrazę zadosyć uczynić. Pokuta w szczególności jest to kara, którą kapłan grzesznikowi przy spowiedzi zadaje.

Pokuta zaś jako Sakrament jest to Sakrament, w którym kapłan na miejscu Chrystusa czyli raczej Chrystus sam przez kapłana grzesznikowi grzechy odpuszcza, jeźli za nie serdecznie żałuje i z onych się szczerze spowiada.

Ponieważ człowiek grzeszy albo *wewnętrznie:* myślą, upodobaniem lub pragnieniem grzechu, albo *zewnętrznie:* słowem lub uczynkiem, dlatego i pokuta powinna być dwojaka: *wewnętrzna* i *zewnętrzna.*

Wewnętrznie za *myśli* pokutujemy uznaniem wielkości i szkarady grzechu, do czego pomaga *rachunek sumienia,* który bardzo jest przykry zwłaszcza dla tych, co mają wielkie grzechy lub dawno się nie spowiadali; za *upodobanie* wewnętrzne w grzechu, pokutujemy przez *obrzydzenie* go sobie; za *pragnienie* grzechu *żalem* i pragnieniem niegrzeszenia czyli mocnem *postanowieniem* poprawy.

Zewnętrznie pokutujemy *mową* przez wyznanie grzechów, czyli spowiedź i *uczynkiem* przez zadośćuczynienie Bogu i bliźniemu i przez uczynki pokutne.

Niezwykłe nawrócenie.

Niektórzy mniemają, że kto pozostaje dłuższy czas w jakim nieszczęśliwym nałogu, ten nie ma już siły powstać z niego, i jest niejako zniewolonym do grzechu; ale przeczytawszy następujący przykład, przekonają się, że niema nic, czegobyśmy nie mogli uczynić w Tym, który nas umacnia, i że łaska ułatwia wszystko tym, którzy postępują według natchnień zbawiennych.

W wiosce położonej koło Nîmes, mieszkał wieśniak imieniem Jan, który od młodości oddawał się pijaństwu tak, że nie będąc nigdy trzeźwym, uchodził za największego pijaka w okolicy. Proboszcz tej parafii, sprowadzając misyonarzy dla moralnego podniesienia swych owieczek, uprzedził ich o tem. Ale ta przezorność pasterza okazała się nieużyteczną, bo nietylko, że wieśniak nie pokazał się żadnemu z misyonarzy, ale nawet przez pierwsze trzy tygodnie nie był obecnym na żadnej nauce misyjnej. Dopiero na dwa dni przed skończeniem misyi, zdecydował się przyjść na kazanie o synu marnotrawnym czyli o miłosierdziu Boskiem. Kazanie to miał ksiądz Castel z Nîmes, jeden z najgorliwszych i najwięcej utalentowanych misyonarzy. Ta mowa wypowiedzia-

na z wielką siłą i namaszczeniem, zrobiła silne wrażenie na nowym słuchaczu. Poznał swój obraz odmalowany w synu marnotrawnym, poznał w dobroci ojca, wzruszającą dobroć Boga, a ożywiony ufnością i skruchą powtórzył za przykładem marnotrawcy ewangelicznego:

— Porzucę nakoniec nieszczęśliwy nałóg, w którym tak długo leżałem i pójdę rzucić się do nóg tego Boga miłosierdzia, przedstawionego mi pod obrazem najczulszego ojca.

Jego postanowienie było niemniej budujące jak niespodziewane; następnego dnia rano udał się do księdza Castel, którego kazanie słyszał, a wybuchając płaczem rzekł:

— Oto masz Ojcze przed sobą największego grzesznika na ziemi. Powiedziałeś wczoraj, że miłosierdzie Boże jest większe jak wszystkie grzechy nasze, a pragnąc ściągnąć na siebie zbawienne jego skutki, przychodzę Cię prosić o wysłuchanie spowiedzi. Ah! nie odmawiaj mi, mój Ojcze, zaklinam Cię, doprowadziłbyś mnie do rozpaczy, bo nie mogę już dłużej znieść wyrzutów sumienia i nie uspokoję się, dopóki nie pojednasz mnie z Bogiem miłosiernym, którego tak bardzo obraziłem.

— Misyonarz wzruszony zdziwił się tembardziej, gdy poznał, że to był ów sławny

pijak, o którym tyle mówiono. Ściskał go z rozczuleniem w swoich objęciach i okazywał mu tesame uczucia, jak ojciec synowi marnotrawnemu, lecz przedstawił mu ze słodyczą, że przyszedł zapóźno, więc się obawia, by nie było za mało czasu do udzielenia mu tak gorąco upragnionego przebaczenia.

— Ach jeżeli tak jest — rzekł wieśniak zalewając się łzami — już wszystko skończone, jestem zgubiony, ale mam nadzieję, że jak mnie lepiej poznasz, ulitujesz się nademną. Zrób mi tę łaskę i wysłuchaj mnie o mój dobry Ojcze! Niech mam tę pociechę, bym się mógł wyspowiadać.

Ksiądz Castel zadosyćuczynił jego żądaniu, a wieśniak odbył spowiedź bardzo dokładną, której towarzyszyły westchnienia i łzy, tyle oznak żywego i szczerego żalu, iż nie chciał się nawet poddać przezornej radzie mu udzielonej, aby ze względu na zdrowie, zupełnie nie wyrzekał się wina, lecz używał go rzadziej i z umiarkowaniem; powtarzał często i stanowczo, że go nie nigdy nie pojedna z tym strasznym wrogiem, który zadał śmierć jego duszy, a którego będzie o tyle nienawidził, o ile go miłował przedtem. Spowiednik udzielił natychmiast rozgrzeszenia penitentowi, który okazał się na samym wstępie lepiej usposobiony niż inni po długich próbach. Udzieliwszy mu więc

absolucyę, zachęcał gorąco do wytrwania w uczuciach, jakie Bóg w nim wzbudził. Wieśniak dotrzymał wiernie danej obietnicy.

W pięć lub sześć miesięcy potem, jedna z sióstr Jana pojechała do Nîmes. Tam spotkał ją ksiądz Castel i zapytał o swego penitenta:

— Idziesz pewno z domu i możesz mi powiedzieć, co się dzieje z poczciwym Janem?

— O mój dobry Ojcze, odpowiedziała kobieta, jesteśmy ci bardzo wdzięczni; zrobiłeś z niego świętego. Od czasu jak nas opuściłeś, nietylko jego dawni przyjaciele nie mogli go zaciągnąć do karczmy, ale nam samym było niepodobieństwem, skłonić go do przełknięcia jednej kropli wina.

— Ono było moim największym nieprzyjacielem — powtarza, gdy mu się o tem wspomni — przysiągłem mu wieczną nienawiść, dotrzymam słowa, nie mówcie mi więcej.

Zacny misyonarz nie mógł słuchać tych słów bez łzy radości, a ile razy powtarzał to zdarzenie, które z ust jego otrzymaliśmy, miał zwyczaj mawiać, że po takiem nawróceniu nie powinno się wątpić o żadnym grzeszniku. (Anecdotes chretiennes).

Poncyusz de Lavèze.

Poncyusz de Lavèze, władca Languedocyi, będąc przez dłuższy czas postrachem swoich sąsiadów i plagą całej okolicy, został nagle tak przerażony obawą sądów Bożych, że postanowił uczynić pokutę tak głośną, jak były jego występki, zmieniając jednocześnie życie i prowadzenie.

Nasamprzód sprzedał dobra swoje i obrócił je na dobre uczynki, zaspokoiwszy przedewszystkiem obowiązki względem swoich poddanych. Kazał ogłosić, aby wszyscy skrzywdzeni przez niego, zebrali się w Pignerol, w trzech pierwszych dniach wielkiego tygodnia, który się zbliżał.

W niedzielę palmową, udawszy się do Lodève, oczekiwał przybycia procesyi na plac publiczny, na którym z wzniesionej w tym celu ambony miało być kazanie dla ludu. Wtedy Poncyusz kazał się prowadzić z powrozem na szyi, z obnażonemi ramionami, których ci którzy go prowadzili nie przestawali chłostać z jego rozkazu ostremi rózgami.

Wszedł na podwyższenie, na którem duchowieństwo zajęło miejsce, rzucił się do nóg biskupa, a przedstawiając mu papier, na którym spisał swoje grzechy, prosił go o odczytanie ich w obecności całego ludu.

Biskup chciał mu oszczędzić wstydu, ale penitent silnem naleganiem zmusił go do

zadosyć uczynienia jego prośbie. Podczas czytania kazał się znowu smagać rózgami, uznając się być winnym swych nieprawości.

Zbudowanie było wielkie pomiędzy obecnymi, a ci którym fałszywy wstyd zamykał usta przy spowiedzi, pobudzeni jego przykładem czynili wspaniałomyślnie pokutę.

(Anecdotes chretiennes).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki T. J.

L. 4351.

POZWALAMY DRUKOWAĆ. † *A. Kard. Dunajewski*
(L. S.) Książę-Biskup.

Kraków 19 Października 1892.

W Krakowie, w drukarni „Czasu" pod zarz. J. Łakocińskiego
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

IV. Pokuta.

(Ciąg dalszy).

Ksiądz de la Mothe.

Ksiądz de la Mothe z Orleanu, biskup Amieński, spowiadał się co ośm dni; gotując się do św. spowiedzi odprawiał w duchu trojaką podróż, pierwszą do piekła, drugą do nieba, trzecią na Kalwaryę. Przenosił się najprzód myślą do piekła, a przedstawiając sobie miejsce, na które według swego mniemania zasłużył, wpośród wiecznie płonącego ognia, w towarzystwie szatanów i potępionych, dziękował Bogu, że dotąd nie został doń wtrącony, błagając o miłosierdzie i łaski, któreby go ochroniły od potępienia. — Wstępował dalej w duchu do nieba, żałując mocno, że przez grzech zamknął sobie bramę jego; błagał Pana Boga o otwarcie jej i wzywał pomocy Świętych. — Wreszcie szedł w duchu na Kalwaryę; tam wpatrując

się uważnie i z miłością w Zbawiciela ukrzyżowanego, mówił sam do siebie:

— Oto moje dzieło, ja to jestem przyczyną boleści, które Jezus Chrystus poniósł, to ja wraz z innymi grzesznikami okryłem ranami ciało tego Boga-Człowieka, stałem się przyczyną Jego śmierci na Krzyżu. O Jezu! cóżeś mi złego uczynił? Jakże mogłem obchodzić się tak okrutnie z Tobą, który mnie ukochałeś bez miary, a którego ja powinienem był ukochać miłością nieskończoną, jeżelibym mógł Cię nieskończenie kochać. A ponieważ Ty jesteś nieskończenie dobry i litościwy, ja Cię kocham i żałuję żem Ciebie obraził.

Jakichże owoców nie zebralibyśmy z naszych spowiedzi, jakich postępów nie uczynilibyśmy na drodze Bożej, gdybyśmy zechcieli wstępować w ślady tego cnotliwego męża. (Życie księdza de la Mothe).

Szczera spowiedź.

Do świętego Ludwika Bertranda przyszedł raz we Walencyi spowiadać się wielki grzesznik. Za każdem ciężkiego grzechu wyznaniem, patrzał w twarz spowiednikowi pilnie i przenikliwie, lecz ku niemałemu swemu zdziwieniu spostrzegł, że oblicze spowiednika staje się coraz pogodniejszem i łagodniejszem, i że spowiednik słuchając tylu

i tak ciężkich występków, bynajmniej się nie zasępia.

Kończąc spowiedź, dodał grzesznik, że musi wyznać jeszcze jeden grzech, którego teraz właśnie przy samym konfesyonale się dopuścił. Oblicze jednak świętego Ludwika nie doznało najmniejszej zmiany. Tem spostrzeżeniem ośmielony penitent, wyznał, że niegodnie posądził spowiednika, myśląc sobie, że on musi być z temi grzechami bardzo oswojony, a może i sam wiele z nich popełnił, gdy słysząc tak okropne grzechy, mógł ich bez żadnego zdziwienia, nawet wesoło słuchać. Na to tak szczere wyznanie oblicze męża świętego jeszcze się więcej wypogodziło. Gdy się grzesznik temu jeszcze bardziej dziwił, rzekł doń święty kapłan:

— Kochany synu, jać wprawdzie jestem wielkim grzesznikiem, a niewdzięczność moja względem P. Boga jest większa z pewnością jak twoja, ale żadnego z twoich grzechów nie popełniłem. Dlatego zaś słuchałem wszystkich twoich grzechów bez oburzenia, a nawet z radością, bo twoje otwarte i szczere wyznanie uważałem jako dobry znak prawdziwego żalu i istotnego ducha pokuty i cieszyło mnie, gdym widział, że przez spowiedź starałeś się pozbyć wszystkich twoich grzechów. Nie weselę się z twoich grzechów, lecz weselę się z tego, że one już są zgładzone; bolało mnie wprawdzie,

żeś Boga najdobrotliwszego tak ciężko obrażał, ale tem większą była moja radość, żem cię widział jakoby syna marnotrawnego, powracającego do domu ojca. Wszak wiesz, że Zbawiciel powiedział, iż Aniołowie w niebie więcej się cieszą z jednego grzesznika pokutę czyniącego, jak z 99 sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty; czyż i ja nie powinienem się cieszyć z Aniołami twoją pokutą? (Mansi disc. 3. n. 15).

Pokuta? Co to jest?

Sławny francuzki biskup Orleanu, Feliks Dupanloup (Dypanlu) opowiada zdarzenie ze swego życia, które tu podajemy dla zbudowania.

Działo się to w r. 1836. Byłem wtenczas przy parafii św. Rocha wikaryuszem. Wezwano mnie, abym dał ślub bardzo zacnej katolickiej parze. Miałem do nich zwykłą przemowę ślubną i przypominam sobie jak dziś, że podczas tej mowy miałem roztargnienie.

Przyczyną tego roztargnienia był pan przynajmniej 6 stóp wysoki, który sam jeden stał, poczas gdy wszyscy inni usiedli, i ostro na mnie spoglądał; to mnie tem bardziej żenowało, że jako pierwszy świadek zaledwie trzy kroki odemnie był oddalony. Po udzieleniu ślubu poszedłem do domu i nie myślałem o tem zupełnie.

Nazajutrz rano o 5 godzinie, zapukał ktoś do mych drzwi. Był to sam nowożeniec, który mnie prosił, abym czemprędzej poszedł zaopatrzyć chorego. Tym chorym był jego wuj i właśnie ten wysoki pan, który mi wczoraj takie roztargnienie sprawił. Już podczas ceremonii ślubnej dostał zimnych dreszczów — teraz zaś znajduje się w bardzo złym stanie zdrowia, a w takim wieku trzeba się o życie jego obawiać; lekarz zawołany natychmiast, odstąpił go już. Tak mówił do mnie nowożeniec.

Rozumie się, że zaraz z nim poszedłem, a po drodze pytałem go o niektóre rzeczy, aby się zoryentować.

— Czy pański wuj był dobrym chrześcijaninem?

— On był zawsze bardzo dobrym człowiekiem, obawiamy się jednak, czy nie zaniedbywał swych obowiązków religijnych.

— Czy wie, że życie jego jest zagrożone?

— O tak, nie oddaje się żadnym złudzeniom.

— Czy sobie życzy, abym doń przyszedł?

— Tak jest! Gdyśmy obaczyli, że był w niebezpieczeństwie, zaraześmy go zapytali, czyby sobie nie życzył, aby go jaki ksiądz odwiedził. Nic nie miał przeciw temu. Ale którego księdza? pytaliśmy.

— Ja nie znam żadnego, mówił z początku.

A potem cicho, jakby do siebie: Ten ksiądz którego wczoraj widziałem, podobał mi się. On moją sprawę dobrze załatwi.

Tak rozmawiając, przyszedłem do hotelu, gdyż wuj nowożeńca przybył z prowincyi, aby być na ślubie swego siostrzeńca i stanął w hotelu. Przyszedłem doń i zostałem z nim sam na sam. Leżał rozciągnięty na łożu śmiertelnie chory. Przystępuję do niego, a on bez wahania wyciąga ku mnie rękę z rodzajem serdeczności i poufałości.

— Ja wkrótce umrę — rzekł; — i chciałbym bardzo uczynić to, co się w takich razach czynić zwykło. Mam lat 74. Już 62 lat się nie spowiadałem. Jestem stary żołnierz. Już w 14 roku życia wstąpiłem do wojska. We wszystkich wojnach rewolucyi i cesarstwa brałem czynny udział, o Bogu nigdy nie myślałem, ale nie wiem, dlaczego nie myślałem. Teraz jednak czuję potrzebę nie opuszczać tego świata, nie pojednawszy się z Bogiem, zupełnie tak, jak gdybym Go był znał.

Tą otwartością i tą prostotą i szczerą mową poruszony, rzekłem pocieszając go:

— Więc dobrze, ja panu pomogę, a Bóg nam obu pomoże; z takimi szczerymi i otwartymi mężami jak pan jesteś, łatwo sobie damy rady.

Gdy przy pomocy pytań, skończył spowiedź, rzekłem:

— Teraz ci zadam pokutę.

— Pokutę? — rzekł i znowu na mnie ostro spojrzał; co to jest? Ja nie mam najmniejszego pojęcia o tem.

Pouczyłem go więc, co to jest pokuta i tak dalej mówiłem:

— Ty cierpisz boleści, ofiaruj je Panu Bogu, a ja w ten sposób będę ci mógł tylko małą pokutę zadać; proszę zmówić jedno „Ojcze nasz“ i jedno „Zdrowaś Marya“.

Teraz dopiero prawdziwie ostro na mnie spojrzał, bo acz przez chorobę i wiek bardzo był słaby, to w jego wzroku była nadzwyczajna siła. Rzekł tedy:

— Ojcze nasz... Zdrowaś Marya... co to ma znaczyć? Ja o tem nigdy nie słyszałem.

— Dawniej, dawniej z pewnością o tem słyszałeś — rzekłem — są to modlitwy najpiękniejsze w naszej religii, ja ci pomogę, najprzód sam przepowiem, potem ty ze mną, i tak będzie dobrze.

Ukląkłem przy jego łóżku, wziąłem jego rękę w moją i zacząłem pomału odmawiać „Ojcze nasz“. Gdym przyszedł do słów: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ objął kurczowo moją rękę i jakby budząc się z długiego snu, rzekł:

— O teraz sobie przypominam... tak, zdaje mi się, że kiedy jeszcze byłem dzieckiem,

matka mnie coś podobnego uczyła... Proszę jeszcze raz zacząć z początku.

Powoli zaczął teraz słowo za słowem powtarzać, powoli też przypominał sobie, że tę modlitwę już słyszał. Zdało mi się, jakobym widział, jak te słowa z jego duszy wychodziły, jak gdyby w niej głęboko były zanurzone, a potem nagle na widok wypłynęły.

— Ach tak, przypominam sobie: Ojcze nasz, któryś jest w niebie! tak jest, teraz sobie przypominam, że się tak kiedyś modliłem. O, jakże piękna jest ta modlitwa!

Gdy przyszedł do tych słów: „Odpuść nam nasze winy“ rzekł:

— Tak, te słowa szczególniej sobie zapamiętałem, z temi słowy i resztę sobie zapamiętałem; matka moja kazała mi je zawsze mówić, ile razy jaki błąd popełniłem.

W ten sposób i z takiemi przerwami dokończyliśmy modlitwy Pańskiej. Następnie prosił mnie, abym ją z nim powtórzył, a potem już sam mówił. Gdy skończył „Ojcze nasz“, rzekł:

— Ale jest jeszcze inna modlitwa. Tak, przypominam sobie, że matka moja mi opowiadała, iż jest jakaś Najśw. Panna... Proszę poczekać... Jakże się ta modlitwa zaczyna?...

Gdym zaczął: „Zdrowaś Marya“, zaraz przerwał:

— Tak, tak jest: „Zdrowaś Marya, łaskiś pełna, Pan z Tobą“.

I w ten sposób wszystkie słowa tej modlitwy w pamięci jego odżyły, aż wreszcie przy końcu modlitwy: „Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej“ we łzach się rozpłynął.

Opuściłem go, bo był zmęczony, i obiecałem mu, znowu go odwiedzić, gdy wypocznie. Zostawiłem mu mały krucyfiks, uczyniwszy uwagę, że w hotelach nie łatwo znajdzie takie rzeczy. Widziałem, jak go drżącemi rękami obejmował, do serca i ust przyciskał.

Nazajutrz o 5-tej z rana znowu go odwiedziłem. Siostrzeniec opowiedział mi, że wuj przez całą noc wiele cierpiał. Zbliżyłem się doń i zapytałem, jak się ma.

— Bardzo dobrze — rzekł.

— Ale powiedziano mi, żeś pan tej nocy bardzo wiele cierpiał — odrzekłem.

— To księdzu powiedziano? A, bo oni nie wiedzą, żeś mi ksiądz zostawił Pocieszyciela.

To mówiąc, pokazał mi mały krucyfiks, który mu dałem, a którego on z rąk nie wypuszczał.

— Patrz ksiądz, ten potężny Pan, który tu wisi, pocieszał mnie. Przypatrywałem się Mu i całą noc „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś

Marya“ mówiłem. A przez to się stało, że niewiele cierpiałem.

Tyle biskup Dupanloup. (Erb. Stund.).

Cesarz, pokutnik.

Zdarzyło się w roku 390, że w Tesalonice wybuchło zaburzenie ludu, wśród którego wiele wojska cesarskiego zabito. Teodozy cesarz, bawiąc podówczas w Medyolanie, gdzie stał obozem, odebrawszy o tem zajściu wiadomość, choć był łagodnym i zacnym panem, uniósł się tak wielkim gniewem za poduszczeniem kanclerza swego, Rufina, że rozkazał, aby w Tesalonice pod pozorem przedstawienia teatralnego, zwabiono lud do amfiteatru, otoczono wojskiem i wymordowano.

Okropna rzeź była skutkiem tego rozkazu, gdyż około 7000 ludzi winnych i niewinnych bez litości w pień wycięto. Święty Ambroży biskup Medyolański usłyszawszy o tem okrucieństwie, którego się cesarz jednem pociągnięciem pióra dopuścił, głęboko się zasmucił; napisał do cesarza list, w którym mu wyrzucał wielkość występku jego, i upomniał go do publicznej pokuty. Ale cesarz pod wpływem niegodziwego kanclerza nie zważał na ten list ojcowski.

Święty biskup widział się zatem być zmuszonym do ostrzejszego postąpienia.

Gdy Teodozy w następujący dzień uroczysty, otoczony świetnym dworem chciał wejść do kościoła, święty Ambroży, w szaty biskupie odziany, z pastorałem w ręku wyszedł w otoczeniu kapłanów przed drzwi kościoła i wejść mu niedopuścił. Zdumiał się Teodozy, a św. Ambroży rzekł:

— Zdaje mi się cesarzu, że nie chcesz uznać wielkości twej winy nawet teraz, gdy ostygł zapał gniewu twego. Jak możesz z obciążonem sumieniem stąpać po tej poświęcanej ziemi? Jakbyś się ośmielił rękę twą krwią zbroczoną podnieść do przyjęcia Najświętszego Ciała Pańskiego? Jakbyś się mógł odważyć otworzyć usta, aby pić krew Baranka Bożego? ty, przeciw któremu tyle krwi niewinnie wylanej woła o pomstę do nieba? Ustąp więc, abyć to, co duszę zbawić powinno, nie posłużyło ku potępieniu, albowiem napisano jest: *Kto pożywa Ciało Pańskie i pije krew Pańską niegodnie, sąd sobie je i pije nie rozsądzając ciała Pańskiego.*

Zdumiony Teodozyusz usprawiedliwiał się przykładem Dawida, który się dopuścił cudzołóstwa i morderstwa. Ale mąż święty odrzekł natychmiast:

— Jeżliś naśladował Dawida w grzechach, naśladuj go też w pokucie.

Słowa te trafiły do serca cesarza, pokornie i ochoczo poddał się publicznej pokucie.

Przez ośm miesięcy wzbronił mu Ambroży wstąpić do kościoła. Gdy mu święty biskup w dzień Bożego Narodzenia po pierwszy raz pozwolił wnijść znowu do domu Bożego, wielki pokutnik ku powszechnemu zbudowaniu głęboko rozrzewnionego ludu, ukląkł, leżał krzyżem i powtarzał słowa Dawida:

— Przylgnęła do ziemi dusza moja, ożyw mnie według słowa twego!

O jak zawstydzającym jest ten przykład wielkiego cesarza dla tych, którzy surowem upominaniem spowiednika i odroczeniem rozgrzeszenia czują się być obrażeni i hardo odchodzą od konfesyonału. Czyż i kiedyś na sądzie Bożym z równą hardością i pychą odejdą od tronu Chrystusa, gdy im na wieki odmówi rozgrzeszenia, na wieki od wstępu do nieba ich wyłączy i na wieki strąci do piekielnego więzienia wszystkich niepokutujących grzeszników?

(Kat. histor. J. Szmida Tom III, 97).

Pyszny krawiec.

Pewien krawiec z G... nad Renem, powrócił z obczyzny do miejsca rodzinnego. W obczyźnie przez szyderstwa i kpiny dał sobie wydrzeć wiarę katolicką i gardłował z zapałem przeciw „oglupianiu“ ludzkości, mówiąc, że duch ludzki już stał się „pełnoletnim przez światło czystej oświaty“. Nie-

raz jednak, aby pobożnych swych współobywateli nie gorszyć, wstąpił także do kościoła. Do Komunii jednak nawet na Wielkanoc nie przyszedł.

Ponieważ tedy księdzu proboszczowi nie oddał karteczki, jako był u spowiedzi i Komunii, więc ten baczne miał na krawca oko i żałował, że jego parafianin tak głęboko już zabrnął.

Razu jednego udał się ksiądz proboszcz do kaplicy odległej od wioski, by się za swych parafian pomodlić, a gdy powracał, spotkał właśnie krawca postępowego. Zapuścił się z nim zaraz w rozmowę, pytał o to i owo — wreszcie zeszło i na religię, na Kościół, na Mszę św. i na spowiedź wielkanocną.

— Mój drogi przyjacielu — rzecze naraz proboszcz — właśnie przychodzi mi na myśl, że i pan nie odprawiłeś Komunii wielkanocnej! Dlaczegóż to?

A krawiec w uczuciu swego postępu z dumą odrzekł:

— Jabym chętnie do Komunii wielkanocnej przystąpił — ale przedtem się spowiadać i mówić: „Ja nędzny, grzeszny człowiek spowiadam się“ — tego nie mogę — to się sprzeciwia mojej godności, memu rozumowi, i całej naturze mojej!

— Jeżeli ta jest tylko przyczyna, co pa-

na od spowiedzi wielkanocnej odstrasza, to można temu łatwo zaradzić.

— Jakże to?

— Oto, że pan przy spowiedzi powiesz: „Ja pyszny krawiec“.

Te słowa z powagą wyrzeczone, trafiły krawcowi do przekonania; zamilkł, zamyślił się i odchodząc podał w milczeniu rękę proboszczowi.

Odtąd widziano go nietylko w kościele, ale wkrótce i przy konfesyonale i u Stołu Pańskiego. (Erb. st. 1887, 45).

Mała pokuta.

W żywocie świętej Lidwiny czytamy, że pewien wielki grzesznik usłyszawszy o dziwnem życiu tej świętej dziewicy, przyszedł raz do niej i powziąwszy wielkie ku niej zaufanie, opowiadał jej ciężkie swoje grzechy, jakby kapłanowi. Ona zaś namawiała go, aby te grzechy szczerze wyznał przed kapłanem, gdyż ona niema władzy rozgrzeszania. Grzesznik jednak w żaden sposób nie mógł się na to odważyć. Wtedy święta dziewica litując się nad biedną jego duszą, oświadczyła mu, że ona sama za niego jak najsurowszą czynić będzie pokutę, pod warunkiem, że i on sam przyjmie od niej małą pokutę. Na co gdy się ów grzesznik z radością zgodził, rzekła mu św. Lidwina, aby

za pokutę jedną tylko noc leżał na wznak, nie obracając się ani na prawy, ani na lewy bok.

Uśmiechnął się grzesznik na tak małą pokutę i postanowił ją zaraz następnej nocy wykonać. Leżąc przez chwilę na miękkiej pościeli na wznak, sprzykrzył sobie wkrótce i chciał się na bok obrócić; zawstydził się jednak niedotrzymania tak lekkiej obietnicy i leżał nieruszając się wcale. Wkrótce jednak takie leżenie stało mu się nieznośnem, a myśl, że całą noc nie będzie się mógł obrócić, męczyła go jeszcze więcej i sen mu zupełnie odebrała. Jakoż całą noc ani oka nie zmrużył. Zaczął tedy tak sobie myśleć:

— Jeżeli mi ta noc tak okropną się wydaje, choć na miękkiem łożu spoczywam i nie doświadczam ani bólu ani żadnej dolegliwości, o jakże nieznośną, jak długą będzie dla mnie noc w piekle! Dzisiejsza noc po kilku godzinach przeminie — a tamta trwać będzie wiecznie! Wieczna noc i wieczne męki!

Słowa te powtarzał sobie kilka razy — a brzmiały one w uszach jego tak straszliwie, jak gdyby słyszał trąbę sądu ostatecznego. Zimny pot wystąpił mu na czoło, serce zaczęło bić gwałtownie; dusza napełniła się smutkiem i trwogą.

Nareszcie przyszedł poranek. Grzesznik czemprędzej się zerwał z posłania, poszedł

do kościoła, szczerze i ze skruchą się wyspowiadał i został pokutnikiem. Jakaż była radość świętej Lidwiny, gdy ujrzała, że on sam wszelką wypełnia pokutę, którą ona zań czynić obiecała!

(March. hort. par. trac. 5 lec. 9).

Nawrócenie masona.

We wrześniu 1884 roku toczył się we Florencyi proces o pojedynek, w którym niejaki bankier de Witt, profesora Parriniego śmiertelnie zranił. Prokurator państwowy domagał się kary na zabójcę, a sędziowie przysięgli uznali go niewinnym. Smutniejszego zjawiska i grubszej ciemnoty nie można sobie wystawić, jak tę, że sobie człowiek dla obrażonej dumy lub mniemanej obrazy honoru morderstwem zadosyć uczynić pragnie. Niemniej i to smutną jest rzeczą, że ci co do tego są powołani, miasto zbrodnię surowo ukarać, takową pochwalają i rokosz podnoszą przeciw Bogu i Jego przykazaniom.

Wspomniany profesor Parrini, ciężko raniony, miał to rzadkie szczęście, że na łożu śmiertelnem przyszedł do poznania swych grzechów i nawrócił się. Parrini, mąż żywego i ruchliwego usposobienia, dobrego serca i niezwykłej wiedzy i wykształcenia, piastował wysoki urząd w sekcie masońskiej we Florencyi, był korespondentem *gazety wło-*

skiej i twórcą *dzikiej muchy*, masońskiej gazety we Florencyi. Że Parrini całkiem był przesiąkły zasadami masoneryi, albo za takiego przynajmniej chciał uchodzić, dowodzi testament, dwa lata przed śmiercią przezeń zrobiony. Brzmi on jak następuje:

Florencya dnia 13 marca 1882 r.

Czcigodnym i braciom wolnomularzom loży R.·. L.·. Concordia.

Będąc zdrowym na duszy i ciele, tego dnia, 13 marca, objawiam moją wolę jak następuje:

1. Aby żaden kapłan, jakiegobądź wyznania lub obrządku do mego pokoju nie wchodził, gdybym przypadkiem lub nieszczęściem śmiertelnie zachorował.

2. Nie chcę, aby jakiekolwiek stowarzyszenie religijne, albo członek jakiegobądź bractwa, albo jaki ksiądz moje zwłoki na mary wkładał, albo na moim pogrzebie był obecny.

3. Aby z majątku, jaki przy śmierci zostawię, natychmiast 500 lir wzięto i przez czcigodnych Loży.·. Konkordyi między wdowy i sieroty braci rozdano, którzy nie mają majątku.

4. Spełnienie tej mojej woli polecam Wschodowi L.·. Konkordyi, i pragnę, aby wyraz

tego postanowienia mego w tajnem archiwum był zachowany.

Cezar Parrini.

Rano dnia 18 lipca 1884 r., nim się stawił na placu oznaczonym do pojedynku, napisał Parrini drugi testament, w którym rozporządził majątkiem i różnym przyjaciołom legaty lub pamiątki powyznaczał.

Ale w tym drugim testamencie nie odwołał nic z tego, co w pierwszym zarządził. Otrzymawszy 22 cięcia, padł wreszcie śmiertelnie raniony na ziemię. Przeniesiono go do pobliskiej willi. W drodze rzekł do lekarza:

— Uważaj pan, aby mi gdy będzie niebezpieczeństwo, dano znać o tem, bo mam jeszcze ważną sprawę załatwić.

We dwa dni potem, gdy strasznie cierpiał i coraz gorzej się miał, przywołał do siebie zacnego i bardzo religijnego człowieka, z którym go od dzieciństwa najściślejsza przyjaźń łączyła. Skoro tenże stan niebezpieczny spostrzegł, uznał wraz z innymi przyjaciółmi potrzebę wyjawienia mu prawdy bez ogródki.

Zaledwie usłyszał o niebezpieczeństwie śmierci, natychmiast stanowczo rzekł do pewnej znajomej pani, która go przyszła odwiedzić:

— Proszę mi natychmiast zawołać księ-

dza; życzę sobie księdza. Przyobiecałem pani, pani wie że słowa dotrzymuję. Życzę sobie księdza.

Zdumieni, odstąpili od łoża i czemprędzej posłali po ks. Ludwika Miccinesi, wikaryusza przy parafii Santa Maria a Quinto. Było to w południe. Podczas gdy posłaniec szukał księdza Miccinesi, niecierpliwił się Parrini, że kapłan nie zaraz przychodzi, tak jak on sobie życzył, a tymczasem rozmawiał z owym pobożnym panem, prawdziwym swym przyjacielem, który go pocieszał i przypominał mu, że Bóg w każdym razie widzi jego dobrą wolę. Zarazem też zrobił mu uwagę, że w razie niemożliwości spowiadania się, doskonały akt żalu zastąpi spowiedź.

Gdy on tak mówił, przyszedł wikary, a Parrini przyjął go jako posłańca z nieba. Po kilku chwilach, w których sam na sam był z chorym, wikary przybliżył się do drzwi i zażądał dwu świadków. Ów pan, który od łoża chorego nie odstępował, i posługacz ze szpitala, który go obsługiwał, ofiarowali się na świadków.

W obecności tychże przeczytał wikaryusz odwołanie tego wszystkiego, co było potrzebnem dla człowieka, który popadł w różne cenzury i kary kościelne za to, że należał do sekty masonów, i tyle przeciw Kościołowi katolickiemu i wierze katolickiej pisał.

Gdy wikaryusz formułę odwołania przeczytał, oświadczył Parrini trzymając krucyfiks na piersiach, że istotnie wszystko odwołuje i dodał:

— Przebaczam wszystkim tak jak pragnę, aby Bóg mnie przebaczył.

Ten akt przez dwu świadków podpisany znajduje się w kancelaryi biskupiej we Florencyi. Potem nastąpiła spowiedź.

Po spowiedzi poszedł wikary po Najśw. Sakrament. Chory tymczasem był bardzo wesoły, i spokojny, i tylko przyciskał do piersi i całował krucyfiks, który mocno w ręku trzymał. Modlił się bez przerwy i polecał się w gorącej miłości temu Jezusowi, w którym jedynego pocieszyciela i jedyną nadzieję poznał, jaka mu na świecie pozostała. Mówiono mu:

— Cezarze, jakto? ty coś nigdy się nie modlił, teraz tak gorąco się modlisz do Pana Jezusa?

— Przyjacielu — odrzekł, w innem świetle patrzy człowiek na rzeczy gdy żyje, a w innem gdy śmierć się zbliża.

Następnie przyjął wiatyk z taką wiarą i pobożnością, że obecni płakali ze wzruszenia; nawet jeden pan, który nie był katolikiem, nie mógł się od łez powstrzymać. Przed ostatniem Namaszczeniem prosił kapłana, aby nieco poczekał. Tego czasu użył na modlitwę i rozmowę z Panem Jezusem,

którego dopieroco przyjął, powtarzając ciągle akty wiary, nadziei i szczerego żalu za grzechy, i wzywając Najśw. Pannę za kapłanem, który wraz z nim głośno się modlił. Potem silnie zaczął drżeć na ciele. Wikaryusz udzielił mu Ostatniego Namaszczenia Wymawiając słodkie imię Jezus i trzymając krzyż na piersiach oddał Parrini duszę swą w ręce Stwórcy.

Gdy zwłoki jego leżały na łożu śmiertelnem, przystąpił jeden z masonów i uderzył go kilka razy w twarz. Jedna z pań tam obecnych oburzyła się na takie okrucieństwo. Ale mason wymawiał się tem, że to jest podług rytuału masonów pożegnanie, jakiego używają względem braci zmarłych. Ale gdy się ta rzecz rozniosła, przekonano się, że to była kara uchwalona przez masonów za to, że Parrini przy śmierci porzucił ich sektę i powrócił do Chrystusa i jego Kościoła.

Bez wątpienia to niespodziane i nagłe nawrócenie takiego członka, bolało masonów nie mało. Jakoż miał Parrini pogrzeb katolicki, bez wszelkiego udziału masonów zagniewanych.

Mógłby się ktoś zapytać, jakim sposobem Parrini mógł się tak nagle zmienić? Można śmiało odpowiedzieć, że w głębi serca był zupełnie innym, jak się na zewnątrz wydawał. Wiary bowiem, którą wyssał z mlekiem

pobożnej matki, nie wyparł się całkowicie, ani nawet z przekonania. Posiadał nadto serce litościwe dla ubogich i spełniał wiele szlachetnych uczynków miłości. Uczynki miłosierdzia ściągają łaskę nieskończonego miłosierdzia nawet na nieszczęśliwych grzeszników, którzy je spełniają. Miał on zwyczaj co wieczór mówić psalm 129 „Z głębokości“, za zmarłych. Skoro jaki z jego przyjaciół umarł, zmówił za niego: „Z głębokości wołałem do Ciebie Panie“. Co taka modlitwa znaczyła przy stanie jego duszy i sumienia, to sam P. Bóg wie. Jednak dobre usposobienie serca pochodziło od Boga, który szuka sposobu, aby ratować dusze, które sam stworzył i odkupił.

Wreszcie miał Cezar Parrini miłość ku N. Pannie, Matce łaski Bożej. Pomimo że był masonem i bardzo bezbożnym pisarzem, zachował obraz N. Panny w szkatułce swego biurka i zaiste, nie czynił tego daremnie. Marya wspomniała nań w ostatniej jego potrzebie, w owej chwili, od której cała jego wieczność zależała.

W ostatnich latach życia swego czuł wyrzuty sumienia. Nieraz mówił, że zamyśla Florencyę opuścić i gdzieindziej się usunąć, aby zmienić swe życie; bał się bowiem pozostać we Florencyi, aby go jego fałszywi przyjaciele nie prześladowali.

Co było powodem takiej bojaźni, to on

sam mógł tylko wiedzieć, gdyż on sam tylko wiedział, jak daleko sięgają przysięgi i zobowiązania, które go do sekty przykuwały. To pewna, że gorzko żałował, iż wolność swego sumienia poświęcił tyraństwu sekty, która nie daje nigdy spokoju temu, który się pragnie z jej sideł uwolnić.

(Erbauungsst. 1884, 9).

Dusza ocalona.

We wielkiem ludnem mieście N. wybuchła zaraźliwa choroba, która w krótkim czasie mnóstwo ludzi porwała. Wierni uznali w tem zasłużoną karę Bożą; uczeni i lekarze starali się zbadać i wytłumaczyć istotę tej choroby, ale w końcu przyznać musieli, że nie mogą znanemi środkami tej choroby wyleczyć. Rozumie się, że w takich okolicznościach nawet wielu z tak zwanych „postępowych“ chrześcijan do Boga się garnęło; nie mało i takich się znalazło, którzy przedtem i z Boga sobie i z religii szydzili, a teraz choć z narażeniem się na pośmiewisko dawnych przyjaciół, prosili o kapłana, aby się na drogę do wieczności jakotako przygotować.

I tak pewnego dnia, zawezwano starszego wikaryusza jednej parafii do tak zwanego „możnego świata tego“, o którym wszystko inne można było powiedzieć, tylko nie to,

że jest dobrym chrześcijaninem, a który niedobrej sławy używał. Niegrzeczna śmierć, nie opowiedziawszy się nawet, i do niego się przecisnęła. Już było późno, a wikaryusz jeszcze nie powrócił.

— Zaczynam się niepokoić, — rzekł młodszy wikaryusz do proboszcza — boję się, czy się co złego nie stało.

— Nie sądzę — odparł sędziwy proboszcz — bo by już był wrócił; zdaje mi się przeciwnie, że się dobrze sprawił, albo że walka musiała być zacięta.

— Gdy proboszcz tych słów domawiał, przyszedł starszy wikaryusz zmęczony i znużony do pokoju.

— Bogu dzięki! Już po robocie!

— Jakże się udało?

— Jak się udało? — odrzekł wikaryusz — przyszedłem do wielkiego, wspaniałego pokoju, tu zastałem służącego i prosiłem go, aby mnie natychmiast u pana zameldował. Służący spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem i oddalił się. Czekałem długo, bardzo długo, nareszcie zacząłem odmawiać brewiarz, skończyłem, a tu jeszcze nikogo niema; wreszcie ukazała się żona chorego i zapytała, czym i Oleje święte przyniósł. Ja odrzekłem:

— Ależ chory się jeszcze nie spowiadał!

— Ach, tak? — odrzekła; kazała służącemu do stołu nakryć i znikła.

Za kilka chwil przyszedł lekarz z pokoju chorego, przystąpił do mnie, i zawiódłszy mnie w kąt pokoju, rzekł mi z poufałością głosem przytłumionym:

— Wie ksiądz dobrodziej co? proszę z nim (z chorym) zrobić wszystko tylko tak pro forma (pozornie).

Zmierzyłem tego pana od stóp do głów i odpowiedziałem mu:

— Czy pan także czasem leczy tylko tak pro forma?

On się uśmiechnął i rzekł przygryzając wargi:

— No, no, niech się ksiądz zaraz tak nie gniewa; trzeba pewne ceremonie już dla samych języków ludzkich zachować; to słuszne i sprawiedliwe.

Spojrzałem mu surowo w oczy i zapytałem:

— Powiedz mi panie doktorze jako człowiek honorowy, jak długo może ten chory jeszcze żyć?

— Najwyżej do jutra wieczór; była odpowiedź.

— W takim razie nie można czasu tracić; postaraj się pan, by mnie zaraz przypuszczono.

— To nie będzie tak łatwo.

— Dlaczego?

— Bo to zrobi na nim wrażenie.

— Czyż ja mu co złego zrobię?

— To nie, ale ksiądz wiesz, że taka rzecz przyspiesza śmierć.

— Może śmierć doczesną, i to nie zawsze; nieraz pomaga i do zdrowia ciała, w każdym jednak razie, zachowuje od śmierci wiecznej.

— Uff! — odrzekł, uśmiechnął się i ścisnął ramionami.

Wreszcie zapytał jeszcze:

— Wszak ksiądz przyniosłeś Oleje święte?

— Czemu się pan o to pytasz?

On znowu się uśmiechnął.

— Czy mam może trupa olejem mazać?

— Za pozwoleniem — rzekł — obowiązek mnie wzywa; i poszedł. Ja znowu sam zostałem. Za chwilkę przyszedł służący niosąc flaszkę wina i chciał stół nakryć.

— Cóż to? — rzekłem ostro — myślicie, że ja przyszedłem tutaj jeść i pić? Precz to ztąd!

— Zebrałem całą moją cierpliwość i chodziłem wielkiemi krokami po sali. Wreszcie przyszedł kamerdyner, poczciwy i dobry człowiek. Prosiłem go usilnie, aby mi się postarał o to, by mnie przypuszczono do pana.

— Powiedziano mi, abym się nie ważył księdza dobrodzieja wpuścić, ale będę się starał nakłonić panią, by księdza dobrodzieja wpuściła.

Dotrzymał słowa — pani zaraz przyszła i całym potokiem słów starała się pouczyć

mnie, jak mam się z chorym obchodzić, jak mu nic nie mam mówić, coby go mogło rozdrażnić i t. p.

— Łaskawa pani! — odrzekłem — proszę to wszystko zostawić mnie; o jedno tylko panią proszę usilnie, aby mnie dłużej nie zatrzymywać i do chorego zaprowadzić.

Na te moje słowa pobladła i rzekła:

— Zobaczę, czy się to da zrobić.

I znowu mnie samego zostawiła.

Już północ się zbliżała i w całem znaczeniu uczułem prawdę tych słów Pańskich: *Biada wam bogacze!* Ludzie kręcili się i chodzili to tu to tam, a mnie nagle przyszła myśl: A cóż mi się stać może, jeżli nieproszony wejdę do chorego? Najwięcej pokażą mi drzwi, a może i tego nie zrobią, a ja duszę od piekła ocalę! Namyśliłem się chwileczkę, wezwałem gorącem westchnieniem Boga na pomoc, użyłem nadarzającej się sposobności, przeszedłem cały szereg salonów i przyszedłem wreszcie do pokoju, w którym chory leżał. Stanąłem — zjawienie się moje podziałało na nich tak, jak zjawienie upiora o północy. Chory pobladł, inni patrzali na mnie w milczeniu i zdawało mi się, jakby się cieszyli z tego, żem się odważył wejść; jedni za drugimi się powynosili cichaczem i zostawili mnie sam na sam z chorym.

Chory zapytał mnie bezdźwięcznym, drżącym głosem:

— Czego sobie ksiądz życzy?

— Jestem księdzem, wikaryuszem przy tutejszej parafii i nigdy bym sobie nie mógł darować, gdybym pana w tak ciężkiej chorobie nie był odwiedził; bo wiem, że pan bardzo wiele cierpisz, a jabym panu chciał tak chętnie pomódz.

— Ksiądz, mnie pomódz? — zapytał mnie powątpiewając i poprosił mnie siadać.

— Chociaż ja osobiście pomódz panu nie mogę, to znam takiego, co panu z pewnością może pomódz, i już wielu dopomógł, którzy mu ufali.

— I któż jest ten jeden?

— Wasza Ekscelencya zna Go z pewnością; przynajmniej już pan nieraz o Nim słyszałeś, gdyż samo dotknięcie szaty Jego, uleczyło chorą niewiastę, która daremnie cały swój majątek na lekarzy roztrwoniła; On uleczył nawet ślepego od urodzenia i wskrzesił zmarłego, który już cztery dni leżał w grobie.

— O, ksiądz mówisz o tym?

— A cóż, czy On nie jest potężnym pomocnikiem i jedynym, który człowieka nie porzuca, gdy go już wszyscy opuszczą?

— Dajmy temu pokój, księże dobrodzieju.

— Wszak nic na tem nie stracimy, gdy Jego pomocy wezwiemy, a zyskamy nieskończenie wiele; gdyż On jest niemniej miłosiernym jak wszechmocnym Bogiem.

— Bogiem! — rzekł chory; — kto wie czy jest jaki Bóg?

Czas naglił; nie mogłem się zapuszczać w filozoficzne wywody i dlatego rzekłem krótko:

— A cóż, jeżli Bóg jest i pan wkrótce doświadczysz na sobie, że jest Bóg! Jedna rzecz jest pewna i o niej pan wiesz tak dobrze jak ja, że tylko źli i przewrotni ludzie zaprzeczali istnieniu Boga; do tych wyrzutków przecież pan nie chcesz należeć.

— Nie — rzekł drżącym głosem.

— A zatem, udajmy się do tego Boga miłosiernego, który nas stworzył, który wszystkie dni nasze policzył, w którego ręku śmierć i życie; Jemu się oddajmy i spełnijmy Jego wolę, abyśmy, gdy nas powoła, łaski przed tronem Jego doznali.

— Ależ nikt jeszcze nie przyszedł z tamtego świata, któryby nam powiedział, że jest życie zagrobowe.

— Nie umarli mają zadanie nas pouczać, ale żyjący Kościół Boży, którego Chrystus jest założycielem. Zresztą nieprawdą jest, aby nikt z drugiego świata nie przyszedł, aby nam powiedzieć, jak tam jest; bo Jeden przyszedł i powiedział nam, że dobrzy podobni będą do Aniołów Bożych i wnijdą do wesela Pańskiego i otrzymają zapłatę, a źli pójdą do ognia nieugaszonego i wiecznego. Oto ten, który przez krew swą na krzyżu wylaną,

zgładził winę grzechową, udzielił po swem zmartwychwstaniu swoim kapłanom władzy odpuszczania grzechów i rozwiązuje w niebie to, co kapłan na ziemi rozwiąże. Dlatego i pan spowiadaj się grzechów swoich, abyś rozgrzeszony mógł spokojnie umrzeć i wnijść do wesela dzieci Bożych w niebie!

— Spowiadać się? — rzekł chory drżącym głosem — spowiadać się? Nie, ja się nie mogę spowiadać.

— A dlaczego nie? Nie powinniśmy się przecież wystawiać na niebezpieczeństwo odrzucenia od Boga, aby na wieki z wyrzutkami ludzkości palić się w ognistem więzieniu Boskiej sprawiedliwości.

— Straszne rzeczy ksiądz mówisz!

— Strasznemi są one tylko dla tych, którzy się nie chcą z Bogiem pojednać, ale pełnemi pociechy dla tych, którzy tego najdobrotliwszego Ojca z ufnością wzywają. Wszak On zawsze gotów nas do łaski swej przyjąć, chociażbyśmy niewiem jak dużo grzechów popełnili. Bo On wyraźnie mówi: *W którymkolwiek dniu grzesznik do mnie powróci, wszystkich jego grzechów zapomnę!* Niech pan zważy, jak wielką panu to sprawiło radość, gdyś pan mógł komu jakie dobrodziejstwo wyświadczyć, i jak przykro panu było, kogo ukarać. A przecież wieczne miłosierdzie daleko dobrotliwsze jest, jak najlepszy i najzacniejszy człowiek. A czyż ten

nie zasługuje być odrzuconym, któryby się wzbraniał za cenę spowiedzi uwolnić się od kary wiecznej?

Tu mowę moją zmieniłem w modlitwę pełną skruchy i żalu, i rzekłem ze szczerem współczuciem:

— Prawda, pan chcesz się z Bogiem pojednać i przyjąć ŚŚ. Sakramenta?

— Więc dobrze — rzekł chory, jeźli ksiądz uważa to za rzecz dobrą, w imię Boże!

Wyspowiadałem go z całego życia, udzieliłem mu ŚŚ. Sakramentów — poczem z wielkim spokojem pożegnał się z rodziną i wkrótce skonał.

— A cóż pani na to? — zapytał proboszcz.

— Ona — odrzekł kapłan — miała głowę pełną innych rzeczy, ale lekarz spojrzał na mnie, potrząsając głową i rzekł:

— Ksiądz dobrodziej dokonał tu arcydzieła, jakiegobym się był po księdzu nie spodziewał.

Spojrzałem mu w oczy i rzekłem:

— Co tu się stało, nie jest wcale mojem dziełem, lecz dziełem łaski miłosiernego Boga, w którego pan nie wierzysz. Ale pana, panie doktorze, czeka kiedyś ciężki rachunek; bo pan ciężko grzeszysz przeciw chorym, z pańskich rąk Bóg się kiedyś domagać będzie dusz, które z pańskiej winy na wieki będą potępione; ogień wieczny gorcje choć pan weń nie wierzysz.

— A on się znowu uśmiechnął i wtrząsnął ramionami? — zapytał proboszcz.

— Ku memu zdziwieniu słyszałem rzecz przeciwną — odrzekł wikaryusz. — Gdym odchodził, mówił mi kamerdyner, że doktor się zamyślił i rzekł: „Ten ksiądz to straszny człowiek, powiedział mi takie rzeczy, których jeszcze nikt nie ważył się w oczy mi powiedzieć; źle by ze mną było, gdyby on miał słuszność“. (Erb. Stund. 1888, 7).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki T. J.

L. 4755.

POZWALAMY DRUKOWAĆ. † *A. Kard. Dunajewski*
(L. S.) Książę-Biskup.

Kraków 15 Listopada 1892.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

IV. Pokuta.

(Ciąg dalszy).

Oberżysta z Dijon.

W połowie roku 1826, opowiada lekarz z Dijon we Francyi w jednem z swoich dzieł, wezwano mnie do 60-letniego oberżysty, który na ulicy św. Jakóba N. 215 posiadał mały hotel. Cierpiał na wątrobę. Już się radzono najzawołańszych lekarzy, ale choroba jego wzmagała się z latami mianowicie wskutek gwałtownych wybuchów gniewu, którego nie umiał czy nie chciał poskromić. Już przy pierwszej wizycie jasno poznałem, że ten człowiek już niedługo pożyje. Za pomocą kilku środków odurzających złagodziłem gwałtowne jego boleści i pierwszy raz od bardzo dawna miał noc spokojną.

Następującego dnia serdecznie uścisnął mą rękę z radości, nazwał mnie swym wybawcą i obiecał wszystkie me przepisy sumiennie

wypełniać. Pomimo to oświadczyłem jego rodzinie, aby się chwilowem polepszeniem stanu chorego nie łudziła i w czasie tym postarała się, aby chory wszystkie sprawy swe uporządkował. Wieczór około 6-tej godziny wezwano mnie nagle, ale nie do owego chorego, lecz do jego żony, której glinianym garnkiem w zapale gniewu głowę rozbił. Gdym biednej żonie głowę opatrzył i zabandażował, zabierałem się do odejścia, nie rzekłszy do męża ani słowa. Ale on przytrzymał mnie mocno za surdut i rzekł z wyrazem boleści:

— Ależ panie doktorze, pan chcesz odejść, ani słowa do mnie nie mówiąc?

— Pocóż się mam długo trapić z chorym, którego przyszedłem pocieszyć, a który czyni wszystko, aby me usiłowania w niwecz obrócić? Zresztą, mój panie, słyszałem, żeś pan swych dawnych lekarzy ciężko obraził i że zacny lekarz pan Portal byłby pana nie porzucił, gdybyś pan się nie był tak dalece zapomniał, żeś pan rękę nań podniósł. Do tych grubiaństw dodajmy jeszcze i to nieludzkie zachowanie się względem żony! Teraz pan sam możesz osądzić, czy mam czas mój drogi tracić dla pana?

— Wyrzuty pańskie są zanadto słuszne, odrzekł chory. — Niegodnem było z mej strony, tak katować żonę. Ale gdybyś pan także wiedział, czego ona odemnie żądała!

Wyobraź sobie pan, chciała abym posłał po księdza, a przecież wie, jak ja nienawidzę księży!

— Zamiar żony pańskiej był bardzo chwalebny. Pragnąc, abyś pan z sumieniem swem porządek zrobił, dała panu nowy dowód miłości, a jeżeli to z pańskiemi pojęciami się nie zgadzało, trza było jej to grzecznie i spokojnie powiedzieć, a nie znieważać w taki sposób!

— Tak, panie doktorze, pan jesteś wykształconym człowiekiem, więc proszę mi powiedzieć, cobyś pan uczynił, gdybyś pan był na mojem miejscu, a ktoś panu zrobił taką propozycyę?

— Ja? Ani chwilki bym się nie namyślał; uporządkowałbym sprawy sumienia raz z przekonania, a potem dlatego, że spokój sumienia czyni boleści daleko znośniejszemi i bardzo się przyczynia do uzdrowienia ciała.

— Muszę wyznać, panie doktorze, iż mnie to bardzo dziwi, że pan po tylu naukach, takie masz zasady!

— Właśnie, religijne przekonania moje są po większej części owocem mych nauk.

— Kiedy tak — rzekł wreszcie chory — to niech poszlą po księdza, i tak mam niejedno na sumieniu.

Uszczęśliwiona tą niespodziewaną męża przemianą, kazała żona natychmiast wezwać

księdza z parafii. Zaledwie tenże przybył i do chorego się zbliżył, gdy starzec rzekł drżącym głosem:

— Proszę poczekać chwileczkę i wziąść ten nóż, który jest pod poduszką.

— Jakiż pan nieostrożny, zauważył kapłan, mogłeś się pan tym nożem ciężko zranić.!

— Mój księże — odparł chory — w ten nóż się uzbroiłem, aby księdza nim przebić, gdybyś ksiądz przeciw mojej woli ważył się tu przyjść. Bo — rzekł wobec całej rodziny, we wrześniu 1793 zabiłem siedmnastu księży i małoco brakowało, a ksiądz byłbyś ośmnastym. Ale bądź ksiądz spokojny, Bóg miał litość nademną — promień Jego łaski mnie oświecił.

Kapłan odłożył na bok ów straszny nóż, prosił obecnych, by go na chwilę sam na sam z chorym zostawili i wysłuchał go spowiedzi pełnej skruchy i żalu. Już miał odchodzić, aby mu przynieść Wiatyk i Oleje święte, gdy chory głosem od łkania stłumionym zawołał:

— Kochany księże, proszę prędko przyjść bardzo prędko, ja tak potrzebuję księdza pociechy, ale także zaklinam księdza, jeszcze Zbawiciela nie kłaść na mój język, gdyż Jego święte Imię dopieroco bluźniłem; ja nie jestem godzien tak wielkiego szczęścia.

— Bóg jest nieskończenie miłosierny, —

rzekł kapłan wzruszony. — Człowiek ze swych błędów się poprawia, jeźli za nie z serca żałuje, a twoja skrucha zda mi się być zanadto szczera, abym się miał wahać, udzielić ci ŚŚ. Sakramentów, których w twojem położeniu bardzo potrzebujesz.

— Więc je przyjmę, ponieważ ksiądz rozkazuje — odrzekł nawrócony — ale dopiero wtedy, skoro tych, których memi zbrodniami gorszyłem, publicznie przeproszę.

Natychmiast wezwał dwu sąsiadów, dawnych towarzyszy swoich; potem prosił ich o przebaczenie za wszystkie złe przykłady, które im dawał. Następnie klęcząc, z wielkiem nabożeństwem przyjął Wiatyk. Kapłan życzył sobie, aby się spokojnie położył do łóżka i miał wzgląd na swą słabość; ale chory koniecznie chciał klęczeć; skłoniwszy głowę na poduszkę, trwał długo w cichej modlitwie. Gdy kapłan znowu mu wspomniał aby się położył, bo był bardzo osłabiony, odrzekł chory:

— Czuję, że już tylko krótko żyć będę; nie mogę Panu Bogu nic ofiarować prócz łez moich i modlitw. Niech mam przynajmniej tę pociechę, że klęcząc umrę; to przecież za mało, abym me zbrodnie jakkolwiek mógł odpokutować.

Około północy głębokie wydał westchnienie i spokojnie zasnął w Panu, zawsze jeszcze klęcząc, i ustami do krucyfiksu się

tuląc, który oblany był łzami. Niebieski spokój, jako owoc czystego lub przez skruchę oczyszczonego sumienia, rozlany był na obliczu pokutnika z Bogiem pojednanego.

(Leo. 1886, 32).

Dwaj koledzy.

Następujące opowiadanie wyjęte z „Posłańca Niepokalanego Serca Maryi“ z marca 1883, wskazuje nam nowy przykład powrotu do Boga, i dowodzi, że spowiedź jest najlepszą odpowiedzią na zarzuty wolnodumców.

Dwaj starzy koledzy spotkali się po dwunastu latach niewidzenia. Jeden z nich pozostał gorliwym katolikiem; drugi niestety, porzucił wszystkie obowiązki religii i w nic już nie wierzył. Po rozmaitych pytaniach o wzajemne koleje życia, zapytał katolik nagle swego towarzysza i przyjaciela:

— A cóż, jakże z twojem sumieniem?

— O, co się tego tyczy, nie mówmy o tem. Ja już nie jestem takim, jakim mnie kiedyś znałeś. Ja mam swoje zasady i już ani wiem, co to konfesyonał.

— Bardzo mi to przykro, doprawdy. Ja sobie wystawiałem, że wszyscy moi dawni koledzy zostali dobrymi katolikami. Jeżli chcesz, opowiedz mi twoją historyę a ja ci potem opowiem moją.

I szli razem, przypominając sobie lata dziecinne.

— Wyszedłszy z kolegium, w któremeśmy się wychowali, wdawałem się nieroztropnie z różnymi towarzyszami, którzy wyzyskiwali gorliwość moją do pracy, dając mi zły kierunek, wzbudzali i podniecali moje namiętności miasto mnie pouczyć, jak je mam trzymać na wodzy, aż wreszcie wydarli mi najdroższy skarb wiary. Dziś już w nic nie wierzę. Skosztowałem wszystkich rozkoszy, jakie świat swym stronnikom ofiaruje i nurzałem się we wszystkich występkach. Gdym z wiekiem nieco się umiarkował, wszyscy sądzili, żem się poprawił; ale to tylko pozór, serce me jest tak chore, tak słabe, tak niestałe, jak zawsze.

— Musiałeś przynajmniej znaleść jakietakie szczęście w tym stanie i w takim rodzaju życia?

— Oh, nie! — rzekł tonem gorzkiego zniechęcenia; pokój odemnie ucieka, wzywam go we dnie i w nocy; niema już dla mnie pokoju... Wymusiłeś na mnie te zeznanie; przed dziesięciu minutami wolałbym był umrzeć, niż takie wyznanie uczynić. Widzisz: starałem się, powtarzam ci użyć wszelkich rozkoszy życia, wierz mi, że żadna z nich nie warta tyle, co jedna zwrotka pieśni katechizmowej. O, przyjemne to lata, lata katechizmu, lata pobo-

ności, prostoty! Gdzieżeście się podziały! Starałem się je jeszcze wczoraj wzbudzić; tak, wczoraj jeszcze wstąpiłem do kościoła św. Tomasza z Akwinu; chciałem się modlić, ale już nie umiem. Wyszedłem taki smutny, taki zimny, oziębły jak wszedłem. Zresztą poco się mam modlić? ja już nie wierzę... nawet imię samego Boga żadnego na mnie wrażenia nie robi. Oto historya mego życia. Twoje życie zapewne wcale inne. Co ty porabiasz? Jakie są twoje zasady religijne?

Spotkanie to wydarzyło się w Wielki tydzień. Zapytany towarzysz bardzo grzecznie oświadczył, że podobny stan sumienia bardzo go boli.

— Ja z łaski Bożej cieszę się zupełnym spokojem sumienia, który nie obył się prawie bez walki, ale łaska Boża zwyciężała wraz ze mną wszelkie pokusy. Bardzo mi żal twego tak dla mnie niespodzianego upadku. Bóg mi zapewne przezeń daje naukę, a może chce, abym się starał o twe wyleczenie. Zresztą wkrótce cię odwiedzę.

Wziął jego adres i poszedł do domu.

W Wielki piątek wieczór poczuł w sobie nieprzepartą chęć odwiedzić swego kolegę. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że tym sposobem najlepiej uczci ten dzień święty; dlatego też natychmiast udał się do wskazanego na bilecie mieszkania. Zastał kolegę

daleko smutniejszym, ale także więcej niewierzącym. Miotał bluźnierstwa na Ewangelię, na Kościół, na prawo Boże. Widocznie szatan nowy doń przypuścił atak; zdawało się niepodobieństwem, aby ten nieszczęśliwy człowiek nie uległ mu zupełnie.

— Słuchaj — rzekł mu kolega wchodząc, wszystko co ci chcę powiedzieć, zbierzmy w trzy słowa. Nie przychodzę tu, aby się starać cię nawrócić, nie będę ci żadnego kazania prawił, ale stan twej duszy boleśnie mnie wzrusza. Widzę, że nie jesteś szczęśliwym, a do tego nieszczęścia dodajesz jeszcze większe t. j., że chcesz się potępić na wieki. Mówisz mi, że już nie wierzysz w piekło; ale ja mam to mocne przekonanie, że się właściwie okropnie boisz piekła, a nie masz odwagi wyznać sobie tego. To sprawa bardzo ważna. Takie: „być może“ zasługuje aby się nad niem zastanowić. Na to nie mam innej rady jak tylko jedną, i proszę cię, nie odrzucaj jej szyderstwem: *spowiadaj się!*

Gdyby piorun uderzył, nie byłby się bardziej zląkł ów grzesznik, ale zdławił gniew i pogardę. Przyjaciel jego, nie dając się zbić z toru, powtórzył spokojnie:

— Spowiadaj się i to zaraz! To środek rozumny i zarazem lekarstwo. W takim dniu jak dzisiaj, Bóg daje szczególniejsze łaski.

Ja nie ustąpię od tego, trzeba się spowiadać, to nic nie pomoże!

— Nie! — odrzekł grzesznik nieco spokojniej, bo ja nie wierzę w spowiedź. Zresztą do kogoż pójdę? Kto mnie zechce słuchać cierpliwie i podać mi rady odpowiednie do mego położenia? Nie, to niepodobna!

Przyjaciel odrzekł wzruszony:

— Ja ci mówię, że się trzeba spowiadać; uwierzysz skoro się pozbędziesz ciężaru, co jak kamień leży na twej duszy; a wtedy dawne światło zmartwychwstanie w tobie. Spowiednika już znalazłem; pójdziesz jutro do Ojca X. i powiesz mu, że ja cię przysłałem. W tej mierze nie przyjmuję odmowy; zostawiam cię samemu sobie, byś się zastanowił nad sobą, i porachował się z sumieniem. Dobranoc!

Nazajutrz o godzinie 9 tej wieczór ktoś puka do jego pokoju. Otwiera, a dwaj przyjaciele rzucają się w objęcia.

— Przychodzę — rzecze grzesznik z radością — przychodzę, by ci najserdeczniej podziękować; ocaliłeś mnie! Poszedłem i zrzuciłem ciężar sumienia u tego poczciwego Ojca, którego mi wskazałeś; zostawiłem tam wszystko: błędy, zbrodnie, niedowiarstwo, a przynoszę wesele, nadzieję i szczęście. Jutro, o niespodziane szczęście! jutro pozwolił mi przyjąć Komunię św. w kościele Panny Maryi wraz z tymi gorliwymi katolikami, któ-

rzy bez trwogi wyznają swą wiarę w tym wieku zpoganionym. Poczciwy Ojciec X. powiedział mi, że za mnie odprawi pokutę i że nie potrzebuję się bać niczego. O piękna cudowna, słodka spowiedzi! Tak jest, to Boskie ustanowienie, mój przyjacielu; jakeś mi powiedział, ona zdarła z mego serca zasłonę, która w niem sprawiała ciemności. Niech na wieki pochwalony będzie Bóg i niech mi raczy udzielić wytrwania!

(Schouppe III. 294).

Wyznanie kapłana-apostaty.

— Już od wielu lat byłem katolickim księdzem, wkońcu wikaryuszem przy parafii i z wielu przyczyn a mianowicie, żem bez powołania wstąpił do stanu duchownego, tak głęboko upadłem, żem moje stanowisko przy parafii porzucił, a chcąc się ożenić, nawet zaparłem się wiary katolickiej i zostałem protestantem. Złożyłem protestanckie wyznanie wiary w ręce superintendenta i wkrótce potem jako predykant protestancki udałem się do miasta X. Tam zaręczyłem się z córką kupca protestanta, a za sześć tygodni miał się odbyć ślub.

Jednego wieczora siedziałem z protestanckim pastorem G., superintendentem W. i kandydatem protestanckiej teologii w domu pastora G. przy filiżance ponczu. Siedzieliśmy

w altanie, pili i weselili się. Nagle zawołano pastora G., bo mówiono, że jakiś umierający go wzywa.

— Czy pan nie zechcesz pójść? — zapytał mnie pastor — pierwsza czynność urzędowa jest, rozumie się, smutna, ale jako gospodarz domu nie mogę się jakoś wydalać z domu i zostawić gości.

Ja byłem gotów i poszedłem za posłańcem. Ten zaprowadził mnie do łoża konającego męża.

— Jestem nowomianowanym kaznodzieją i przychodzę z polecenia pańskiego pastora — rzekłem wpatrując się w blade rysy umierającego. Ten dał głową znak przeczący.

— To nieporozumienie — odrzekł — ja żądałem katolickiego kapłana.

— Czyś pan nie jest ewangelikiem? — zapytałem zdziwiony — wszak mi powiedziano...

— Bardzo dobrze — przerwał mi — ale jabym chciał po katolicku umrzeć.

Słowa te dotknęły mnie dziwnie.

— Jakże pan na tę myśl przychodzisz? — zapytałem. — Czy pan wierzysz w Zbawiciela, który za nas na krzyżu umarł? Jeżli pan weń mocno wierzysz i w Nim ufność pokładasz, to On panu będzie łaskawym sędzią.

Umierający boleśnie się uśmiechał.

— Sama wiara nic mi nie pomoże — od-

rzekł — chciałbym się spowiadać i otrzymać rozgrzeszenie. Przedtem byłem katolickim księdzem, odpadłem od wiary i zostałem protestantem. Ja wiem, że z samą wiarą nic nie wskóram, ale zdaje się, że mi niebo odmawia ostatniej łaski, abym się mógł przed katolickim księdzem spowiadać i otrzymać odeń rozgrzeszenie.

Ciężko wzdychał, a łzy lały się po jego bladych policzkach. Ja stałem zdruzgotany. Co za spotkanie! Odpadły kapłan katolicki stoi przed łożem śmiertelnem innego odpadłego kapłana. Stan tego męża był okropny, ani chwili nie można było tracić.

— Jeżliś pan był katolickim kapłanem — to pan także wie, że w chwili śmierci każdy ksiądz katolicki ma wszelkie władze. I ja także byłem katolickim kapłanem, odpadłem i zostałem protestantem. A zatem pan wiesz, że w tej chwili mam władzę wysłuchać pana spowiedzi i udzielić rozgrzeszenia.

Wypatrzył się na mnie, a gdym go jeszcze raz zapewnił o mojem kapłaństwie, radość odbiła się na jego obliczu. Podał mi rękę, spowiadał się wśród łez najszczerszej pokuty i wkrótce skonał na mych rękach.

Co ja wtenczas czułem, opisać nie zdołam. Czyż to spotkanie przy łożu śmiertelnem człowieka, który podobnie jak ja był kapłanem i odstępcą, nie było upomnieniem i wskazówką nieba dla mnie? Policzki moje

stały się prawie tak blade jak zmarłego, a wzrok mój osłupiały spoczywał na wargach, które na zawsze umilkły.

Ale przysiągłem zmarłemu, biorąc go za skostniałą rękę, że się stanę zupełnie innym, gdyż spojrzałem w przepaść zatracenia, w którą w ślepym szale pędziłem.

Do domu pastora G. i do filiżanki ponczu nie powróciłem już. Oświadczyłem superintendentowi, że rezygnuję z posady kaznodziei, a narzeczoną prosiłem, aby o mnie zapomniała. Chcę wstąpić do trapistów i surową czynić pokutę za to, co popełniłem. Oby mi Bóg był kiedyś łaskawym sędzią!

Wkrótce też wstąpił do trapistów i tam jeszcze 12 lat aż do śmierci w najsurowszych umartwieniach za grzech odstępstwa swego pokutował. (Frb. Kirchb. 1881, 16).

Przed spowiedzią przebacz!

Hrabia K. już od kilku miesięcy leżał, cierpiąc nieuleczalną chorobę. Męczony najgwałtowniejszemi boleściami poznał zaraz, że wkrótce może godzina śmierci dla niego wybije. Chociaż więc z rzadkim spokojem znosił swe męki, to przecież dnia jednego skarżył się swemu spowiednikowi:

— Czy jest księże proboszczu w całem miasteczku człowiek, któryby tak niewymownie cierpieć musiał, jak ja?

— Tak jest panie hrabio — odpowiedział zapytany — ja odwiedzam człowieka, który pod trojakim względem więcej znosić musi jak pan. Bo pan, panie hrabio, możesz sobie przez swą zamożność wszystkie środki do wygody służące zapewnić, a tamten cierpi największe ubóstwo, a od swych bliźnich najskąpszej doznaje pomocy. Pana, panie hrabio, pielęgnuje wierna małżonka i kochająca córka — żona zaś tamtego, musi go dla zarobku cały dzień zostawić samego, a gdy przyjdzie, obchodzi się z nim obojętnie a nawet szorstko. Pan, panie hrabio, możesz ze spokojem sumienia na przeszłe swe życie spoglądać i ufać w miłosierdziu Bożem, a owego ubogiego chorego przygniata tajemna jakaś wina, której nietylko nie stara się zgładzić przez godne przyjęcie ŚŚ. Sakramentów, ale powiększa ją jeszcze przez częste wybuchy dzikiej rozpaczy.

— Proszę księdza proboszcza — rzekł nalegając hrabia — powiedzieć mi, kto jest ten chory i gdzie mieszka; jeszcze dziś poszlę mu porządne łóżko i nadal oń starać się będę.

Wzruszony kaplan podał hrabiemu dokładny adres chorego.

W kilka godzin potem odwiedził proboszcz Józefa wyrobnika. Tak się bowiem nazywał chory, o którym proboszcz z hrabią rozmawiał. Jakaż zmiana zaszła w ubogiej izdebce

owego biedaka! Józef leżał na porządnem łóżku, świeżą bielizną okrytem; na nowym stoliku przy łóżku stała flaszka z lekarstwem. Ze łzami w oczach opowiadał chory, że to wszystko posłał mu hrabia K., że się obowiązał zapłacić za lekarza i lekarstwa i do końca choroby starać się o silne dlań pożywienie.

Proboszcz sądził, że obecne usposobienie chorego jest tego rodzaju, iż go będzie mógł skłonić do przyjęcia ŚŚ. Sakramentów. Jako dobry znawca duszy ludzkiej, spostrzegł wewnętrzną walkę wyrobnika. Józef chciał coś powiedzieć, a jednak strach jakiś usta mu zamykał. Kapłan opowiedział pokrótce, co hrabiego skłoniło do takiej życzliwości względem niego i tak zakończył:

— Czy nie uznajesz w tem, drogi przyjacielu nieskończonej łaskowości Ojca niebieskiego? Bóg ci w doczesnych rzeczach pokazuje, że myśli o tobie! On i w wieczności o tobie nie zapomni, jeźli przez godne przyjęcie ŚŚ. Sakramentów z Nim się pojednasz.

Józef wybuchł gorzkim płaczem.

— O! — zawołał — hrabia K. musiałby mnie przeklinać, gdyby mnie znał, bo ja — ja przed 18 laty jego jedynaka zamordowałem i złupiłem. Nikt, nawet żona moja nie wie o tej tajemnicy. Uszedłem wprawdzie sędziemu ziemskiemu, ale sędzia w mem własnem sercu nieustannie mnie odtąd prze-

śladował i ani chwilki spokojnej mi nie darował.

— Hrabia K., jego żona i córka — zaczął kapłan głęboko wzruszony — nieraz wobec mnie i innych osób wyrażali się, że mordercy syna i brata swego z całego serca przebaczyli. Mimo to, jeźli sobie życzysz, pobiegnę do hrabstwa i przyniosę ci od nich zapewnienie najzupełniejszego przebaczenia.

Ledwie chory znakiem dał pozwolenie, zaraz się kapłan oddalił, a niedługo potem powrócił z hrabiną, czcigodną staruszką.

— Józefie — rzekła hrabina drżącym głosem — mój mąż, ja i moja córka przebaczamy ci zupełnie i bezwarunkowo. Zapomnimy i zamilczymy o wszystkiem.

Chory usiadł na łóżku. Wziął podaną rękę hrabiny i przytulił ją do ust.

— Państwoście mi przebaczyli — rzekł do głębi wzruszony — oby mi i Bóg przebaczył! Księże proboszczu, ja się chcę spowiadać!

W kilka dni potem przybył proboszcz do hrabiego.

— Panie hrabio — rzekł miękkim głosem — Józef skonał. Ostatnie jego słowa były życzenia błogosławieństwa dla pana i jego rodziny.

Wtenczas hrabia rzekł powoli i uroczyście:

— O mój Jezu! ja memu nieprzyjacielowi przebaczyłem. Bądźże i Ty łaskawym sędzią dla mnie!

Jeszcze tego samego dnia umarł hrabia i zapewne Zbawiciel ostatnią prośbę jego wysłuchał. (Erb. St. 1882, 8).

Spowiedź w loży masońskiej.

Wieczorem dnia 22 grudnia 1867 — opowiada sławny misyonarz afrykański E... T. J., bawiłem właśnie w Paryżu, aby u znajomych i zacnych dobrodziejów na zakłady sierót i szkoły w Weronie, Kairze i Chartumie dla biednych murzynów składki urządzić i nadwątlone me zdrowie w łagodnym klimacie Francyi naprawić.

Wszak z 37 misyonarzy, którzy ze mną z Włoch, Austryi i innych krajów Europy do różnych stacyj misyjnych w Afryce się udali, już 35 padło ofiarą żółtej febry i innych zabójczych chorób. To też i mnie tylko dłuższy pobyt zdala od puszczy Sahary i moczarów Nubii mógł od pewnej śmierci ocalić.

W owym dniu składka na moje murzyńskie dzieci udała się wybornie, datki płynęły obficie. Pełen wdzięczności ku Bogu i dobrodziejom powróciłem znużony do domu. Gdym o godzinie 10 tej mówił brewiarz, ktoś zapukał do mego mieszkania. Zdziwiony, że tak późno jeszcze ktoś do mnie przychodzi, wziąłem świecę, postąpiłem ku drzwiom i zapytałem wchodzącego, czego sobie życzy.

Ten gość, przyzwoicie ubrany mężczyzna, z gładkiem obejściem, skłonił się grzecznie i odrzekł:

— Bardzo przepraszam, że ks. dobrodziejowi jeszcze w tak późnej godzinie przeszkadzam. Przyszedłem księdza dobrodzieja wezwać do umierającego, który z księdzem dobrodziejem przed śmiercią chce pomówić.

— Ależ — wtrąciłem — czegoż to wzywają mnie, człowieka obcego, czemu nie kapłana z parafii?

— Umierający wyraźnie o księdza dobrodzieja prosił! — odrzekł zapytany; muszę naturalnie do woli księdza dobrodzieja zostawić, czy zechce ostatnie życzenie umierającego spełnić czy nie; wiele czasu niema do stracenia.

Nie zaciekając się w to dziwne żądanie, poszedłem za tym panem natychmiast, i wyszedłem na ulicę. Tam czekał wspaniały powóz. Nieznany prosił mnie grzecznie, abym wsiadł, pomógł mi wsiąść, zatrzasnął drzwiczki a sam szybko wsiadł na kozioł. Konie szybkim kłusem popędziły przez brukowaną ulicę. Ku memu największemu zdziwieniu, spostrzegłem teraz przy świetle lamp przydrożnych, jeszcze trzech innych mężczyzn, o podejrzanych obliczach, siedzących w powozie. Przeląkłem się i już zabierałem się do wyskoczenia z powozu. W tej chwili jeden z nich porwał mnie za kołnierz a drugą ręką przy-

łożył nagi sztylet do mych piersi, gdy drudzy dwaj mierzyli mi rewolwerami w głowę. O ucieczce ani myśleć. Zdałem się tedy na Boską Opatrzność i błagałem gorąco Pana Boga, aby mi dał szczęśliwą śmierć, bo sądziłem, że mój koniec się zbliża. Chętnie, a przynajmniej bez oporu dałem sobie oczy zawiązać. Straszliwi towarzysze moi zapewniali mnie wprawdzie, że mi się nic złego nie stanie, jeżli cicho się zachowam, ale czegoż nie mogłem się lękać od tak tajemniczych ludzi! Ich głuche milczenie podczas całej jazdy podwajało moją trwogę.

Już prawie dwie godziny szybkośmy jechali, gdy powóz się zatrzymał. Wysadzono mnie z powozu i zaprowadzono do obszernego zabudowania, przez wiele kurytarzy i gmachów, po schodach na dół do góry, w prawo i w lewo. Wreszcie jeden z nich rozwiązał mi oczy, oddalił się i zamknął za mną drzwi. Zdziwiony wodziłem oczyma w około. Znajdowałem się we wspaniałym salonie, zasłanym wielkiemi kobiercami. Przepych jaki w całem urządzeniu panował, kazał mi wnosić o bogactwie mieszkańców pałacu. Daremnie szukałem oczyma chorego, leżącego na łożu śmiertelnem. Jakby zaklęty stałem jeszcze w miejscu, w którem mi oczy rozwiązano. Nie wiedziałem, co myśleć, ani co mówić. Wtem podnosi się ze starożytnego fotelu, który stał w głębi

salonu, jakiś pan, pełen zdrowia i życia, jeszcze w pełni wieku, chociaż siwe włosy wykradające się z pod czarnych, zdradzały już przejście do wieku sędziwego. Uprzejmie mnie powitał, choć dopiero pierwszy raz w życiu go widziałem i prosił mnie, bym usiadł. Ja mu rzekłem:

— Wezwano mnie do umierającego, ale jak widzę, zaszła jakaś pomyłka, albo kryje się jakiś podstęp, bo pan przecież jesteś zupełnie zdrów, jeźli mnie pozór nie myli.

— Wprawdzie zdrowie moje jest w najlepszym stanie — rzekł ów pan z bolesnem uśmiechem — a jednak mimo to muszę za godzinę umrzeć i dlatego proszę mnie do chrześcijańskiej śmierci przygotować.

— Co pan przez to chce powiedzieć? — zapytałem — Pan jesteś zupełnie zdrów i silny, a za godzinę masz umrzeć?

— Nieznajomy pan odrzekł spokojnie:

— Aby się nie rozwodzić, powiem księdzu dobrodziejowi krótko, że zostałem członkiem tajnego stowarzyszenia i stałem już na jednym z najwyższych jego stopni, ponieważ umiano ocenić mój wpływ w państwie i w społeczeństwie, prócz tego moją stanowczość w wykonaniu trudnych zamiarów, a przytem można było mych sił i mego znaczenia dobrze użyć ku celom stowarzyszenia. Chętnie i odważnie służyłem od 28 lat celom naszego tajnego stowarzysze-

nia. Gdy niedawno temu los na mnie padł, bym wysokiego i powszechnie szanowanego, bardzo godnego i pobożnego prałata życia pozbawił, wzbroniłem się stanowczo wykonać ten rozkaz, choć przewidywałem, że podług naszych ostrych statutów śmierć niechybna mnie czeka. Wyrok zapadł, jeszcze tej nocy muszę umrzeć. Gdy mnie przyjmowano do tego stowarzyszenia, miałem poprzysiądz, że ani w życiu, ani przy śmierci nie będę żądał pomocy kapłańskiej; tej jednak przysięgi stanowczo odmówiłem — a ponieważ mnie można było użyć korzystnie, odstąpiono od tego żądania a teraz uczyniono memu życzeniu zadość. Aby uniknąć wszelkiego podejrzenia, zawołano księdza dobrodzieja, jako kapłana mniej z tutejszemi stosunkami obznajomionego.

— Jakąż śmiercią pan umrzesz?

— To rzecz prosta — rzekł. — Wbija się widełki żelazne w dolną część szyi blisko obojczyka, tak, że dwa ich końce przeszywają główne żyły. Śmierć następuje zaraz, i nie widać szerokiej rany. Ja sam 50 przeszło nie dotrzymujących słowa w ten sposób zgładziłem ze świata, albo widziałem, jak umierali. Od tego wyroku apelacyi nie ma, a gdyby kto chciał mieć, toby mu się nie udało, bo tajemne sieci naszego stowarzyszenia po całym świecie są pozastawiane. A teraz proszę mnie wysłuchać spowiedzi

z całego życia; będzie ona długa, bo sumienie moje obciążone krwią, świętokradztwy i wielu innemi zbrodniami. Mam tylko jeszcze godzinę czasu — rzekł patrząc na złoty, brylantami sadzony zegarek. — Nie traćmy czasu!

I klęknął przy mojem krześle.

Może godzina upłynęła, gdy drzwi się otwarły i kilku mężczyzn pewnym krokiem weszło, aby skazanego na śmierć wyprowadzić. Ten wyprosił sobie jeszcze pół godziny, gdyż jeszcze spowiedzi nie skończył. Nie chciano mu tego pozwolić; gdyż mówiono, że już pierwsza po północy. Już jeden z tych mężczyzn wziął go za ramię i chciał go gwałtem wyprowadzić. Skazany jednak odwołał się do przyrzeczenia towarzyszy, że mu zupełną wolność zostawią w uporządkowaniu sprawy zbawienia, a ja błagalne me prośby połączyłem z jego prośbami. Ci straszliwi ludzie pozwolili mu jeszcze 20 minut i usunęli się. Tymczasem skazany skończył spowiedź. Z najgorętszą skruchą i najżywszą pociechą, że się z Bogiem pojednał, otrzymał kapłańskie rozgrzeszenie. Z wdzięcznością całował mi rękę, na którą gorąca łza z jego oczów padła. Jakże mi bolesno, żem mu nie mógł udzielić Komunii św.! Miasto Komunii dałem mu relikwię Krzyża św. w srebrnej puszce, którą dotąd jako skarb najdroższy nosiłem, i upomnia-

łem go, aby zupełną ufność położył w Tym, który za grzechy całego świata na tem drzewie zadość uczynił i jeszcze przed śmiercią pokutującemu łotrowi przebaczył. Z czułością przycisnął krzyżyk do ust i schował go na piersiach pod sukniami. Następnie zapytałem go, czy może ma jakie zlecenie, którebym mógł wykonać.

Prosił mnie więc, abym pozdrowił jego najukochańszą i cnotliwą małżonkę i dwie córki, z których jedna wstąpiła do Sercanek i wiele się modli za swego zbłąkanego ojca.

— Proszę je zapewnić, żem z Bogiem pojednany życie me zakończył.

— Ale — wtrąciłem — może one nie zechcą uwierzyć moim zapewnieniom, jeźli im nie dam niezbitego dowodu mej z panem rozmowy. Proszę tedy kilka słów napisać, aby mi, ujrzawszy własnoręczne pismo pańskie, uwierzyły.

Wziął tedy mój notesik i napisał ołówkiem:

— Droga Klotyldo, mając ten świat pożegnać, błagam cię o przebaczenie za zmartwienie jakie ci nienaturalna śmierć moja sprawi! Pozdrów moje kochane, pobożne dzieci i pocieszaj siebie i córki zapewnieniem, że z Bogiem pojednany umieram, i że was tam w niebie ujrzeć się spodziewam. Módl-

cie się pilnie za mą biedną duszę! Twój Teodor.

Uprzejmie się skłoniwszy, oddał mi ten pan, którego stan i imię było mi teraz znajome, notesik, i prosił mnie, bym mu jeszcze kilka słów pociechy i otuchy powiedział. Ledwie kilka słów powiedziałem, gdy drzwi się otwarły i czterech mężczyzn weszło, by skazanego wyprowadzić. Ja go zasłaniam memi piersiami, odtrącam morderców rękami, błagam i proszę, aby oszczędzili życie najukochańszego męża i ojca, i rąk swych we krwi nie broczyli. Oni sobie szydzą ze mnie, śmiejąc się i odtrącając mnie swemi żelaznemi rękami, tak żem się zatoczył. Ofiaruję im życie me za skazanego, upadam przed nimi na kolana i tak serdecznie ich błagam, że skały bym poruszył. Za całą odpowiedź kopią mnie nogami. Już związali skazańca i już go prowadzą. Odchodząc zawołał nieszczęsny:

— Bądź zdrów, czcigodny Ojcze, niech ci Bóg zapłaci za to, coś dla mnie uczynił. Pamiętaj o mnie ojcze, w twych ofiarach i modlitwach!

Do głębi wzruszony, patrzałem za nim aż się drzwi za nim zamknęły. Kroki przebrzmiały głucho na kurytarzach. Klęcząc i twarz rękami zasłoniwszy, modliłem się drżącemi usty i gorącą pobożnością do Boga o łaskę i miłosierdzie dla nieszczęśliwe-

go, który u ludzi nie doznał miłosierdzia. Co w tej godzinie wycierpiałem, wie tylko Wszystkowiedzący. Słyszałem ryk tygrysów i panter krwiożerczych w gajach palmowych, i skalistych parowach Etyopii, straszliwe krokodyle rozwierały swe zębate paszcze na mnie, olbrzymie węże swemi zwojami zdusić mnie chciały, dzicy murzyni z Darfur i Wadai mierzyli do mnie zatrutemi strzały, ale dzikość wszystkich potworów natury i najmniej cywilizowanych narodów ziemi o wiele przewyższa ta złość szatańska, to nieludzkie okrucieństwo i bezwzględna surowość owych tajemnych towarzystw, które w ustach mają ludzkość, braterstwo, wolność i równość, ale w sercu noszą jad zatruty i mordują tych, których za braci uznać i miłować powinni, którzy jawnie i skrycie wstrząsają podwalinami państwa i Kościoła, aby na gruzach życia religijnego wznieść nową wieżę Babel. Tysiączne myśli tłoczyły mi się do głowy. Wszystko było cicho jak w grobie. Zimny pot spływał mi kroplami z czoła, jak gdybym ja sam był żywcem pogrzebany. Jak długo te tortury duchowe mnie męczyły, nie umiem powiedzieć.

Nagle drzwi się otwarły i czterej ci straszni mężowie stają przedemną. Nawet nie wezwany wyciągnąłem ręce, aby je związali, ale mnie nie związali, tylko zawiązali mi oczy, wodzili mnie po różnych kurytа-

rzach bądź do góry bądź na dół jak przedtem. Wreszcie odwiązano mi oczy. Znajdowałem się w salonie rzęsiście oświetlonym, którego okna okiennicami były zasłonięte. Na wspaniałych stołach pełno było półmisków z pieczywem, owocami i łakociami, w srebrnych samowarach gotowała się chińska herbata, flaszki rozmaitego kształtu i barwy kazały się domyślać, że tu zbytek i używanie do najwyższego dochodzą stopnia. Wielu panów i pań przychodziło i wychodziło.

Jedni posilali się przy stole, inni rozmawiali w kącie, tu cała grupa żywo rozprawiała, tam znowu stał jeden w myślach zatopiony. Kilka z dam wykwintnie odzianych wraz z kilku panami przystąpiło do mnie, prosząc, bym przyjął jaki posiłek, ale ja wszystkim ich natarczywym prośbom odmówiłem mówiąc, że dziś jeszcze chcę mieć Mszę św., gdyż już 2-ga po północy. Więcej na mnie nie nalegano. Gdym się zabierał do odejścia z tak tajemniczego towarzystwa, przyłączyło się do mnie kilku panów, sprowadzili mnie na dół, zawiązali mi oczy i wsadzili mnie w powóz stojący w pogotowiu. Po kilkugodzinnej jeździe to brukiem, to miękką drogą polną, zatrzymał się powóz. W milczeniu wysadzili mnie moi towarzysze z powozu, szli ze mną kilka kroków i posadzili mnie na jakiś żelazny

przedmiot. Zimny pot na mnie wystąpił, bo sądziłem, że tu mnie życia pozbawią. Może godzinę w takim strachu nieruchomy siedziałem, a śmierć nie nadchodziła. Odetchnąłem lżej, a ponieważ ani kroków, ani głosów ludzkich nie słyszałem, odsłoniłem sobie nieco oczy. Byłem sam. Nagle zrzuciłem chustkę z oczu, wstałem z żelaznego krzesła ogrodowego i oglądałem się wokoło. Ponieważ już świtać zaczęło, ujrzałem się we wspaniałym ogrodzie, zasadzonym drzewkami i krzewami. Tuż przedemną stała cieplarnia, pełna roślin zagranicznych. Wszedłem by znaleźć wyjście na drogę. Wtenczas obaczyłem drugie drzwi, wiodące do miłego domeczku. Zapukałem, jakaś kobieta otworzyła zdziwiona, że już tak wcześnie ktoś przybywa. Przeprosiłem, że tak wcześnie przeszkadzam, ale musiałem się zabłąkać, powracając od chorego. Kobieta zawołała męża i rzekła:

— Ksiądz dobrodziej zabłądził i życzy sobie, byś mu drogę pokazał.

— Gdzie ja też jestem? — zapytałem nieśmiało.

— Trzy godziny jazdy od Paryża — odrzekł młody, silny mężczyzna.

Nie wiedziałem co powiedzieć na razie tak byłem przerażony.

— Trzy godziny od Paryża, szeptałem mechanicznie i zamyśliłem się.

— Czy prędko ksiądz dobrodziej chce być w Paryżu? — zapytał ogrodnik; — służę moim wózkiem, jeżli ksiądz dobrodziej nie pogardzi. Zaraz jadę do miasta, dokąd codzień kwiaty i jarzynę wożę.

Z wdzięcznością przyjąłem usługi poczciwego ogrodnika i przybyłem do Paryża dość wcześnie. Ale Mszy św. tego dnia nie miałem, bom był bardzo rozstrojony. Na ciele i na duchu zmęczony i zbity, rzuciłem się na krzesło. Rozmyślałem, czy to był sen czy rzeczywistość. Niestety! najoczywistsza prawda!

Nazajutrz odprawiłem Mszę św. za owego nieszczęśliwego członka tajnego stowarzyszenia w pobliskim kościele Sercanek. Gdy po dziękczynieniu miałem odejść, zapytała mnie przełożona, czy mi co nie brakuje, że tak źle wyglądam. Zrazu dałem odpowiedź wymijającą; ale ponieważ z niej nie była zadowoloną, opowiedziałem jej co mi się tamtej nocy wydarzyło. Wysłuchawszy mego opowiadania, wśród łez mi powiedziała, że córka zamordowanego jest zakonnicą w tym klasztorze i bardzo za swego drogiego ojca się modli, gdyż wie, iż on jest członkiem tajnego stowarzyszenia; że się bardzo ucieszy wiadomością, iż ojciec jej się nawrócił.

W dzień Bożego Narodzenia znowu nad tą tajemniczą historyą rozmyślałem. Mimowoli wzrok mój padł na paryską gazetę

w której obwieszczone bywają różne wypadki śmierci, między innemi i takich osób, które jako nieznane w gmachu na przechowanie zwłok przeznaczonym, na widok wystawione bywają. Natychmiast wstaję i biegnę do gmachu owego. Tam znajduję sześć trupów, ale żaden z nich nie był podobny do tego, którego szukałem. Zawiedziony i niezadowolony chciałem już wyjść i jeszcze raz się rozglądam. Wtem ujrzałem na ścianie znane mi suknie, a na tasiemce wisi moja kosztowna relikwia Krzyża św. Jeszcze lepiej przypatrzyłem się trupowi, który leżał obok tych sukni. I rzeczywiście był to trup zamordowanego, choć bardzo zmieniony, ale rysy znamienne dały się jeszcze rozpoznać. Aby się doskonale przekonać, odsłoniłem nieco pokrycie i rzeczywiście na szyi były dwie dziurki, z przodu nieco szersze jak na karku. Obie żyły były na szyi przebite. Dozorca się zbliżył i pytał mnie ciekawie:

— Czy pan wśród umarłych szukasz znajomego?

— Uczyłem się medycyny — rzekłem wymijająco — i lubię poznawać rodzaje śmierci. Wcale nie kłamałem; bo rzeczywiście uczyłem się medycyny, która mi bardzo na misyach się przydaje.

— Tego pana wyciągnięto z Sekwany — rzekł nadzorca — musiał utonąć.

Milczałem aby się nie zdradzić, i zosta-

wiłem go w błędzie. Nieraz chciałem moją relikwię wziąść, ale bojaźń, by się nie zdradzić, i mniemanie, że przecież tak świętej rzeczy nie zechcą znieważać, wstrzymała mnie od wykonania zamiaru. Jak obiecałem, i nazajutrz odprawiłem Mszę św. w owym klasztorze. Po Mszy św. przyszła do rozmownicy zakonnica i wśród łez i łkania rzekła:

— Proszę w modlitwach i we Mszach św. pamiętać o moim nieszczęśliwym ojcu.

— Czy mogę spytać co się stało ojcu Wielebnej Siostry?

— Ach — odrzekła, straciłam mego drogiego ojca, podwójnie straciłam: w czasie i w wieczności! Gdyby był umarł w łasce Bożej, mogłabym przeboleć tę stratę, ale po życiu tak bezbożnem tak nagle umrzeć — o, to straszna, to okropna rzecz! O gdybym mogła wybawić duszę ojca mego zkądinąd tak dobrego, chętniebym poniosła wszystkie męki czyścowe aż do dnia sądnego! Wszystkie choroby, kalectwa, cierpienia i przykrości tej ziemi, wszystkie męki piekielne wzięłabym na siebie, gdybym w ten sposób duszę jego wybawić mogła.

— Niech się siostra cieszy! konający Zbawiciel ulitował się nad łotrem w ostatniej życia chwili! Gorące modły Wielebnej Siostry z pewnością i ojcu jej pomogły.

— Muszę o tem wątpić — rzekła zakonnica, bo mój ojciec należał do tajnego sto-

warzyszenia, którego członkowie przy śmierci wszelką pociechę religii odrzucają.

— A gdyby ojciec Wielebnej Siostry pomimo to spowiadał się przed śmiercią? — zapytałem.

I wyjąłem notesik i pokazałem jej pismo ojca. Oczy jej rozpromieniły się, przytuliła pismo do ust i padając na kolana, wyciągnęła ręce i łzawemi oczyma do nieba spoglądając, zawołała silnym radosnym głosem:

— Bogu wieczne dzięki! Mój ojciec ocalony! (Frbrg. Kirchbl. 1873. 16, 17).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki T. J.

L. 5183.

POZWALAMY DRUKOWAĆ. † *A. Kard. Dunajewski*
(L. S.) Książę-Biskup.

Kraków 15 Grudnia 1892.

W Krakowie, w drukarni „Czasu" pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

IV. Pokuta.

(Ciąg dalszy).

Odwołanie.

Bardzo pospolitym grzechem jest potwarz albo oszczerstwo, ale bardzo rzadkiem wynagrodzenie jego. Jak mało pokutujących stara się o zadosyćuczynienie za grzechy mową popełnione i wynagrodzenie za dobrą sławę przez obmowę lub oszczerstwo bliźniemu wydartą, chociaż dobre imię droższe jest jak srebro i złoto!

W pewnej wsi w Niższej Austryi żyła cnotliwa szwaczka, która wraz z pięcioletnią córeczką swego brata utrzymywała się z pracy rąk ubogo, ale uczciwie. Kilka lat tak żyła, i nawet mały grosz złożyła sobie na nieprzewidziane wypadki choroby lub starości. Nagle jednak zabrakło jej roboty; dni i tygodnie upływały, a nikt nie dawał jej

nic do szycia. Zasmucona szwaczka nie mogła zrozumieć, dlaczego nagle straciła robotę. Chodziła od domu do domu prosząc o zarobek, ale wszędzie spotykała tylko nieprzyjazne oblicza; nie chciano jej nawet słuchać i pozbywano się jej krótkiemi słowy; niekiedy uważała, że się jej bano. Biedaczka nie wiedziała co ma począć, jak sobie poradzić; całemi nocami płakała i wylewała przed Bogiem ciężkie utrapienia serca swego.

Już wszystek zaoszczędzony grosz wydała, ani odrobiny mąki, ani kęsa chleba nie było w domu; serce jej się krajało na widok niewinnego dziecka, które z zapłakanemi oczyma wyciągało wychudłą rączkę do ciotki, która jej głodu zaspokoić nie mogła.

Nareszcie głodem i nędzą zmuszona puściła się na żebraninę; wziąwszy dziecię za rękę chodziła od drzwi do drzwi i prosiła bliźnich o miłosierdzie, ale małe znajdowała politowanie. Jeżli jej co dano, to niechętnie i z goryczą; a gdy ona lub dziecko chciały za jałmużnę pocałować w rękę, cofali się ze wstrętem. W końcu przecież dowiedziała się o przyczynie swej niedoli i pogardy. Oto złośliwa i słynna z jadowitego języka osoba powiedziała jej bez ogródek:

— Cały świat wie, jak niebezpieczną i zaraźliwą masz chorobę; dobrzebyś zrobiła,

gdybyś jak trędowaci w Ewangelii unikała towarzystwa ludzi.

— Jakąże ja mam chorobę? — zapytała zdziwiona szwaczka.

— Ty sama wiesz najlepiej, na co jesteś chorą; wszyscy mówią, że masz zaraźliwego raka.

Jakże się przelękła biedaczka niewinnie spotwarzona! Teraz otworzyły się jej oczy; z obawy zarażenia się nie dawano jej żadnej roboty i unikano najmniejszego jej dotknięcia. Chciała się usprawiedliwiać, ale złośliwa osoba rozśmiała się z niedowierzaniem i biedna musiała milczeć i cierpieć.

Nadszedł rok 1847, w którym po Wielkanocy zaczął się jubileusz powszechny z powodu wstąpienia Piusa IX na Stolicę Apostolską. Wszyscy przygotowywali się do korzystania z odpustu i konfesyonały były ustawicznie w oblężeniu. Jednej niedzieli biedna szwaczka, pomodliwszy się w ustronnym zakątku kościoła i wypłakawszy się przed Panem Bogiem, wyszła i chciała uboczną ścieżką dostać się do swej ubogiej izdebki, gdy ku niemałemu jej zdziwieniu zbliżył się do niej przełożony gminy czyli wójt. Wziął ją uprzejmie za rękę i rzekł:

— Cała gmina niesprawiedliwie z tobą postąpiła, posądzając cię o chorobę raka; wskutek tego zabrakło ci roboty i wpadłaś

w niedolę i nędzę. Pójdź za mną i przeczytaj sama co tam napisano.

Zdumiona poszła za nim, i ujrzała mnóstwo ludzi przed kościołem patrzących na czarną tablicę, na której ogłoszenia sądowe były przylepiane. Gdy się zbliżyła, natychmiast ustąpiono jej miejsca z uszanowaniem i litością. Kilka razy usłyszała słowa: „Biedna szwaczka! Co za szkaradna potwarz!“ Drżała na całem ciele czytając przybitą na tablicy kartę następującej treści:

„Ja niżej podpisana, oświadczam niniejszem przed całą gminą, że przez ohydną zazdrość spotwarzyłam biedną szwaczkę i rozszerzyłam wieść kłamliwą, że jest chorą na zaraźliwego raka. Odwołuję tę moją potwarz i najpokorniej upraszam gminę o przebaczenie“.

Anna Geissl, szwaczka.

Ta Anna Geissl przyszła do wsi przed dwoma laty z dalekiej krainy i aby znaleźć zarobek, dopuściła się szkaradnej potwarzy. Pierwsze słowa cnotliwej szwaczki po przeczytaniu wspomnionej karty, były:

— Dzięki Panu Bogu! — i chciała zedrzeć kartę. Ale wójt nie pozwolił mówiąc:

— Nie! ta karta musi tu być przybita aż do końca jubileuszu, aby ją wszyscy i to często czytali. Dla wielu jest to pismo zwierciadłem.

Z radością w sercu pospieszyła cnotliwa szwaczka do domu.

— Najdroższa ciociu — zawołała wybiegając mała bratanica — nie płacz już; nie jestem głodna. Jakaś pani przyszła podczas nabożeństwa i zapukała w okienko; miała oczy zapłakane i prosiła, abym otworzyła drzwi. Dała mi wielką kromkę chleba i dla ciebie ten pakiecik bardzo ciężki. Ale ja nie zjadłam wszystkiego, i dla ciebie zostawiłam.

Otworzywszy pakiecik, obaczyła srebrne pieniądze i list od Anny Geissl, w którym najpokorniej błagała o przebaczenie wyrządzonej krzywdy i o przyjęcie stu złotych reńskich, jako wynagrodzenie szkody. Natychmiast pobiegła poczciwa szwaczka do Anny, chcąc ją zapewnić o zupełnem przebaczeniu i zwrócić pieniądze, ale przyszedłszy do domu, gdzie mieszkała Anna Geissl, dowiedziała się, że ona zabrawszy swe rzeczy opuściła na zawsze tę wieś, nie mówiąc, dokąd udać się zamierza.

Poszła więc szwaczka do wójta i prosiła o radę, ten zaś powiedział, że powinna spokojnie przyjąć pieniądze za wielkie szkody i dotkliwe krzywdy, jakich przez długi czas doświadczała.

Powróciwszy do domu, znalazła niemało żywności i odzieży, które jej różne osoby poprzysyłały i odtąd nigdy jej nie brakło roboty. (Kat. J. Szmida Tom III).

Tajemnica galernika*).

Ojciec Lavigne (Lawiń) Tow. Jez. kapłan, Apostoł skazańców galerowych, opowiadał przy jednej sposobności następujące zdarzenie:

Żyje jeszcze może człowiek, którego pamięć głęboko w mem sercu jest wyryta, człowiek, którego czczę jako Świętego, a tym człowiekiem jest galernik.

Jednego wieczora przyszedł do spowiedzi. Po spowiedzi zadałem mu kilka pytań, jako miałem zwyczaj czynić z tymi biedakami. Tym razem jednak miałem osobliwszą przyczynę do tego: spokój malujący się na jego obliczu, wpadł mi w oczy. W całym wyrazie jego twarzy, w pewności i w krótkości jego odpowiedzi było coś, co moją ciekawość zaostrzało. Nie wyszukiwał słów, nie rzekł zbytecznego słówka i nie mówił więcej nad to, co go pytałem. Wreszcie po wielu, wielu pytaniach, prawie go zniewoliłem, by mi historyę swego życia opowiedział.

— Ile macie lat? — zapytałem go.

— Czterdzieści pięć, mój ojcze.

— Jak długo tu jesteście?

---

*) Galernik, skazany na galery t. j. roboty okrętowe, albo na całe życie albo do czasu.

— Dziesięć lat.

— Czy jeszcze długo tu macie pozostać?

— Do śmierci.

— Za cóż was skazali?

— Za podpalenie.

— Bez wątpienia jużeście dawno musieli serdecznie żałować, żeście się takiej zbrodni dopuścili?

— Bardzo wiele obrażałem Boga — ale tej zbrodni nie popełniłem! A jednak sprawiedliwie zostałem skazany, bo to Bóg jest który mnie skazał.

— Co przez to chcecie powiedzieć? Czy moglibyście mi to jaśniej wytłumaczyć?

— Ja byłem wielkim grzesznikiem i bardzo Pana Boga obrażałem. Po wielu, wielu zboczeniach, Bóg serce me wzruszył. Postanowiłem nawrócić się i złe uczynione naprawić. Ale pomimo nawrócenia czułem jeszcze wielki niepokój, jakby kamień leżało mi na sercu. Wszak Boga tak dobrego tak ciężko obrażałem; jakże mogłem myśleć, że On mi wszystko zapomniał? A nadto nie wiedziałem, w jaki sposób mam grzechy mej młodości naprawić, a jednak czułem w głębi duszy, jak gdyby mnie kto pobudzał, abym za nie zadosyć uczynił.

Wtem w pobliżu mego mieszkania wybuchł pożar. Podejrzenie padło na mnie i aresztowano mnie. Mogłem przewidzieć, że mnie skażą; byłem jednak na wszystko gotowy.

Wreszcie przyszedł dzień, w którym wyrok miał zapaść. Przysięgli sędziowie opuścili salę, a w tymże momencie zdawało mi się, jakobym słyszał głos:

— Jeżli cię zasądzą, to ci też obiecuję, że cię uczynię szczęśliwym i że ci pokój powrócę.

— I w rzeczy samej, czułem się zupełnie szczęśliwym i spokojnym. Sędziowie przysięgli powrócili i osądzili mnie winnym podpalenia, ale przyjęli zarazem okoliczności łagodzące. Skazano mnie na dożywotne roboty przy galerach. Musiałem się przezwyciężyć, aby nie wybuchnąć płaczem, któryby bez wątpienia całkiem innej przyczynie przypisano, jak radości którą uczułem. Zaprowadzono mnie napowrót do więzienia, tam rzuciłem się na słomę i wylałem potok łez tak słodkich, że nie mogę tego wyrazić słowami.

Ten niewymowny pokój duszy nie opuścił mnie aż dotąd, staram się wszystkie obowiązki wypełnić i wszystkich we wszystkiem słuchać, bo widzę w tych co mi rozkazują, nie stróża, nie dozorcę, lecz Boga. Modlę się zawsze i wszędzie, i czas mija mi jak błyskawica.

Nikt mnie nie zna; wszyscy myślą, że mnie słusznie zasądzono, i to jest prawda. I ty ojcze nie poznasz mnie! nie powiem

ci ani mego nazwiska, ani mego numeru; ale proszę się za mnie modlić, abym wolę Bożą spełnił aż do końca mego życia.

Na tem zakończył swe opowiadanie; jeszcze tylko raz go widziałem, gdy pewnego wieczora przystąpił z drugimi do spowiedzi. Nawet kapelan więzienny go nie zna; jeszcze dwa razy przybyłem do Bagno. Wszelkie moje starania by go odszukać, były daremne.

Tyle O. Lavigne. To wspaniała i Bogu miła za grzechy pokuta (Erb. St. 1887, 27).

Zadośćuczynienie.

Pewna pani, która w małem miasteczku porządny sklep miała, stała się ofiarą wielkiego, sprytnie uknutego oszustwa, które ją zupełnie zrujnowało.

Sądziła, że tego ciosu w rodzinnem mieście nie przeniesie, i starała się, jak często bywa, nędzę swą w przedmieściu stolicy ukryć.

W tym czasie otrzymał katolicki kapelan wojskowy list pieniężny z kwotą 2000 marek. W tym liście proszono go, aby w stolicy wyszukał osobę, której imię i nazwisko wymienił i jej tę sumę jako dług wypłacił; nadto, że brakujące 7000 marek wkrótce nadejdą.

Zacny kapłan szukał i znalazł wskazaną sobie osobę; była to wyżej wspomniana oszukana kupcowa.

Ta biedna osoba mieszkała pod dachem, albo na 5 tem piętrze starej, nędznej kamienicy.

Gdy kapłan wszedł, nic było jej w domu tak że się mógł dokładniej wywiedzieć o jej sposobie życia. Mieszkańcy domu dali jej najlepsze świadectwo. Gdy jeszcze z nimi rozmawiał, weszła kupcowa a kapłan wstąpił za nią aż na 5-te piętro. Izdebka jej przedstawiała obraz największej nędzy. Według zeznania samej kupcowej, wszystkie środki już się były wyczerpały; zrana miała jeszcze 25 centów, ale spotkała inną kobietę, którą uważała za nieszczęśliwszą od siebie i dała jej połowę, mówiąc, że ufa w Opatrzność Boską i cieszy się tą myślą, że gdy potrzeba najwyższa, tedy pomoc Boska najbliższa. To wyrzekła poprostu i szczerze z dziecięcą ufnością, jako dowód, że była bardzo zacną i religijną niewiastą.

— Tak jest, Opatrzność pomogła — rzekł kapłan i wręczył jej 2000 marek. Uradowana, natychmiast dała 500 marek na ubogich, chociaż kapłan jej radził, aby się jeszcze wstrzymała. Nadto radził jej, aby wróciła do miasta rodzinnego i sklep otworzyła na nowo.

Tak też uczyniła, a 7000 marek częściami przez tegoż samego kapłana otrzymała. Byłto owoc Sakramentu pokuty: było to prawdziwe zadośćuczynienie za krzywdę wyrządzoną bliźniemu.

Takich przykładów możnaby tysiące naliczyć; kapłani słuchający spowiedzi i ci którym skradzione rzeczy oddano, mogliby o tem zaświadczyć. (Erb. st. 1884, 12).

Z Ameryki.

Którzy to ludzie najrzadziej do spowiedzi przystępują? Pewnie że nieczyści chodzą bardzo rzadko i niechętnie do spowiedzi, a nawet i spowiedź im nie pomoże, jeźli aż do krwi nie chcą walczyć z pokusą; ale ci, co niesprawiedliwie nabyte dobro mają na sumieniu, najrzadziej chodzą do spowiedzi, mianowicie ci, co na wielką skalę oddają się lichwie i wyzyskiwaniu ludzi, oszukaństwu i wysysaniu sił bliźniego, nie dając mu odpowiedniej zapłaty; dalej ci, co ogłaszają fałszywe bankructwo czyli upadłość, zmniejszają robotnikom zasłużoną zapłatę; uciskają i zdzierają wdowy i sieroty; co kradną i przywłaszczają sobie dobra kościelne i t. p. Z tych na 50 lat zaledwie jeden do Boga się szczerze nawraca. Tu się sprawdza słowo Piśma św.: *Ci którzy się*

chcą zbogacić, wpadają w moc szatana. Z grzechów tedy niesprawiedliwości nie może kapłan nigdy rozgrzeszyć, jeźli spowiadający się niesprawiedliwie nabytego dobra właścicielowi oddać nie chce.

Chociaż jednak tak rzadką rzeczą jest, aby ten co na wielkie rozmiary trudnił się niesprawiedliwością, z Bogiem się pojednał, to przecież kiedy niekiedy i to się zdarza. Bóg przez to chce pokazać, że łaska Jego nawet najzatwardzialsze serca skruszyć zdoła.

O jednej z największych restytucyi (oddania nieprawnie nabytego dobra) jakie się kiedykolwiek zdarzyły, ogłasza gazeta Nowojorska „New-York-Sun“ z Ameryki.

Pewien bogacz poszedł do spowiedzi i wyznał, że największa część jego majątku w niesprawiedliwy sposób jest nabyta, o czem się nikt a nikt nie domyśla.

— Ale ja niemam spokoju w sumieniu — rrekł bogacz — a chciałbym bardzo otrzymać rozgrzeszenie, aby spokój zawitał do mego serca.

— Idź pierwej do domu — odrzekł kapłan — i wybadaj i policz dokładnie, wiele niesprawiedliwie nabytego dobra posiadasz w kasie swej.

Bogacz poszedł, i badał i rachował przez wiele dni, i powrócił do kapłana i uczynił dokładne wyznanie grzechów. Na dowód swego szczerego nawrócenia wręczył spo-

wiednikowi ogromną sumę $5^1/_2$ miliona dolarów, t. j. jedenaście przeszło milionów reńskich papierami.

— Proszę wziąść te pieniądze i dać je prawowitej władzy, aby one w kasie państwa użyte były dla dobra całego kraju.

I kapłan wziął pieniądze i wręczył je ministrowi finansów Kelly'emu, a bogaty milioner, który teraz może stał się ubogim, otrzymał to, czego żądał, t. j. absolucyę.

(Erb. stund. 1885. 17).

Restytucya.

Ludwik Durand, 62-letni kawaler, żyje sobie dosyć zamożnie i wygodnie, ale od dzieciństwa nie może znieść księży, których chętnie nazywa popami. On sam będzie najlepiej wiedział, dlaczego? Przystąpił wprawdzie do pierwszej Komunii, jako i inni, ale od tego czasu noga jego nie postała w kościele, chyba na ślubie przyjaciela, lub na pogrzebie jakiego członka rodziny. Starał się nadto, aby krewni jego nie kazali chrzcić swych dzieci i namawiał drugich, aby ani za życia ani przy śmierci nie wzywali pomocy kapłanów.

Tak czynił aż do Wielkanocy 1879 roku. Ośm dni po Wielkanocy, gdy drzémał po obiedzie, co uważał za najważniejsze „zaję-

cie“, przyszedł służący i zapytał go, czy może X. proboszcza wprowadzić, gdyż chce z nim pomówić.

Gdyby mu oznajmiono przybycie sułtana tureckiego, nie byłby się Ludwik Durand więcej zdziwił, i nie byłby się bardziej zląkł, gdyby był przyszedł Jenerał Jezuitów. Ksiądz w jego domu! Co za zuchwalstwo!

— Ksiądz proboszcz czeka w salonie — rzekł trwożliwie służący.

— Wypędź go na cztery wiatry! — rzekł z gniewem pan Ludwik D.

Namyślił się jednakże; ciekawość odniosła zwycięztwo nad odrazą.

— Czekajno! — zawołał — niech tu ten pop przyjdzie, zobaczymy, czego chce, ale zostań w pobliżu, bo z takimi ludźmi nie można być dosyć ostrożnym.

Kapłan wchodzący był to starzec poważny; miał włosy bielutkie jak śnieg. Pozdrowił Pana domu uprzejmie i rzekł:

— Mam zlecenie panu L. Durandowi wręczyć 1500 franków jako restytucyę. Pieniądze te otrzymałem od osoby, która, rozumie się, musi pozostać nieznaną.

Przez chwilę stał Ludwik Durand jak skamieniały. Wiadomości jego religijne nie były bardzo głębobie. Dlatego też uważał to za rzecz bardzo delikatną i osobliwszą, co nawet dla ucznia umiejącego katechizm, jest

rzeczą naturalną t. j. że grzech kradzieży nie może być odpuszczony, aż krzywda nie zostanie nagrodzona i że spowiednik obowiązany jest do najściślejszego sekretu.

Chętnie więc teraz słuchał kapłana, który mu wszystko jasno wyłożył. Jakby łuski spadły mu z oczu podczas mowy kapłana. Wyznał szczerze, że nigdyby nie był przypuścił, aby księża tak zbawienną naukę głosili i że wszystkich księży uważał za równie złych, jak Jezuitów.

Proboszcz się uśmiechnął i zapewnił go w krótkich wyrazach, że wszyscy dobrzy kapłani także są tak złymi i tak dobrymi, jak Jezuici.

— Jestem gotów — rzekł — tę sprawę panu innym razem obszerniej wyłożyć.

Rozmawiali potem dość długo i rozstali się bardzo grzecznie i uprzejmie. Zaraz na drugi dzień oddał pan Durand księdzu proboszczowi wizytę, bawił długo na plebanii, przechadzał się z proboszczem po ogrodzie i ofiarował mu wiele kwiatów i krzewów do ozdoby ogrodu.

Odtąd przyjaźń była trwała. Pan L. Durand cierpi na gościec, od czasu do czasu dostaje silniejszych napadów, a wtenczas się spowiada długo i dobrze. (Erb. St. 1885, 3).

Nieszczera spowiedź.

Ojciec Patrignani opowiada w swojej monologii pod dniem 4 go kwietnia straszny w tym rodzaju wypadek, który się zdarzył Ojcu Ramirez, sławnemu i świątobliwemu zakonnikowi Towarzystwa Jezusowego, zmarłemu w Alkali 4 kwietnia 1586.

Ten mąż apostolski, zawezwany do jednej chorej dla słuchania spowiedzi, wziął ze sobą brata za towarzysza, który się zatrzymał w przybocznym pokoju tak, że przy otwartych drzwiach mógł widzieć i spowiednika i chorą, nie słysząc jednak nic z tego co mówią. Otoż podczas spowiedzi jakiś ciemny przedmiot zwrócił uwagę braciszka: patrzy i widzi dokładnie czarną rękę, nic więcej tylko rękę, która chwytała za gardło chorą i ściskała je nie puszczając przez całą spowiedź; potem znikła.

Gdy powracali do domu, braciszek przez roztropność nic nie mówił o tem spowiednikowi, ale przyszedłszy do domu, opowiedział przełożonemu o tem wypadku. Przełożony powiedział mu, że to było roztargnienie i że powinien pogardzać rzekomem tem widzeniem jakoby sennem marzeniem lub igraszką żywej wyobraźni. A choć braciszek zapewniał, że widział wszystko tak, jak widzi obecnie, przełożony go odprawił i kazał mu o tem zapomnieć.

Uderzony jednak dokładnością opowiedzianych przez brata okoliczności, człowiek zkądinąd spokojny i wcale nie marzyciel, zawołał Ojca Remirez'a, zapytał go o zdrowie chorej osoby i prosił go, aby ją jeszcze raz odwiedził.

— Ponieważ — rzekł — osoba ta wkrótce umrze, to Ojciec spełni uczynek miłosierdzia, jeżli Ojciec ją odwiedzi i doda jej otuchy.

Ojciec Ramirez poszedł zatem drugi raz do chorej, ale nie zastał jej już przy życiu.

Powróciwszy do kolegium, natychmiast udał się do kościoła i modlił się za spokój duszy zmarłej osoby. Podczas gdy on się modlił, dał się słyszeć łoskot a przytem jęki i westchnienia; następnie głos, w którym poznał głos zmarłej osoby, mówiący:

— Mój Ojcze, nie módl się za mnie; biada mi! bo to nie potrzebne. Jestem potępiona za me spowiedzi świętokradzkie; nawet dziś przy spowiedzi zataiłam grzech... Biada mi! dałam się zwyciężyć fałszywemu wstydowi, i oto zgubiona jestem na wieki!

W tej chwili zobaczył ją Ojciec Ramirez otoczoną płomieniami, jak się zanurzała jakoby w morze ogniste.

(Schouppe T. III st. 270).

Z życia św. Antonina.

Święty Antonin, arcybiskup florencki, opisuje w swych dziełach straszny wypadek, który w połowie XV-go wieku przeraził całe północne Włochy.

Pewien młody człowiek ze szlachetnej rodziny, który w 16-tym roku zataił grzech śmiertelny na spowiedzi i w tym stanie przyjął Komunię św., odkładał od tygodnia do tygodnia, od miesiąca do miesiąca wyznanie swych świętokradztw. Szarpany wyrzutami sumienia, miasto wyznać w pokorze nieszczęśliwy stan swej duszy, starał się uspokoić przez liczne i wielkie pokuty — ale naprożno. Nie mogąc wytrzymać tego niepokoju, wstąpił do klasztoru; tu przynajmniej, mówił, powiem wszystko i odpokutuję za me straszne grzechy.

Na nieszczęście przełożeni przyjęli go jako świętego młodzieńca, gdyż go znali z dobrej sławy; fałszywy wstyd wziął górę nad nim. Odłożył więc wyznanie swych ciężkich grzechów na później. Jeden rok, dwa lata, trzy lata minęły w tym opłakanym stanie: nie miał odwagi wyznać swego nieszczęścia.

Wreszcie choroba zdawała się przychodzić mu w pomoc do wyznania stanu swej duszy.

— Zaraz — mówił sobie — wszystko wy-

znam, uczynię spowiedź generalną przed śmiercią.

Ale i tym razem miasto wyznać szczerze i otwarcie swe błędy, tak je poplątał i zawikłał, że spowiednik nic nie mógł zrozumieć. Spodziewał się, że jeszcze nazajutrz będzie mógł się wyspowiadać, ale utracił zmysły i w tym nieszczęśliwym stanie umarł.

Zgromadzenie, w którem nie wiedziano nic o strasznej rzeczywistości było najgłębszą czcią przejęte dla umarłego. Ciało jego uroczyście wniesiono do kościoła i wystawiono w chórze aż do jutra rana, kiedy miano zań odprawić nabożeństwo żałobne.

Na kilka chwil przed godziną oznaczoną na nabożeństwo, jeden z braci, posłany aby zadzwonił, spostrzegł nagle przed sobą zmarłego, związanego łańcuchami ognistemi; sam zaś umarły był jakby z ognia. Biedny braciszek przestraszony, padł na kolana i wpatrywał się w to okropne widzenie. Wtedy rzekł umarły:

— Nie módlcie się za mnie, jestem w piekle na wieki; i opowiedział opłakaną historyę fałszywego wstydu i swych świętokradztw. Potem znikł, zostawiwszy strasznie przykrą woń w kościele, która się i po całym klasztorze rozeszła jakby na dowód prawdziwości tego wszystkiego, co braciszek widział i słyszał. Natychmiast więc przeło-

żony kazał wynieść trupa i pochować na miejscu niepoświęconem.

Takie jest opowiadanie świętego Antonina. Straszne skutki fałszywego wstydu w świętym trybunale pokuty (Schouppe III, 272).

Marta z Limy.

Wielebny Ojciec Marcin Delrio T. J. opowiada zdarzenie zaszłe w Peru w Ameryce roku 1590 i zatwierdzone przez wiarogodnych świadków.

Niedaleko Limy mieszkała pani mająca trzy sługi, z których jedna na imię Marta była indyanką i miała około 16 lat. Marta przyjęła chrzest święty i zdawała się zrazu miłować cnotę; ale powoli zaniedbała się w ćwiczeniach pobożnych, stała się lekkomyślną, zalotną i rozpustną. Wpadłszy w niebezpieczną chorobę, przyjęła ostatnie Sakramenta; ale skoro kapłan odszedł, rzekła uśmiechając sią do swych dwu towarzyszek:

— Ja nie głupia, przy spowiedzi wszystko księdzu powiedzieć.

Przerażone taką mową towarzyszki, opowiedziały o tem swej pani, ktora przez namowy i groźby otrzymała od chorej obietnicę szczerej i chrześcijańskiej spowiedzi. Marta spowiadała się znowu i wkrótce potem umarła.

Zaledwie ostatnie wydała tchnienie, już

trup jej nieznośną woń począł wydawać, dla tego trzeba go było wynieść do szopy. Pies, z natury spokojny, zaczął wyć żałośnie i dziwnie, jak gdyby go kto brał na tortury.

Gdy po pogrzebie pani podług zwyczaju jadła obiad na świeżem powietrzu w ogrodzie, wielki kamień spadł na środek stołu z ogromnym łoskotem, tak, że wszystkie naczynia podskoczyły, a żadne się nie stłukło. Jedna ze sług, która mieszkała w tym pokoju w którym Marta umarła, została w nocy zbudzona straszliwym łoskotem; wszystkie sprzęty niewidzialna ręka poprzewracała i pozrzucała na ziemię.

Służąca nie miała odwagi dalej tam mieszkać: towarzyszka jej starała się zająć jej miejsce, ale tesame hałasy się powtórzyły. Umówiły się więc razem następującą noc tam przepędzić. Tym razem usłyszały wyraźnie głos Marty a wkrótce i ta nieszczęśliwa okazała się ich oczom w okropnym stanie i cała w ogniu, mówiąc:

— Z rozkazu Boga przychodzę oznajmić wam o moim losie. Jestem potępiona za grzechy nieczystości i za świętokradzkie spowiedzi, które aż do śmierci czyniłam. Opowiedzcie to com wam oznajmiła, aby inni skorzystali z mego nieszczęścia.

To rzekłszy, wydała okropny krzyk rozpaczy i znikła. (Schoupe III 273).

Komendant Coué.

Nie masz nic piękniejszego, nic tak czcigodnego jak szczere wyznanie swych błędów, uczynione sercem chrześcijańskiem i żałującem.

W jednym liście pisanym z Krymu przez Ojca Piotra Glorioťa kapelana przy armii wschodniej roku 1855, czytamy o ostatnich chwilach komendanta Coué. Nic nie ma bardziej wzruszającego nad to opowiadanie. Komendantowi odjęto prawą rękę. Po tej operacyi wykonanej przez zręcznego lekarza, dzielny oficer zaczął się mieć lepiej i zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło; ale wkrótce uczuł, że rana się odnowiła; nastąpiły straszne boleści i pojawiły się oznaki niepokojące.

Umieram — rzekł chory — proście ojca Glorioťa. Bardzo mi przykro, że przeszkadzam kapelanowi, ale cóż robić? trzeba; mam ważny spełnić obowiązek.

Rzeczywiście; był to wieczór, oddalenie wielkie a czas bardzo brzydki.

Kapelan udał się natychmiast do konającego. Przyszedłszy, zastał go trzymającego krucyfiks w lewej ręce z oczyma utkwionemi w ukrzyżowanego Zbawiciela. Ojciec Gloriot użył tej sposobności, aby go zachęcić do cierpliwości.

— Mój Ojcze — odrzekł rycerz chrześci-

jański — Zbawiciel cierpiący jest moją jedyną pociechą, ale ta pociecha jest bardzo wielka.

Natychmiast zaczął spowiedź, która trwała długo, a gdy ksiądz Gloriot chciał ją skrócić z powodu osłabienia chorego, rzekł tenże:

— Proszę mi pozwolić, mój Ojcze; w tak ważnym akcie religii nie chcę sobie nic nie mieć do wyrzucenia.

Jenerał przyszedł go odwiedzić; przyjmował i inne wizyty w przeciągu tych trzech dni, w których jeszcze żył; trzymał bez przerwy krucyfiks w ręku i umarł pełen ufności w Bogu. (Schouppe III, 279).

Na łożu śmiertelnem znaleziona.

Na przedmieściu Nowego Yorku w tylnej części kamienicy leży kobieta w konaniu. Pokój jest wielki i wysoki, ale oprócz łóżka i stołu, starego fotelu i dwu drewnianych krzeseł niema innych sprzętów; i firanki już dawno nie prane okazują ślady starości.

— Tereso, mam pragnienie! — wyjękła cicho chora kobieta.

Teresa, kobieta 58-letnia, zbliża się, wlewa kilka kropel w szklankę wody, podaje chorej, podpierając ją ostrożnie i sadzając na łóżku.

— Dziś pani wielkie ma boleści — rzekła łagodnym litościwym głosem.

— Nie mogę ci wcale wyrazić, jak mnie tu piecze, — pokazując na czoło, — jakby wszystko było żarem ognistym.

Potem głęboko westchnąwszy, opadła na poduszkę. Któż to jest ta osamotniona?

To włoska śpiewaczka, przed 20 laty tak uwielbiana i bogactwy obsypywana Aurora Fracchi (Fraki); wtenczas portret jej błyszczał na wystawach, dzienniki unosiły się na wyścigi nad jej zaletami, ile razy w sali „przepełnionej po brzegi“, znowu „samą siebie przewyższyła“. Wtenczas mieszkała w pierwszym hotelu miasta, najwspanialsze karety były na jej usługi, salony jej były punktem zbornym wyborowego, bogactwy, dowcipem i talentem znacznego towarzystwa. A jako pieniądze na tysiączki zarabiała, tak je też tysiącami wyrzucała kapryśna, rozpieszczona włoszka. A teraz jakże się wszystko zmieniło!

Długotrwała choroba piersiowa tę zmianę sprowadziła. Kosztowności, drogie kamienie, meble, piękne suknie zastawić musiała, a skoro ostatnie zródło pomocy wyschło a choroba niebezpiecznego dosięgła stopnia, musiałaby była pójść do szpitala, gdyby nie stara jej sługa Teresa i lekarz, doktor Z. Tamta, sierota Irlandzka, służyła jej wiernie w dniach szczęścia i chwały, nie porzuciła

jej w czasach ubóstwa i zapomnienia. Lekarz zaś Dr. Z. przez polecenie śpiewaczki, miał licznych pacyentów i jej zawdzięczał majątek i sławę.

— Tereso — rzekł lekarz dnia jednego — musicie na niejaki czas pójść do mej siostry; jużem o tem z nią mówił, siły wasze są już prawie zupełnie wyczerpane; skoro sobie kilka dni odpoczniecie, możecie znowu przyjść. Chorej pani waszej na niczem nie zbędzie; jeszcze dziś popołudniu przybędzie Siostra miłosierdzia z St. Mary, aby was zastąpić. Tak będzie lepiej, Tereso, jak sądzicie?

Teresa nic nie rzekła, tylko fartuszkiem przesunęła po oczach, by łzy swoje ukryć.

Pod wieczór przyszła Siostra miłosierdzia. Teresa dała jej cichutko niektóre wskazówki co do lekarstwa, uścisnęła rękę swej pani i wyszła, mówiąc:

— Ja wkrótcę przyjdę!

Siostra niejaki czas cichutko w fotelu posiedziawszy na przeciwko chorej, nie będąc spostrzeżona od niej, obaczyła, że chora nagle się obróciła, i prosiła o szklankę świeżej wody.

Uprzejmie powitała ją Siostra i pobiegła spiesznie spełnić jej życzenie. Pomogła jej nieco podnieść się i podała jej wody. W tej chwili chora podniosła swe oczy i wpatrzyła

się w Siostrę. Jakby przestraszona, cofnęła się i zapytała głosem wzruszonym:

— Wiele lat ma Siostra?

— Ośmnaście.

— Ośmnaście! — powtórzyła chora powoli, westchnąwszy głęboko.

— Czy Siostra wie, że ja wkrótce umrę?

— Nic mi o tem nie mówiono, że z panią tak źle; spodziewam się, że sztuka lekarska za pomocą Bożą ocali panią.

— Ocali? — odrzekła chora słabym, niepewnym głosem. — Po co mi żyć dłużej? Piękność i młodość, to życie; jam już umarła, me dziecię!

Siostra zamilkła i otworzyła książkę do modlenia. Tylko od czasu do czasu spojrzała na szybko oddychającą chorą. Ta zdawała się drzemać, ale czasami utkwiła na pół ciekawy, na pół zdziwiony i życzliwy wzrok w modlącą się siostrę. Nagle obróciła się chora i zapytała:

— Siostro, jak ci na imię?

— Siostra Franciszka.

— Ja pytam o imię na świecie!

— Reguła nam zakazuje wymieniać je.

— Ale siostra może mi powiedzieć, gdzie mieszkają jej rodzice?

— Ja już nie mam rodziców; mój ojciec umarł.

— A matka?

— Ja jej nigdy nie znałam.

— Biedne dziecko, westchnęła chora; musiałaś się tak wcześnie w kwiecie wieku żywcem pogrzebać w murach klasztornych!

— Pani nie wie co mówi; — odrzekła siostra wesoło i spokojnie. — Pani widziała świat i jego wspaniałość i bogactwo pani posiadała, a jednak teraz musi pani przyznać, że to było tylko pianą i ułudą, ja zaś w mem ubóstwie jestem zadowolniona i wesoła.

Chora drżącą rękę przycisnęła do czoła i głęboko westchnęła. Potem znowu rzekła:

— Jeżli siostra ma słuszność, jeżli wszystko jest próżnością, to jednak przeżyłam jeden rok szczęśliwy przy boku męża, którego nie powinnam była przestać miłować, jak on na to zasłużył. Przy tych słowach drżał jej głos, a łza zabłysła w jej oczach.

Miałam właśnie lat ośmnaście, tak jak Siostra ma teraz. Proszę wziąść ten kluczyk — i wyjęła go z pod poduszki — i proszę otworzyć szkatułkę, co stoi na oknie; znajduje się tam świadectwo ślubu i metryka na moje prawdziwe imię: Anna Bilger. O gdyby on teraz był przy mnie, o gdybym z ust jego usłyszała te słowa: „Anno, ja ci przebaczam“, jak chętnie bym i spokojnie umarła!

Siostra Franciszka pobladła i tylko z największem wytężeniem te słowa wyrzekła:

— A człowiek, o którym pani mówi, czy nie nazywał się Michał von der Stachelhart?

— Tak jest; ale skądże Siostra zna to nazwisko?

— On mnie wychował; to mój ojciec!

— Więc ty urodziłaś się w Szwajcaryi, w Lucernie; a ojciec, skorom go porzuciła, wziął cię z sobą do Niemiec?

Siostra rzekła: „tak“; więcej mówić nie mogła; upadła na kolana przed znalezioną matką i ręce jej okrywała pocałunkami; ale chora nadludzką siłą przycisnęła ją do piersi i z rozkoszy płacząc, mówiła:

— Tak, to ty, moje jedyne, najdroższe dziecię! Dzięki, dzięki niech będą dobrotliwemu Bogu, że cię wreszcie do mnie przyprowadził; o na tyle łaski i radości nie zasłużyłam!

Potem wzięła głowę córki w swe ręce i wpatrywała się długo w to niewinne, łzami radości błyszczące oko!

— Więc ty nie wiedziałaś, kto ja jestem, gdyś tu przybyła?

— Ojciec nigdy ani słówkiem nie mówił mi o śpiewaczce Aurorze Fracchi.

— Ale gdzie i jak umarł ojciec?

— W miasteczku nad górnym Renem, dokąd się usunął od świata, aby żyć tylko dla Boga i memu wychowaniu się poświęcić. Tam też umarł; w prawej ręce trzymał moją, a w lewej rękę kapłana. Ostatnie jego

słowa były: „Módl się za twoją matkę, aby jej Bóg dał szczęśliwą godzinę śmierci!“

Modlitwa ojca i dziecka została wysłuchaną; matka wraz z córką i Kościół znalazła, i w słodkich objęciach rodzonego dziecka, Siostry Miłosierdzia, i duchownej Matki, Kościoła, po przyjęciu św. Sakramentów spokojnie w Panu zasnęła.

(Leo, 1887. ń. 10).

Sekret spowiedzi.

Car Paweł I. i ksiądz Pinguelli.

W ostatnich latach panowania swego dowiedział się Paweł I., car rosyjski, że Polacy gotują się do nowego powstania. Niektórych z podejrzanych natychmiast schwytano i do więzienia w Petersburgu wtrącono. Jeden z nich nie dał się żadnemi środkami nakłonić, aby choć coś o współwinnych i ich planach wyjawić. Tymczasem zachorował i prosił o kapłana. Rząd przeznaczył ku temu francuskiego kapłana, księdza Pinguelli, który dla swych wysokich cnót nietylko katolikom ale najwyższym dostojnikom w stolicy i samemu carowi był znany. Bo gdy raz tenże, jeszcze jako wielki książe, zwiedzał Francyę, przyjął i jego i jego małżonkę ten kapłan, który wtenczas był wiejskim plebanem, gościnnie w swym domu i umiał sobie swych dostoj-

nych gości tak ująć, że gdy później uciekając przed grozą rewolucyi, musiał porzucić ojczyznę i do Rosyi się udał, od cara Pawła i jego małżonki jako przyjaciel przyjęty i jako taki zawsze był traktowany. Ten pobożny mąż, znany powszechnie pod imieniem Aleksandra, mieszkał koło katolickiego kościoła w Petersburgu, wielce szanowany od OO. Jezuitów którzy tym kościołem zawiadywali.

Jednego dnia wezwano księdza Pinguelli do owego chorego. Zawiózł go do więzienia hrabia Kutaissów. Podczas spowiedzi, czekał hrabia w przybocznym pokoju. Po spowiedzi odwiózł go tenże nie do jego mieszkania, lecz wprost do pałacu carskiego i zaprowadził go do cara, sam zaś ustąpił i zostawił ich sam na sam. Car najuprzejmiej powitał kapłana a po kilku krótkich wyrazach grzeczności, zażądał od niego, aby mu wyjawił wszystko, co penitent w politycznym względzie na spowiedzi zeznał.

Sędziwy kapłan mimowoli zadrżał, usłyszawszy taki rozkaz, ale natychmiast się opamiętał i rzekł:

— Wasza cesarska mości! Ja nic o tem nie wiem! Sekret spowiedzi obowiązuje mnie!

Car strasznie się rozgniewał.

— Życie moje jest w Twojej mocy, cesarzu — odrzekł spokojnie Pinguelli roz-

gniewanemu władcy — ale mej duszy przeznaczeniem jest wieczność, dlatego też pomimo bezgranicznej uległości we wszystkiem innem, muszę w tym razie Bogu samemu być posłusznym; moje usta jak każdego katolickiego kapłana, pieczęcią Sakramentu pokuty są i na wieki będą zamknięte. Męki i widok śmierci, mam w Bogu nadzieję nic na mnie nie wymuszą, podobnie jak nic nie wymusiły na męczenniku mego Kościoła św. Janie Nepomucenie. On mi teraz stoi przed oczyma duszy, a ja starać się będę iść aż do ostatniej chwili życia za jego przykładem.

— Chwilę patrzał mu car milcząc w oczy a potem przechadzał się po gabinecie; sędziwy kapłan sądził, że gorzki los jego już się rozstrzygnął; gdy Paweł nagle przed nim stanął, hrabiego Kutaissowa zawołał, wziął rękę kapłana, silnie ją uścisnął i widocznie wzruszony rzekł do hrabiego:

— Zaprowadź pan tego kapłana nazad do jego mieszkania; dotychczas ceniłem go jako dobrego człowieka, ale teraz czczę go jako dzielnego męża i więcej jeszcze jak dzielnego męża!

Obaj wyszli z pałacu carskiego, wsiedli do powozu, i odjechali w milczeniu. Uczucia kapłana każdy czytelnik sam odgadnie. Po śmierci Pawła wzywano księdza Pingnelli nieraz do carowej wdowy, ktora mu

kosztowny podarunek jako pamiątkę po zmarłym małżonku własnoręcznie ofiarowała.

Zdarzenie to wywarło silne wrażenie i mocno się przyczyniło do uznania świętości katolickiej religii u innowierców.

(D. Christ. Pilg. 1886, 16).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki T. J.

L. 5309.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.) † *A. Kard. Dunajewski,*
Książę-Biskup.

Kraków 28 Grudnia 1892.

W Krakowie, w drukarni „Czasu" pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

IV. Pokuta.

Sekret spowiedzi.

(Dokończenie).

Heroizm kapłana.

Cały świat katolicki zna i czci świętego Jana Nepomucena, który będąc kanonikiem pragskim, we wilię Wniebowstąpienia Pańskiego dnia 16 maja 1393 poniósł śmierć męczeńską, dlatego, że okrutnemu królowi Wacławowi nie chciał wyjawić tego, czego się jego pobożna i cnotliwa małżonka Joanna spowiadała. W dzikiej zapalczywości kazał go król swym oprawcom męczyć i do rzeki Wełtawy wrzucić. Od tego czasu czczony jest św. Jan Nepomucen w katolickim Kościele jako „męczennik sekretu spowiedzi“. Gdy w r. 1729 a zatem po 336 latach grób świętego męczennika otworzono, znalazła komisya lekarska zwłoki jego bez ciała, kości

po większej części nie zepsute wyjąwszy rany, które mu na głowie i na barkach zrzucenie do Wełtawy zadało, język zaś był całkiem świeży i dobrze zachowany, tak jak gdyby św. Jan dopieroco umarł.

Podobną, bardzo zajmującą historyę o zachowaniu sekretu spowiedzi opowiemy naszym czytelnikom. Wszystkie szczegóły są najzupełniej prawdziwe. Oto są słowa kapłana, który tę historyę sam opowiada:

Moja rodzina pochodziła ze starej szlachty, ale była uboga, jak wszystkie rodziny irlandzkie, co wierne zostały swej wierze katolickiej i miecza nie chciały zamienić na łokieć, aby sobie przez handel te straty powetować, które w wielkiem powstaniu poniosły. Ojciec mój umarł jako oberstlejtnant w służbie francuskiej, a matka wychowywała nas z miernej pensyi, którą jako wdowa pobierała. Starszy mój brat miał zostać oficerem, mnie zaś jako młodszego, posłano do St. Omer. Roku 1790 wyświęcony zostałem na kapłana, a wkrótce potem posłano mnie jako wikaryusza do jednej z licznych parafii Dublina, gdzie wszyscy byli z mej gorliwej pracy zadowolnieni.

Po upływie jednego roku przybył mój brat, który wtenczas był kapitanem, do Dublina, aby przez pół roku u nas na urlopie zabawić. Ale skoro ten urlop minął, nie chciała moja matka, aby wrócił do swej cho-

rągwi, z powodu smutnego obrotu, jaki rzeczy wzięły we Francyi mianowicie co do obcych oficerów; zniewoliła go tedy, aby wziął abszyd. I ta okoliczność wszystkich nas w nieszczęście wtrąciła.

Brat mój, dotąd przywykły do życia bardzo czynnego, a nadto karnością i szacunkiem dla swego stopnia wojskowego w karbach trzymany, próby nieczynności wytrzymać nie zdołał. Nie będąc w gruncie złym człowiekiem, czynił jednak wszystko, co go osławić mogło. Uczęszczał do klubów i winiarni, palił od rana do wieczora, robił długi, wszczynał sprzeczki i do tego w końcu doprowadził, że wszyscy prawie się go bali, a mało kto go lubił.

Matka moja, którą miłość zaślepiała, nie spostrzegła tej zmiany; ale gdy się już łudzić nie mogła, bardzo się tem zasmuciła. Powtarzam, że mój brat w gruncie nie był złym człowiekiem, przeciwnie — pomimo hulaszczego życia był prawym i zacnym, i najlepszego w świecie serca. Sądziliśmy, że go na prawą drogę zwrócimy, jeżli nam się uda go ożenić. Zgodził się na to i obiecał uczynić wszystko, czegośmy od niego żądali. Zwróciliśmy oczy nasze na córkę kupca, która łączyła w sobie z dobrem wychowaniem, pięknością i majątkiem wyborne przymioty serca.

Wszystko tedy szło dobrze i zdawało się

że wkrótce ślub się odbędzie. Mój brat kochał swą narzeczoną i był o nią zazdrosny. Pewien młody człowiek mieszczanin, prosił o rękę córki kupca i byłby ją otrzymał, gdyby mój brat nie był się oświadczył. Wskutek tego powstała nienawiść między bratem a owym mieszczaninem, która wszystkim była wiadoma; już nieraz szukali zaczepki i zdawało się, że przyjdzie do pojedynku. Jednego tedy wieczora, gdy się bardziej jak zwykle posprzeczali, opuścili klub najprzód mieszczanin a w kilka minut potem mój brat.

Dwie godziny później znaleziono na jednem z przedmieść trupa owego mieszczanina z piersiami nawskróś przeszytemi, a mieczem w pochwie schowanym, co było dowodem, że pojedynku być nie mogło. Ponieważ nadto miał przy sobie dwa zegarki i sakiewkę z pieniędzmi, choć odzież była na nim podarta, nie można było przypuścić, że ktoś go w celu kradzieży zamordował. Widziano więc w tej zbrodni tylko czyn zemsty, a że nie znano innego wroga jego jak tylko mego brata, więc go zaraz aresztowano. Dziwnym i niepojętym trafem miał miecz mego brata koniec odłamany, a on nie umiał tej okoliczności wytłumaczyć i twierdził, że nic a nic o tem nie wiedział.

Oskarżono go tedy o morderstwo; komi-

sya znawców osądziła, że oskarżenie jest dostatecznie uzasadnione i nie chciała go za kaucyą wypuścić, wsadzono go więc do więzienia, aby oczekiwał najbliższego posiedzenia przysięgłych, które dopiero za dwa miesiące odbyć się miało.

Pozory tak przemawiały przeciw memu bratu, że ja sam byłbym go zasądził, gdybym był sędzią. Tylko matka moja nie mogła go uznać winnym; i choć była zasmucona, jednak nie doznawała zrazu wielkiego niepokoju co do wyniku procesu. Ja tymczasem odwidzałem mego brata codzień w więzieniu i wszelkiemi sposobami starałem się wydobyć z niego wyznanie zbrodni, gdyżem się spodziewał, że się znajdą okoliczności, które mi pomogą, przynajmniej życie mu ocalić. Z początku oburzał się mocno na takie bezwstydne oszczerstwa, ale im więcej zbliżał się czas sądu, tem okazywał się łagodniejszym i odważniejszym; mowa jego była poważna i pełna godności, więcej się też zajmował czytaniem Pisma św. jak przygotowaniem obrony. Mówił do mnie:

— Błędy moje były ciężkie i liczne, ale Pan Bóg nie będzie żądał za nie odemnie liczby w przyszłem życiu, gdyż opuszczę tę ziemię jako zabójca w oczach ludzkich, choć tej zbrodni nie popełniłem. Bóg surowo ze mną się obchodzi, odbierając mi honor, który

pomimo mych nieporządków zawsze nieskalanie zachować się starałem.

Nie wiedziałem co mam sądzić. Gdy z nim rozmawiałem, podziwiałem go. Zdawało mi się, że to niepodobna, aby on był winnym; a gdy sam na sam ze sobą byłem, zdawało mi się, że brat mój prócz tego jest obłudnikiem, i obawiałem się, aby z ciałem i duszy swej nie stracił.

W wielki piątek wieczór miałem kazanie pasyjne. Byłem wymowny, bo byłem głęboko poruszony, prawie wszyscy słuchacze płakali, bo ja sam łzy wylewałem. Po godzinnem wypoczynku poszedłem do konfesyonału. Już późno w noc wyszedłem z konfesyonału bardzo znużony i powracałem do zakrystyi. Wtem chwycił mnie jakiś człowiek, który klęczał za filarem, za komżę, i błagał mnie usilnie, bym jeszcze i jego spowiedzi wysłuchał. Powiedziałem mu, że jestem okropnie zmęczony; aby do jutra zaczekał, albo do innego spowiednika się udał. Odpowiedział, że będąc obcym, nie zna innego, że do mnie ma zaufanie, gdyż go mem kazaniem poruszyłem, że nie może do jutra wytrzymać, bo jest większym grzesznikiem jak wszyscy moi penitenci razem. Na taką mowę nie ociągałem się dłużej, i wróciłem do konfesyonału. Był to chrześcijanin i katolik, jakimi są opryszki w Kalabryi. Między innemi wyznał, że popełnił morderstwo. Ja podwoi-

łem mą uwagę. Mówił, że miał posadę przy banku w Dublinie, w którym sprzedają się losy do królewskiej loteryi w Londynie.

— Jeden taki los — ciągnął dalej — którego numer dobrze sobie spamiętałem, jednemu młodemu znajomemu wydałem. On go niedbale zwinąwszy, włożył do kamizelki. Kilka dni potem przyszła późno wieczór lista numerów wyciągniętych, z której poznałem, że ów numer, o którym mówiłem, wygrał 2000 funtów szterlingów, (przeszło 20.000 reńskich). Ponieważ lista dopiero nazajutrz mogła być ogłoszona, wyszedłem na odległą ulicę i wiedząc, gdzie ów młody pan bywa, czatowałem nań gdy będzie powracał; zamordowałem go i wyjąłem mu bilet i kazałem go zanieść natychmiast do banku po wydanie wygranej pod pozorem, że wygrana należy do osoby, która nie chce być znaną.

Wypytawszy go o bliższe szczegóły czasu, godziny i miejsca zbrodni, dowiedziałem się że zamordowanym był nie kto inny jak nieprzyjaciel i rywal mego brata. Co mi się działo, niech każdy sobie wyobrazi! Pierwszem uczuciem mojem było serdeczne podziękowanie Panu Bogu; ale gdy mi myśl o moim obowiązku kapłańskim przyszła, uczułem nagle okropność mego położenia, krzyknąłem głośno i straciłem przytomność.

Gdy znowu do siebie przyszedłem, już nie

byłem w konfesyonale, lecz leżałem na kolanach mego penitenta, który jedną ręką trzymał mnie za głowę, a drugą podawał mi jakieś krople orzeźwiające. Byliśmy zupełnie sam na sam w starym kościele, w którym całkowite panowały ciemności. Podniosłem me oczy do niego i wyjąkłem te słowa:

— Nieszczęsny człowiecze, wiesz ty, że mego brata o to morderstwo posądzają?

— Jakto? więc ksiądz jesteś bratem kapitana Fitz-Grahama?

— Tak jest, i synem jego staruszki matki, rozumiesz?

— O mój Boże, a ja się u księdza z tego mordu spowiadałem. Czy mnie ksiądz zdradzi? Czy mnie ksiądz doniesie do rządu? Spowiedź jest święta!

— Aż nadto dobrze wiem o tem. — Ależ ja nie mogę dozwolić, aby mój niewinny brat zginął na szafocie!

— Tem gorzej! Ja umrzeć nie chcę, osobliwie teraz, kiedym bogaty! Czekaj ksiądz! Tam w kaplicy jest grób Chrystusa. Proszę mi przysiądz na świętą Hostyę, że ksiądz mej spowiedzi nie wyjawi! Jeżli nie!...

— Już rok minął, jakem przysięgę moją jako kapłan przed Bogiem złożył. Tobie niemam obowiązku przysięgać i nie przysięgnę!

Konwulsyjnie położył prawą rękę na rękaw mej sukni, ale ja się uwolniłem i tak go ścisnąłem obiema rękami, że mógł uczuć, iż jestem silniejszy jak on. Wtenczas zaczął drżeć i płakać, ja go zaś ku drzwiom kościoła odsunąłem i rzekłem mu:

— Rozkazuję ci w imię Trójcy świętej, abyś na mnie jutro wieczór o tym samym czasie, na temsamem miejscu czekał; ja tymczasem pomyślę co mam czynić, abym obowiązek mój jako brata z obowiązkami kapłana mógł pogodzić. W każdym razie bez przeszkody będziesz mógł przyjść i wyjść ztąd.

Tej nocy spać nie mogłem, tylko rozmyślałem, co mam czynić. Były dwie drogi: albo zdradzić tajemnicę spowiedzi, albo dozwolić, aby mój niewinny brat umarł na szafocie. Nazajutrz napisałem do arcybiskupa, prosząc o radę i rozumie się, nie wymieniając osoby mordercy. Arcybiskup zaraz 10 kwietnia odpisał mi słowy św. Bernarda: „Jeżli kapłan w konfesyonale się dowie, że nań w tym a tym dniu, na tem a na tem miejscu czatują mordercy, to jednak musi w tym dniu na to miejsce się udać, jeżli miał zamiar albo zwyczaj tamtędy przechodzić“ — a potem dalej tak pisał: „Ta nauka jest nauką całego Kościoła. A dlaczego? Bo kapłan, skoro wyjdzie z konfesyonału, powinien o ile mu na to słabość

ludzka pozwala, wszystko aż do najmniejszego słówka zapomnieć. Tem mniej mu jest dozwolonem, używać wiadomości ze spowiedzi na szkodę tego, który mu zaufał, pod jakimkolwiek pozorem lub w jakimkolwiek razie". Arcybiskup poradził mi następnie, abym penitentowi przedstawił, że ma podwójny obowiązek: raz nie dozwolić, aby niewinny umarł, gdyż w ten sposób drugie morderstwo popełni; powtóre: jawnie wobec świadków albo na piśmie wyznać swą winę, aby w ten sposób mój brat ocalony został: ale że wszystko to ma penitent dobrowolnie i nieprzymuszenie uczynić. „Gdyby jednak człowiek ten się wzbraniał, wtenczas mój kochany synu, obowiązek twój będzie ciężki i bolesny, ale niewątpliwy; musisz modlić się i milczeć. Możesz ksiądz wobec matki powiedzieć, iż jesteś przekonany o niewinności brata, ale strzeż się ksiądz choćby jednem słówkiem lub gestem sprawić, aby się domyśliła, że ksiądz znasz właściwego sprawcę; bo powtarzam ci synu, pierwszym obowiązkiem spowiednika jest: milczeć. Największą zbrodnią kapłana byłoby temu obowiązkowi stać się niewiernym: „Niech milczy, choćby miał umrzeć". Miej odwagę i ufaj." Tak do mnie pisał mój arcypasterz ks. Hieronim z Dublina.

Czytałem ten list raz i drugi i powziąłem postanowienie zastosować się doń jak

do woli Bożej. Przyszedłszy do brata zawołałem:

— Mój bracie, mój biedny bracie! przebacz mi, że mogłem wątpić o prawdzie twych słów. Ty jesteś niewinny, ja wiem, słyszysz mój drogi bracie, ja wiem, żeś ty niewinny!

— Chwała Bogu! — odrzekł i zaczął płakać jak dziecko. Chwała Bogu! powtórzył, ale jakżeś się dowiedział o mej niewinności? Kiedy mnie wypuszczą?

Nie wiedziałem co mu odpowiedzieć i żałowałem, żem przez moje nieroztropne wyrazy wzbudził w nim nadzieję, którą później sam zniszczyć musiałem. Do domu nie śmiałem wracać, bojąc się, żeby mnie z matką ten sam kłopot nie spotkał, co z bratem. Największą część dnia przepędziłem w kościele, i chodziłem po ulicach, aż przyszedł czas mojego spotkania się z mordercą. Już więcej jak pół godziny czekałem sam przed konfesyonałem, i zacząłem się obawiać, że zbrodniarz się nie pokaże, gdym go ujrzał niepewnym krokiem zbliżającego się ku mnie. Oglądał się na wszystkie strony, obawiając się wpaść w pułapkę. Zawołałem go; stanął — ujrzałem jak skrył pod płaszcz broń, którą trzymał w ręku. Skoro się upewnił, że sam jestem, chciał uklęknąć przy konfesyonale, ale mu wzbroniłem mówiąc:

— Chodź pan do mego domu, tam dłużej i bez przeszkody będziem mogli pomówić. — Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Wolałbym przy konfesyonale — rzekł — konfesyonał ma więcej świętości.

— Kapłan jest wszędzie kapłanem; gdybym pana chciał był zdradzić, byłbyś pan już schwytany.

— Ale ksiądz masz brata ocalić.

— To prawda, ale mam także duszę, którą mogę stracić.

On na mnie ostro spojrzał — zdawało się, że się jeszcze waha, ale wziął mnie za ramię i wyszliśmy z kościoła. Na ulicy ani słówka nie mówiliśmy ze sobą. Przyszedłszy do domu, usiedliśmy przy kominku naprzeciwko siebie. Zacząłem mówić o moim bracie i jak to jest rzecz straszna widzieć, jak niewinny umiera na szafocie. On mi odpowiedział, że to istotnie rzecz bardzo smutna, ale że inaczej być nie może, gdyż on sam w żaden sposób umierać nie chce. Przedstawiłem mu w jaskrawych kolorach zgryzotę i boleść naszej staruszki matki — on pozostał nieczułym; człowiek ten miał tylko dwa popędy: łakomstwo i zachowanie siebie przy życiu. Mówiłem mu o piekle i strasznym rachunku, jaki kiedyś będzie musiał oddać; był wzruszony, płakał, szlochał i dawał mi sto, dwieście, trzysta

funtów szterlingów, abym mu udzielił rozgrzeszenia!

Nawet nie starałem się go namówić, aby się sam oddał w ręce sprawiedliwości, lecz oświadczyłem mu, że jest środek ocalenia mego brata bez narażenia się na utratę osobistego jego bezpieczeństwa. Mówiłem mu, żeby się udał za granicę i zostawił oświadczenie pisemne przez dwu świadków stwierdzone, że on jest sprawcą tej zbrodni i aby podał takie szczegóły, ktoreby sędziów przekonać mogły. Nic! Człowiek ten niczemu i nikomu nie dowierzał. Bał się by go świadkowie nie zdradzili, nim on za granicę wyjedzie. Zresztą nie miał wcale ochoty wyjeżdżać z kraju, kiedy został bogatym. Była chwila, w której zapomniałem na święty charakter kapłański. Znużony daremnemi usiłowaniami, ośmieliłem się powiedzieć mu, że ja mógłbym go sam wydać w ręce władzy, gdyby się nie zgodził na uwolnienie brata. Wtem on wyjął sztylet — alem mu go wyrwał jak dziecku i wyrzuciłem go przez okno na ulicę; ale potem zawstydzony, żem takiego środka użył, rzuciłem się do nóg tego człowieka, oblałem je łzami i błagałem go o przebaczenie. Nic — zgoła nic! Człowiek ten nie miał serca; był on jakby dzikie zwierzę, tylko bez jego odwagi i siły!

Gdy dzień nastał, wyprowadziłem go znów

na ulicę. Potem w odzieży rzuciłem się na łóżko; byłem zupełnie wyniszczony, bo już dwie doby nie spałem. Zasnąłem snem twardym. Gdym się obudził, stała matka blada i ciężko oddychając przed mojem łóżkiem. Domyślałem się, żem we śnie mówił i drżałem na myśl, że tajemnicę zdradziłem. Ale Bogu dzięki tak nie było. Mówiłem tylko we śnie, że wiem o niewinności mego brata, rozmawiałem też z prawdziwym mordercą jego rywala, ale nie mówiłem nic, z jakiego źródła zaczerpnąłem tę pewność, kto jest winowajcą, gdzie i w jaki sposób go poznałem. Matka zadawała mi więc pytania, na które nie mogłem i nie powinienem był odpowiadać. Zgniewana mojem milczeniem, to czyniła mi gorzkie wyrzuty, to targała sobie włosy na głowie, to znów padała na ziemię i błagała mnie ze łzami, bym jej oddał ukochanego syna.

Na szczęście wszedł arcybiskup, a matka zostawiła nas samych. Opowiedziałem mu wszystko, co od owego wieczora zaszło; słuchał mnie ze łzami w oczach, i dodał mi otuchy i pociechy obfitej mówiąc:

— Bez wątpienia ma Bóg wielkie z tobą zamiary, mój drogi synu, kiedy ci w młodym wieku zsyła próbę, która może w historyi niema równej sobie.

Gdy potem moją rękę trzymał w swojej, nagle zawołał:

— Bogu dzięki mój synu, masz gorączkę! Bóg, który umie ocenić wielkość twej ofiary, zsyła na cię tę chorobę ciała, by ci na niejaki czas oszczędzić katuszy serca! Od tej chwili nie jesteś odpowiedzialny za słowa które ci się w gorączce wyrwać mogą, ale żeś mnie swą tajemnicę powierzył, a sam nad sobą czuwać nie możesz, to biskup twój weźmie to staranie na siebie! I rzeczywiście przez ośm dni, w których miałem gorączkę silną i majaczyłem, biskup ani we dnie ani w nocy nie odstępował od mego łoża i nikomu, nawet matce mej nie pozwalał do mnie wchodzić. Gdy znowu odzyskałem przytomność, tak byłem osłabiony, że nawet sił do cierpienia nie miałem. Nareszcie przyszedł nieszczęsny dzień stracenia! Brat mój został powieszony, tak jest, powieszony! Odebrano mu szlachectwo, okuto w kajdany i powieszono! Kat przed straceniem w jego oczach złamał jego miecz i podarł nasz herb!

Ja zaś wraz z biskupem cały dzień klęcząc, modliłem się za konających. Nieraz krzyk tłumów i bicie w bębny przerywały nasze modlitwy, bo do tego stracenia wiele wojska sprowadzono. Chrześcijańskie poddanie się brata i nieraz powtarzane zapewnienia, że umiera niewinnie, licznych mu zjednały przyjaciół i obawiano się powstania, do którego wtenczas w Irlandyi najmniejszy pozór

byłby wystarczył. Matka nie długo cierpiała. Za ośm dni połączyła się z synem swym ukochanym. W chwili, gdy dusza jej ten świat opuścić miała, nachylił się arcybiskup nad jej łożem. Nie wiem, co do niej mówił, ale radość zabłysła w jej oczach, gdy je ku niebu podniosła, będąc odtąd przekonaną, że tam w niebie syna swego spotka. Potem zawołała mnie, którego od owego wypadku widzieć nie chciała; objęła mnie swemi wychudłemi rękami, pieszczotami mnie wśród łez obfitych obsypała, nazywała mnie swoim świętym, błogosławionym, męczennikiem, a gdy ją ks. arcybiskup pobłogosławił, chciała, abym i ja jej mego błogosławieństwa udzielił.

Bóg mi użyczył łaski, żem dożył tego szczęścia, iż niewinność mego brata wyszła na jaw. Zbrodniarz publicznie wyznał swą zbrodnię. Brata mego przywrócono acz po śmierci do szlachectwa i do dawnej godności. Gdyby ta historya nie była już od wielu lat powszechnie znana, czyż ja jako spowiednik mógłbym ją był wam dziś opowiedzieć?

(Freib. Kirchbl. 1879, 15, 16).

Ojciec Marielux.

Gdy potęga hiszpańska złamaną została w bitwie pod Ayacucko, nie chciał O. Marielux z zakonu Lellianów opuścić bryga-

dyera Ramona Rodila, który oblężony był w twierdzy.

We wrześniu 1825 r. po dziewięciomiesięcznem oblężeniu ogarnęła oblężonych dla braku żywności i z powodu szkorbutu małoduszność, a duch sprzysiężenia zaczął pracować.

Dnia 23 września dowiedział się brygadyer Rodil, że o godzinie 9 wieczór rzeczywista rewolucya pod dowództwem komendanta Montareo, jednego z najbardziej wpływowych oficerów Rodila wybuchnie. Rodil, nie tracąc ani minuty, kazał ich uwięzić. Chociaż się wszelkiemi sposobami starał groźbami i gwałtem zmusić ich do przyznania się, nie udało mu się pomimo to nic się dowiedzieć, ponieważ uparcie istnieniu zamiaru rewolucyi przeczyli. Więc brygadyer, aby sobie głowy nie łamać, zawyrokował wszystkich winnych i niewinnych o 9-tej godzinie rozstrzelać, gdyż o tej godzinie, jak mu doniesiono, on sam albo miał być schwytany albo rozstrzelany.

— Księże kapelanie — rzekł Rodil do księdza Marielux; teraz 6 godzina; niech Ojciec tych powstańców przez te trzy godziny wysłucha spowiedzi.

Potem wyszedł z więzienia. O 9-tej godzinie trzynastu skazanych stało już przed tronem Sędziego wiecznego. Jednak pomimo

tej surowej kary nie uważał się Rodil za bezpiecznego.

— Kto wie, czy może jeszcze innych winowajców nie zostawiłem przy życiu, a ci może winniejsi są, jak ci co są rozstrzelani? Nie, nie, ja nie mogę być spokojny. Spowiednik musi o wszystkiem doskonale wiedzieć. Niech tu przyjdzie kapelan! — zawołał Rodil.

Skoro spowiednik przyszedł, zamknął się Rodil z nim sam na sam i rzekł doń:

— Ojcze, bez wątpienia ci zbrodniarze wyznali na spowiedzi wszystkie swe plany, na których swe nadzieje budowali. Ja to wszystko muszę wiedzieć, i dla tego wzywam Waszą Wielebność w imieniu króla, abyś mi wszystko powiedział, nie pomijając żadnego nazwiska ani żadnej okoliczności.

— Mój jenerale — odrzekł O. Mariclux, żądasz pan odemnie rzeczy niemożliwej; gdyż ja zbawienia mej duszy nie poświęcę, objawiając sekret spowiedzi mych penitentów, choćby mi sam król osobiście rozkazał. Niech mnie Bóg od tej zbrodni zachowa!

Oblicze brygadyera krwią nabiegło, rzucił się na kapłana i trzęsąc go za ramię, rzekł groźnie:

— Mnichu! albo mi wszystko powiedz, albo cię zastrzelę.

O. Mariclux zaś odrzekł z wesołością iście chrześcijańską:

— Jeźli Bóg żąda mego męczeństwa, niech się dzieje wola Jego święta; bo sługa ołtarza nie powinien o tem mówić, co słyszał na spowiedzi.

— Mnichu! zdrajco króla, twej chorągwi, twego przełożonego, więc nie chcesz mówić? odparł Rodil. A kapłan na to:

— Jam wierny memu królowi i mej chorągwi tak jak każdy inny; ale nikt nie może odemnie się domagać, abym się stał zdrajcą mego Boga; mam zakaz pana słuchać w tej mierze!

Rodil natychmiast otworzył drzwi i zawołał na głos:

— Kapitan Sturvalde, niech tu czterech strzelców przyjdzie z nabitemi karabinami!

I natychmiast zjawiło się czterech strzelców. Przynieśli trumnę, których wiele było w owym gmachu i postawili na podłodze przed księdzem.

— Na kolana mnichu! — ryknął Rodil, jak dzikie zwierzę. Kapłan ukląkł przed trumną.

— Cel! — zakomenderował Rodil, potem tonem rozkazującym zawołał:

— Ostatni raz wzywam cię w imieniu króla, abyś wszystko wyznał.

Zakonnik odrzekł słabym ale spokojnym głosem:

— W imieniu Boga wzbraniam się wyznać!

— Pal! — krzyknął Rodil, a O. Marielux, ów sławny męczennik religii i obowiązku, padł na ziemię dwiema kulami przeszyty. (Salzb. Kirchbl. 1886. 42).

Ksiądz Kobyłowicz.

Już przeszło 20 lat minęło, jak ksiądz Kobyłowicz, proboszcz w Oratowie, gubernii Kijowskiej, kapłan nienaganny i powszechnie szanowany, który się wiele przyczynił do moralnego podniesienia swej parafii i dzielnym był kaznodzieją, od biskupa żytomierskiego Borowskiego ekskomuniką został obłożony. Księdza Kobyłowicza oskarżono o zabójstwo ekonoma w Saratowie; wszystkie dowody pozornie przeciw niemu świadczyły, gdyż między innemi znaleziono strzelbę jego w kościele saratowskim za ołtarzem schowaną, z której dopieroco strzelano.

Sąd uznał ks. Kobyłowicza winnym i skazał go na dożywotnie ciężkie roboty w Syberyi. Kapłan zaprzeczył wprawdzie, jakoby zabójstwo popełnił, ale na niektóre sędziego pytania wzbraniał się odpowiedzieć i dlatego wysłany został na wygnanie, gdzie 20 lat przepędził. Wreszcie po latach dwudziestu prawda wyszła na jaw. Organista z Oratowa, gdzie ks. Kobyłowicz dawniej był proboszczem, umarł niedawno i wyznał na łożu

śmiertelnem wobec urzędników i starszych gminy, że on przed 20 laty zabił ekonoma a to w tym celu, aby mógł żonę zamordowanego poślubić. Aby zaś podejrzenia na siebie nie zwrócić, umyślnie dubeltówkę księdza proboszcza za ołtarz schował i policyę tam sprowadził.

Umierający zbrodniarz wyznał także, że skoro niewinnego księdza wtrącono do więzienia, on wyrzutami sumienia dręczony, poszedł do niego do więzienia i wyspowiadał mu się z tej zbrodni. Później jednak nie miałem — rzekł — odwagi, wyznać tosamo przed sądem.

Proboszcz więc zniósł niezasłużoną karę, choć znał prawdziwego złoczyńcę i jednem słówkiem mógł się uwolnić. Nie chciał jednak złamać sekretu spowiedzi i wobec biskupa tylko tyle powtórzył: Jestem niewinny.

W ten sposób stał się ów zacny kapłan ofiarą nikczemnego obłudnika i własnego obowiązku.

Skoro konający organista swe wyznanie złożył, natychmiast urząd wydał dekret uwalniający księdza Kobyłowicza; ten jednak niedługo przedtem uległ w kopalniach natężonej pracy — umarł i tajemnicę spowiedzi poniósł z sobą do grobu. (Köln. Volks. 1883).

Inne przykłady.

Jak ścisły jest sekret spowiedzi, wie każdy i niejeden musiał już pomyśleć: To mi się zdaje zanadto, żeby w żadnym a żadnym wypadku nie było wolno powiedzieć tego, co się na spowiedzi słyszało. Tak myślał i Henryk IV, król francuzki. Dlatego też spowiednika swego Cotton'a, kapłana Tow. Jez. zarzucał pytaniami.

— Ojcze — rzekł — cobyś uczynił, gdyby ktoś ci się spowiadał, że wraz z innymi uczynił spisek na moje życie?

— Odradzałbym mu — odrzekł Ojciec — na wszelki sposób.

— A cóż — zapytał król — gdyby on tej rady nie chciał usłuchać?

— Natenczas — odparł Cotton — byłbym przy tobie królu i ilebym mógł, broniłbym cię.

— Toby mi niewiele pomogło — rzekł król — gdyby spiskowcy z gołemi mieczami już na mnie się rzucali!

— Wtenczas — odpowiedział kapłan, zapalony najwierniejszą miłością — rzuciłbym się między ciebie i morderców, aby mnie pierwej zabili, nimby się do Waszej królewskiej Mości dostali — ale sekretu spowiedzi nigdybym nie złamał.

Ta odpowiedź tak się królowi podobała, że ze łzami w oczach serdecznie spowiednika

swego uściskał. Po małej chwilce milczenia zapytał król dalej:

— Jak to, czyż Kościół nie mógłby wydać prawa, któreby pozwalało spowiednikowi naruszyć sekret spowiedzi, gdyby mu ktoś wyznał zamiar zamordowania króla?

Cotton zrobił tę uwagę:

— Gdyby w takim razie wolno było naruszyć sekret spowiedzi, wtenczas życie monarchy w jeszcze większem zostawałoby niebezpieczeństwie, bo taki spiskowiec wie, że taką zbrodnię życiemby musiał przypłacić, więcby spowiednikowi swego zamiaru nie wyjawił i nie żałowałby zań. Zresztą gdyby wolno było objawić zbrodnię obrazy majestatu ludzkiego, to trzebaby jeszcze więcej nalegać na wykrycie zbrodni, które Boski majestat obrażają. Królowie zatem żądaliby dla siebie tego, co Bóg względem samego siebie czynić zakazuje.

Król zgodził się zupełnie z wywodami O. Cotton'a i pożegnał spowiednika swego, mówiąc:

— Dobrześ mi dał, Ojcze! Bardzo dobrze powiedziałeś, najlepszy Ojcze!

* * *

Ojciec Jan Ogilbeus, szlachcic szkocki, również Tow. Jezusowego kapłan, dla swej wiary katolickiej na śmierć skazany i r. 1615 w Glasgowie w Szkocyi powieszony został.

Gdy nań podczas rozprawy sądowej kacerski arcybiskup krzyknął:

— Gdybym ze spowiedzi wiedział, że ktoś chce królowi życie odebrać, natychmiast bym o tem doniósł.

Ojciec Ogilbeus śmiało odpowiedział:

— Dlatego też nikt się przed tobą spowiadać nie powinien.

Zgrzytając zębami i blednąc od złości i nienawiści, rozkazał protestancki arcybiskup natychmiast Ojca Ogilbeusa powiesić. Jakoż natychmiast go powieszono na dowód najwspanialszy, że sekret spowiedzi katolickiej jest nienaruszony.

* * *

W roku 1813 szczególniejsza sprawa toczyła się w Nowym Yorku wobec protestanckiego sądu o sekrecie spowiedzi katolickiej.

Za pośrednictwem katolickiego proboszcza Kohlmana, otrzymał właściciel skradzione przedmioty. Urząd sądowy wziął tę rzecz na siebie i zawezwał proboszcza, aby się stawił i winowajcę wyjawił. Ksiądz Kohlman oświadczył w swej rozprawie, w której pobożność, prawość i stałość się przebijała, że gdyby jako obywatel dowiedział się o rzeczach, któreby mogły szkodzić dobru ogólnemu, toby z pewnością doniósł o tem do urzędu; ale jako stróż tajemnic sumienia ze

spowiedzi nie może i nie powinien nic powiedzieć.

— Takie bowiem wyjawienie — mówił, podałoby mój urząd w nienawiść, a mnie samego naraziłoby na kary duchowne, jakie prawo kanoniczne nakłada; ale najbardziej czekałaby mnie wieczna kara za to, żem się stał zdrajcą mego obowiązku.

W kraju protestanckim było to nowem, dotąd niebywałem zjawiskiem, które silnie pobudzało ciekawość i powszechną na się zwracało uwagę. Prokurator państwowy twierdził, że proboszcz obowiązany jest wszystko wyjawić, gdyż publiczne bezpieczeństwo wkłada nań ten obowiązek. Ale pan Simpson, najdzielniejszy adwokat w Nowym Yorku i protestant bronił katolickiego proboszcza w mowie, która może posłużyć za wzór bystrości umysłu i wymowy.

Jakoż dnia 1813 roku orzekł sąd protestancki jak następuje:

— Rzymsko-katolicki Kościół istniał od powstania chrześcijaństwa; był czas, że obejmował całe chrześcijaństwo a i teraz większą jego część obejmuje. Jeżlibyśmy chcieli sumienie kapłana tego Kościoła niepokoić, który zażywa zaufania swych penitentów, znaczyłoby to: wszystkich katolików pozbawić Sakramentów.

Wskutek tego sąd przysięgłych jednogłośnie zawyrokował:

— Proboszcz nie jest obowiązany odpowiadać.

(Freib. kath. Kirchbl. 1879 31).

Wierny aż do śmierci.

W roku 1757 sprawował O. Faulhaber T. J. w twierdzy Kłocku na Szląsku urząd kaznodziei zamkowego i katechety. W pierwszych dniach września zemknęło dwu żołnierzy, Józef Nentwig i Jan Veit z regimentu de la Motte Fouqué. Ale zostali schwytani, do końskich ogonów przywiązani i do twierdzy napowrót sprowadzeni.

Podczas śledztwa jeden z nich sądził, że łatwiej ujdzie kary, jeżli winę całą złoży na kapelana, myśląc, że księdzu przecież nic złego się nie stanie. Powiedział tedy, że się pytał księdza na spowiedzi, czy mu wolno „deserterować“, a ksiądz miał mu odpowiedzieć, że to nic nie znaczy. Po tem zeznaniu dnia 5 września 1757 roku natychmiast schwytano O. Faulhabera i na rozkaz pruskiego jenerała Fouqué wtrącono do więzienia. Następnie przesłuchiwano go często i pytano o to, co słyszał na spowiedzi. Ojciec Faulhaber naturalnie oświadczył, że podług przepisów naszej świętej religii ani słowa o tem mówić mu nie wolno, i że sekret spowiedzi pod każdym względem musi

być zachowany i że dla tego żadnej nie będzie dawał odpowiedzi.

Żołnierz poznał teraz, że kapłana w straszne wtrącił niebezpieczeństwo i odwołał swe kłamstwo, jak gdyby mu ksiądz pozwolił zemknąć z wojska. Oto jego własne słowa:

— Wyznaję wobec panów, że Ojciec Andrzej Faulhaber nie tak powiedział.

Słowa te powtórzył pięć razy i dobrowolnie chciał złożyć przysięgę, że pierwsze jego zeznanie było fałszywe, a drugie prawdziwe. To jednak nie poszło w smak niektórym protestanckim assesorom. Oni by koniecznie byli chcieli, żeby katolicki ksiądz był winien. Dlatego strasznie się pogniewali na to zeznanie i nie chcieli go wciągnąć do protokółu.

Więc burmistrz Kłocki, nazwiskiem Josephie zrobił z żołnierzem protokół, przeczytał go żołnierzowi i księdzu, a żołnierz odpowiedział na uroczyste zapytanie burmistrza, czy może na to przysiądz, równie uroczyście:

— Tak jest, mogę!

Zatem burmistrz uznał kapelana niewinnym.

Ale taki przebieg sprawy nie podobał się jenerałowi. Kazał na nowo rozpocząć proces i pruskiego poborcę postanowił prezesem sądu w sprawie kapelana. Więc proces wziął zły obrót. Po dziewięciu dniach (co

w tych dniach z żołnierzem robiono, nie wiadomo) powtórzył żołnierz pierwsze swe zeznanie przeciw kapelanowi i oświadczył, że drugie zeznanie jego było fałszywe.

Kapelan zaś przy każdem przesłuchaniu oświadczał, że podług przepisów religii nie może nic mówić o tem, co się słyszy na spowiedzi.

Chciano mu koniecznie dać adwokata; ale on go nie chciał przyjąć.

— Ufam — rzekł — w słuszność mej sprawy, i nie potrzebuję innego adwokata; dość mi na tem, że oskarżyciel mój uznał mnie niewinnym i na to chciał przysiądz.

Dnia 31 października przeniesiono księdza Faulhabera z czeskiej baszty do twierdzy, gdzie znalazł dla swej rozrywki liczne towarzystwo złodziei i zabójców. O. Faulhaber nietylko nie skarżył się na to, ale owszem znalazł upragnioną sposobność, spełnić obowiązek powołania swego przez niejedno dzieło miłosierdzia względem współwięźniów. Dzielił między nich posiłek, który mu brat jego codzień posyłał i starał się los ich, o sobie zapominając, pociechą, pouczeniem i pomocą osłodzić. Modlił się i śpiewał z nimi wspólnie pobożne pieśni i wkrótkim czasie zamieniło się więzienie, które przed jego przybyciem piekłem być się zdało, w istny dom Boży. Ta zmiana sprawiała mu radość, która przewyższała wszystkie

cierpienia i przykrości więzienia i była powodem, że i ustnie i pisemnie nieraz brata swego prosił, aby żadnych zabiegów w celu uwolnienia go nie czynił.

Niemniej wobec komendanta, oberstlejtnanta d'O... szczęśliwym się mianował. Gdy go zatem tenże zapytał, czy ma jakie życzenie, on odrzekł:

— Nie mam żadnego.

Lecz po kilku chwilach dodał:

— Mam jedno; proszę o łaskę, abym jednego z mych współwięźniów, który mi się zda być zatwardziałego serca, mógł uczyć katechizmu.

Dnia 29 grudnia nadeszła sztafeta z Reichenbach do Kłocka.

Treść królewskiego pisma trzymano wprawdzie w jak największej tajemnicy, a jednak głucha wieść po mieście gruchnęła, że nazajutrz mają wieszać jakiegoś szpiega.

Nazajutrz 30 grudnia wywołano Ojca Faulhabera z więzienia pod pozorem, żeby skazańcowi towarzyszył na miejsce stracenia. Gotowy jak zawsze, gdy szło o spełnienie obowiązku powołania, szedł za strażą aż do bramy twierdzy. Gdy tam przybył, obstąpiła go kompania wojska. O. Faulhaber zaczął się oglądać i szukać oczyma zbrodniarza na śmierć skazanego, którego miał dysponować. Powiedziano mu, że on sam jest

skazany na śmierć. Sztafeta wczorajsza przywiozła bowiem najwyższy rozkaz królewski której początek był taki:

— Mój pułkowniku! Masz pan kazać powiesić Ojca Jezuitę Faulhabera, nie pozwalając mu się spowiadać.

Na rozkaz, aby duchowną suknię zdjął, odrzekł Ojciec Faulhaber:

— Król mi jej nie dał, nie może mi jej też przeto odebrać.

Ale jakiś podoficer katolik błagał kapłana ze łzami, aby go nie czynił nieszczęśliwym. Więc O. Faulhaber zdjął suknię i odział się w płaszcz. Mając w ręku mosiężny krzyż, szedł na miejsce stracenia, przygotował się po drodze sam na śmierć i modlił się głosem tak dźwięcznym i silnym, że brat jego Augustyn, mieszkający po za murami miasta, otworzywszy okno, dokładnie usłyszał słowa modlitwy:

— Błogosławiony dzień! błogosławiona godzina! Raduj się serce me, ty jesteś świątynią Ducha świętego!

Gdy orszak przechodził koło kościoła OO. Franciszkanów, ktoś wszedł do kościoła i zawołał:

— Ojca Andrzeja na szubienicę prowadzą!

I natychmiast wszyscy przerażeni i zdziwieni wypadli z kościoła i przyłączyli się

do orszaku. Gdy przyszli do słupa, na którym już od 8 miesięcy wisiał szpieg, przeczytano mu wyrok śmierci. Ksiądz Faulhaber zbliżył się do drabiny i ukląkłszy na szczeblach, prosił obecnych, aby z nim „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Maryo“ zmówili. Ze łzami w oczach uczynili zadość jego prośbie. Potem wzywając Najświętszego Imienia Jezus został powieszony dnia 30 grudnia 1757 roku.

Ciało zmarłego wisiało na tej szubienicy obok drogi krajowej dwa całe lata i siedm miesięcy! Dopiero gdy wojsko austryackie 26 lipca 1760 zajęło twierdzę i miasto, otrzymał O. Leirner T. J. kaznodzieja polowy w molkskim regimencie, rozkaz, aby się postarał o zdjęcie ciała z szubienicy. Stało się to jeszcze w tymsamym dniu. Zwłoki, które dobrze można było rozpoznać, na wszystkich członkach były nienaruszone. Zdjęto je z czcią i przeniesiono do klasztoru jezuickiego, odziano w suknie kapłańskie, następnie włożono w trumnę, którą sprawił brat jego Augustyn i wystawiono w kościele.

Trzeci dzień t. j. 28 lipca przeznaczono na uroczysty pogrzeb w grobach pod kościołem parafialnym. Duchowieństwo miejskie, zakonne, okoliczne i tysiące z ludu spieszyły, by oddać cześć mężowi, który według słów protestanckiego pisarza r. 1809, w oczach ludu, a nawet w oczach niewiernych „filo-

zofów“ uchodził za męczennika powołania swego.

Co na to powie Frydryk „Wielki“ na ostatecznym sądzie?

(Eichsf. Volksb. 1886 12. 13).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki T. J.

L. 313.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.)
† *A. Kard. Dunajewski,*
Książę-Biskup.

Kraków 21 Stycznia 1893.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

IV. Pokuta.

(Dokończenie).

O odpuście.

„Czemu nam tego nie powiedziano?“

Przed kilku laty udzielałem pewnej protestanckiej pani nauki katolickiej. Skorom jej wyłożył artykuły wiary i naukę o Sakramencie pokuty, przyszła mowa i na „odpust“. Zapytałem nasamprzód:

— Co sobie pani przedstawia pod słowem „odpust“? Proszę mi otwarcie powiedzieć, co pani dotychczas o tem słyszała? Ja pani natychmiast potem wyłożę naukę katolicką o odpuście. Więc np. jeźli pani czyta, że za taką lub taką modlitwę udziela Ojciec święty *sto dni* odpustu, co to znaczy?

Pani z całą otwartością odrzekła:

— To znaczy, że się odpuszczają grzechy na sto następujących dni, że zatem

przez sto dni można grzeszyć, byle taką modlitwę odmówić.

Byłbym się serdecznie śmiał z takiego wyobrażenia o odpuście, gdyby ono nie było tak zasmucającem. Jednak nie okazałem najmniejszego zdziwienia, tylko odpowiedziałem:

— Odpowiedź pani nie dziwi mnie wcale; wszakże pani nie słyszałaś nigdy prawdziwej nauki o tym przedmiocie.

Wyłożyłem jej następnie naukę katolicką o odpuście.

— Odpust, — mówiłem — nie jest odpuszczeniem grzechów, bo na to jest Sakrament pokuty, w którym Bóg przez kapłana odpuszcza człowiekowi winę grzechową i karę wieczną; ale jest albo całkowitem albo częściowem darowaniem kary doczesnej, należnej grzechowi. Jeżli to darowanie jest całkowite, wtedy odpust zowie się zupełny; jeżli częściowe, zowie się niezupełny.

Pani zapytała:

— Nie rozumiem, co znaczy wina grzechowa i kara doczesna, proszę mi to wyjaśnić.

— Właśnie chciałem to pani wyłożyć. Najlepiej będzie wziąść przykład: Dajmy na to, że ktoś dopuścił się wielkiego grzechu. W tej chwili popełnia winę, czyli staje się winnym wobec Boga, t. j. traci łaskę i względy Boże; ponieważ zaś ten grzech był ciężki, więc nietylko traci człowiek łaskę i miłość

Boga, ale zasługuje także na karę wieczną, bo grzech ciężki jest złem nieskończonem. Ale Bóg niechcący śmierci grzesznika, podaje mu łatwy sposób zgładzenia winy i kary wiecznej t. j. Sakrament pokuty; ponieważ jednak Bóg jest nietylko miłosierny, ale i sprawiedliwy, domaga się od grzesznika zadość uczynienia czyli pokuty doczesnej, podobnie jak ojciec, gdy syn go przeprasza, napowrót go do miłości swej przyjmuje i nie wydziedzicza go, ale jednak go ukarze po ojcowsku.

Gdyby jednak żal tak był serdeczny w grzeszniku i miłość ku Bogu bardzo wielka, wtenczas Bóg nawet karę doczesną darować gotów grzesznikowi nawróconemu. Toby był odpust zupełny. Bóg wtenczas odpuszcza tę karę przez wzgląd na mękę i śmierć Syna swego i zasługi Najśw. Panny, która wiele cierpiała a nigdy nie zgrzeszyła i tylu świętych męczenników i wyznawców, które to zasługi są skarbem Kościoła. Kościół św. więc udzielając odpustu zupełnego, mówi niejako: Jeżli ze skruchą i żalem się wyspowiadasz, Komunię św. przyjmiesz i te a te warunki należycie spełnisz, to przez zasługi męki i śmierci Jezusa, przez zasługi Najśw. Panny i św. Pańskich daruję ci wszystkie kary doczesne, na które zasłużyłeś. I rzeczywiście, gdyby człowiek wszystkie te warunki należycie wypełnił, a

w tejże chwili umarł, poszedłby bez czyśca do nieba.

Odpust zaś częściowy, np. 100 dni za taką lub taką modlitewkę, lub taki a taki dobry uczynek, nie znaczy, że się pozwala grzeszyć przez 100 dni, lecz że Kościół uważając na słabość naszą, odpuszcza za taką modlitwę tyle kary doczesnej, jaka by odpowiadała pokucie, przez 100 dni należycie odprawionej podług dawnych praw pokutnych w Kościele używanych. Bo trza pani wiedzieć, że w pierwszych wiekach chrześcijaństwa Kościół za pewne grzechy, pewne naznaczał pokuty, które czasem bardzo długo trwały, a od których Kościół przez wzgląd na gorliwość pokutnika lub na wstawienie się męczenników, siedzących dla wiary w więzieniach, nieraz grzesznika uwalniał.

— Ach tak! Teraz rozumiem — odpowiedziała pani głosem, w którym się przebijało wewnętrzne oburzenie — ale czemu nam tego nie powiedziano?

— Na to łatwa odpowiedź. Gdyby bowiem Kościół katolicki we właściwem świetle był wystawiony, tysiące protestantów uczciwych powróciłoby na łono Kościoła.

(Erb. St. 1890. 144).

V. Kapłaństwo.

Jest to Sakrament, który udziela władzy spełniania należycie czynności stanu kapłańskiego. Czynności zaś te są: Odprawianie Mszy św., opowiadanie słowa Bożego i udzielanie ŚŚ. Sakramentów. Z tych słów poznajemy godność, pożyteczność i ważność stanu kapłańskiego. Kapłan katolicki ofiaruje Bogu najdoskonalszą ofiarę uwielbienia, miłości i dziękczynienia, ofiarę zadośćczyniącą i błagalną, gdy odprawia Mszę świętą. Kapłan w imieniu Chrystusa i w Jego zastępstwie oświeca świat cały nauką ważniejszą jak wszystkie ziemskie nauki, bo uczy znać Boga, istotę najwyższą, najpiękniejszą i najpotężniejszą, a przytem wskazuje drogę do wiecznego i prawdziwego szczęścia; kapłan przez Chrzest święty uwalnia człowieka od grzechu pierworodnego a temsamem udziela mu łaski poświęcającej, przez którą człowiek staje się dzieckiem Bożem i ma prawo do nieba; kapłan przez bierzmowanie pomnaża tę łaskę i czyni Chrześcijanina rycerzem Chrystusa; kapłan odpuszcza grzechy, posila człowieka Ciałem i Krwią Chrystusa, on błogosławi małżeństwa, on spieszy do chorego i w ostatniej walce posila go i wzmacnia na drogę wieczności; kapłan do najdzikszych narodów idzie, narażając się na najokropniejsze prześladowanie, przygody, na śmierć samą. Coby było bez kapłanów katolickich, z tego można poznać. Nie mielibyśmy ani wiary, ani nie

znalibyśmy drogi do nieba, ani środków do jego osiągnienia. Znane są dzieła kapłanów z żywotów świętych kapłanów i biskupów; tu tylko niektóre nieznane przykłady przytoczymy, gdyż wciągu tego dzieła nieraz nam przychodziło mówić o ich działaniu.

Alegorya.

Jezus Chrystus, Zbawiciel świata, nim wstąpił do nieba, ustanowił na swe miejsce kapłanów swego Kościoła, aby zaprowadzić ludzi zdrowo i cało wśród cierni i niebezpieczeństw życia aż do celu szczęśliwego t. j. zbawienia. Aby uwydatnić tę prawdę pełną pociechy, pobożny jeden pisarz użył następującej przypowieści, którą tu umieszczamy.

Pewien podróżny przybył pod noc do wielkiego lasu, który mu był zupełnie nieznany, a który musiałby przejść wśród ciemności. Na szczęście spostrzegł czcigodnego starca, który się zbliżył doń pełen uprzejmości na poważnem obliczu. Podróżny zapytał go o drogę.

— Niestety — rzekł mu starzec — nie łatwo ci ją wskazać; ten las jest poprzecinany ścieżkami, które się krzyżują i podobne są jedna do drugiej, a wszystkie, wyjąwszy jednej, prowadzą do przepaści.

— Do jakiej przepaści? zapytał podróżny.

— Do strasznej przepaści, która las otacza. To jeszcze nie wszystko — mówił dalej starzec: las ten nie jest bezpieczny; pełno w nim zbójców i drapieżnych zwierząt; Straszliwy i szkodliwy smok okropne czyni spustoszenia, codzień napada na nieszczęśliwych podróżnych, którzy stają się jego pastwą. Tknięty litością, zamieszkałem u wejścia tej niebezpiecznej drogi, aby pouczać i ochraniać podróżnych. W pewnych odstępach mieszkają moi synowie w tym samym celu: ofiaruję ci moje i synów moich usługi.

Podróżny przyjął usługi z wdzięcznością. Natychmiast wziął starzec lampę, wstawił ją w mocną latarnię, następnie trzymając w jednej ręce latarnię, drugą uchwycił podróżnego za rękę i tak obaj udają się w drogę pewnym krokiem. Po niejakim czasie uczuł podróżny, że go siły opuszczają.

— Oprzyj się o mnie — rzekł mu starzec.

Wkrótce potem spostrzegł, że oleju zaczyna brakować w lampie.

— Bądź spokojny — rzekł starzec — pójdziemy do jednego z mych synów, który nam doda oleju do lampy.

I rzeczywiście, w niejakiem oddaleniu ujrzeli światło w murowanej chatce, stojącej przy drodze. Podróżny wstąpił do niej — odpoczął i posilił się pożywieniem, które mu gościnnie ofiarowano.

Po dostatecznym wypoczynku, wyruszył dalej w drogę z synem owego starca. W pewnych odstępach ujrzał nowe chatki, nowe starania, nowych przewodników; a skoro pierwsze promyki zorzy obieliły widnokrąg, przybył bez wypadku na koniec lasu.

Tu oczom jego przedstawiła się straszna przepaść; z głębi jej dał się słyszeć głuchy szum potoka.

— Co to jest za przepaść?

— To ta, o której mój ojciec ci mówił. Ludzie nie znają jej głębokości, bo pokryta jest mgłą, której oko nie może przeniknąć. Ach — dodał przewodnik ocierając łzy z oczu — tylu jest którzy tam giną, bo odtrącają nasze usługi, mówiąc, że ich daremnie straszymy. Ledwie się puszczą sami w tę drogę tak niebezpieczną, natychmiast zabłądzą i giną marnie albo pożarci od straszliwego smoka, albo od zbójców zabici, albo pochłonięci od potoka, gdyż tylko ten jeden mały most jest na nim, który tu widzisz przed sobą. Przejdź go śmiało: na drugiej stronie jest dzień jasny — tam jest twoja ojczyzna.

Podróżny uścisnął swego przewodnika, przeszedł przez most, a w kilka godzin później pełen radości spoczywał na łonie kochanej rodziny.

Znaczenie tej przypowieści da się łatwo odgadnąć.

Przedstawia ona niebezpieczną drogę ży-

cia, którą człowiek ma przebyć, aby się dostać do wiecznej ojczyzny.

Tym starcem poważnym i miłym, który się ofiaruje za przewodnika, jest Jezus Chrystus, który wskazuje ludziom drogę do życia i który ustanowił kapłanów swego Kościoła, aby dalej dzieło jego prowadzili i wiernych przez naukę i Sakramenta święte aż do wejścia do raju przywodzili.

(Schouppe III. 335).

Dobry pasterz.

Kapłan na wzór dobrego pasterza, zawsze powinien być gotów życie swoje na szwank wystawić za dusze ludzkie. Dnia 3 stycznia 1882 roku człowiek o dzikiem wejrzeniu zatrzymał się wieczór po 7 godzinie przed plebanią w Saint-Arçons, wiosce ukrytej w górach Górnej Loary. Wiedziano, że się nazywa Piotr Mallet, ale na plebanii w Saint-Arçons nie znano go. Puka — służąca zjawia się na progu.

— Ksiądz proboszcz? — rzekł.

— Jest. Co pan chce?

— Prędko Sakramenta. Pan Marcin z Rognac umiera, byk go pchnął rogiem.

Ksiądz proboszcz Rivet przyszedł, usłyszawszy rozmowę.

— Pójdę z tobą mój przyjacielu — rzekł.

I natychmiast poczciwy kapłan wziął wo-

reczek, w którym schowane były Oleje św. Wdział na się komżę, owinął się w płaszcz i wyszedł.

— Niech ksiądz proboszcz przynajmniej dziś nie wraca, bo będzie śnieg padał — rzekła służąca.

Nieznajomy przerwał jej, mówiąc:

— Urządzi się tak, że ksiądz proboszcz prześpi się w Rognac.

I znikli obaj w nocnej ciemności.

Nazajutrz rano, może pół mili od wsi, na górskiej ścieżce, która wężykiem wije się nad przepaściami, wieśniacy znaleźli zwłoki proboszcza z Saint-Arçons. Leżały rozciągnięte na poprzek ścieżki z głową skrwawioną, okryte straszliwemi ranami. Zacny pasterz uderzony był w głowę i zabity młotkiem. Zegarek ks. Rivet, tabakierka i naczynie ze świętemi olejami znikło.

Kilka dni potem, skoro Piotra Malleta schwytano, znaleziono u niego rzeczone przedmioty. Pokazało się dowodnie, że on był sprawcą tego świętokradzkiego morderstwa i skazano go na śmierć.

Nieszczęśliwy ten człowiek pałał nienawiścią do religii, którą gazety bezbożne i nierozumne rządy w nim podsycały. Dlatego też adwokat jego mógł wobec przysięgłych, zwracając się do ministra słusznie zawołać:

— Ci którzy są obowiązani czuwać nad bezpieczeństwem obywateli, nie zawsze speł-

niali swój obowiązek; a gdy wielkie zbrodnie zgrozą i przestrachem napełniają społeczeństwo, czyż nie mamy prawa powiedzieć do tych co dzierżą władzę: Oto wasza sprawka! Wy każecie szydzić z kapłanów, wy ich skazujecie na publiczną pogardę, wy dozwalacie, aby ich wystawiano jako istoty nikczemne, jako zakałę towarzystwa ludzkiego... Ach nie sam zabójca jest odpowiedzialny...

Zresztą prześladowanie powinno być chwalebną cząstką kapłana według słów Syna Bożego: *Jeźli mnie prześladowali, i was prześladować będą* (Jan XV. 20).

(Erb. Stund.).

Mężny proboszcz.

Około r. 1827 miała pewna parafia dyecezyi Lugduńskiej młodego kapłana za proboszcza. Łagodny, uprzejmy, życzliwy i ofiarny, gotów był każdej chwili pomódz wszystkim, którzy się do niego udawali. Z ubogimi dzielił się miernemi swemi dochodami, a pobożność jego zjednała mu sławę świętego. Dzielny i odważny tam, gdzie szło o obronę słuszności, czynił to jednak z taką uprzejmością, że nikt odeń nie odchodził niezadowolony. Nic zatem dziwnego, że w krótkim czasie stał się rozjemcą i doradcą wszystkich rodzin.

Jednego poranku jeszcze przed wschodem słońca nagle we wszystkie dzwony zaczęto dzwonić na gwałt. Wskutek ulewy kilkodniowej wezbrały stawy na górach położone, przerwały groble i wściekłym pędem rzuciła się woda na dolinę, w której środku wioska leżała. Ogień można ugasić, albo przynajmniej ograniczyć na pewne miejsce, ale kto zdoła powstrzymać wodę, co z całą siłą wali się z góry? Tak rzuciła się woda na biedną wioskę, wcisnęła się do mieszkań i groziła jej zupełną zagładą. Mieszkańcy, strasznym łoskotem przerażeni, powybiegali z domów, bydło poczęło ryczeć, a nie można go było ze stajen wyprowadzić.

Poczciwy proboszcz, który całą noc u chorego przesiedział, był pierwszy, który zorganizował ratunek i tak gorliwie dzieło prowadził, że wszystkim dodał otuchy. Wtem usłyszano wołanie bolesne i rozpaczliwe; rozszalały żywioł z całą siłą rzucił się na ubogą chatę, co w niższej części wioski leżała. Już woda dosięgła do wysokości dachu chaty, a na tym dachu ukazała się kobieta z dwojgiem dzieci na rękach. Woda biła o słabe ściany chatki, co każdej chwili groziła upadkiem, a matka i dzieci mogły co chwila w falach zatonąć.

Jakże im tu pomódz? Już trwoga najwyższego dosięgła stopnia, gdy nagle słychać konia pędzącego w galopie. Któż to pędzi?

To proboszcz, co dosiadł konia swego sąsiada. Pędzi w wezbrane nurty, już znika, prąd go unosi, ale proboszcz umiejętnie kieruje koniem, zachęca wołaniem i szczęśliwie dociera do chaty. Bierze dziatki i wraca wśród spienionych fal, by dzieci oddać ludziom, co już zdala doń ręce wyciągają. I znowu rzuca się w fale mimo rozpaczliwego wołania parafian, którzy go błagają ze łzami, by się nie wystawiał na niebezpieczeństwo. Ale on i matkę chce dzieciom ocalić, choćby miał i życie położyć.

— Módlcie się za mnie! — woła do parafian i kieruje siwka swego ku chacie upadkiem grożącej.

Wszyscy obecni padają na kolana, oczy ich i serca zwrócone ku dzielnemu pasterzowi swemu, podczas gdy ten bohaterską toczy walkę z wściekłemi falami. W chwili gdy dotarł do chaty, dał się słyszeć straszny łoskot: to chata zwaliła się pod naciskiem strasznego żywiołu. Ale nim dach zniknął we falach, uchwycił dzielny kapłan kobietę, szczęśliwie przywiózł ją na brzeg i oddał rozradowanym dzieciom.

Jeżeli proboszcz był dotąd przedmiotem powszechnej czci i miłości, to od tej chwili uchodził w oczach swoich parafian jako bohater, który niemniej był chlubą parafii, jak dobroczyńcą. Nie wiedząc w jaki sposób

okazać mu swą wdzięczność, wpadli na myśl dziwną i zabawną.

W kilka dni potem mieli wybierać oficerów nowo założonej straży ratunkowej; jednogłośnie wybrali proboszcza swego na kapitana tejże straży. Daremnie protestował proboszcz i chciał swym parafianom wytłumaczyć, że on jako proboszcz takiego urzędu przyjąć nie może: wszystko daremne; parafianie oświadczyli poprostu, że prefekt tę rzecz załatwi, a ksiądz proboszcz niech się broni jak chce. Sprawa ta w drodze administracyjnej przeszła wszystkie instancye, wreszcie dostała się aż do ministeryum spraw wewnętrznych, gdyż żaden z niższych urzędów nie chciał tej dziwnej sprawy rozstrzygać. Wielka była pociecha w biurach ministeryalnych; wypadek ten tak się zdawał być osobliwym i oryginalnym, że szef biura czemprędzej opowiedział o nim generalnemu sekretarzowi. Ten zaś chcąc wszystkich rozweselić, opowiedział o nim na obiedzie u ministra. Minister zaś opowiedział królowi.

Karol X chciał poznać kapłana, którego parafianie tak serdecznie kochali. Skutkiem tego mianował go król koadjutorem biskupa z Nancy. Roku 1836 był już arcybiskupem w Bordeaux a 1852 kardynałem. Był nim przed kilku laty zmarły kardynał-arcybiskup Donnet. (Erb. St. 1887. 47).

Co za miłość!

Przed kilku laty żył w Donai (Doné) jako wikaryusz przy parafii św. Piotra Wielebny ks. Barve. W całem mieście był on znany ze swej gorliwości. W tejże samej parafii znajdował się także kupiec, który należał do tak zwanych „wolnomyślnych“. Człowiek ten chorował na piersi, a koniec jego już szybko się zbliżał. Im bezbożniejszym był kupiec, tem wierniejszą i pobożniejszą była jego żona. Widziała z boleścią, jak do jej męża śmierć coraz więcej się zbliża i niedaleką jest chwila, w której nieszczęsny wolnomyśliciel stanie przed sądem Bożym. Ta myśl napełniała kochającą małżonkę śmiertelną bojaźnią. Już nieraz kapłan starał się chorego na drogę prawdy sprowadzić, ale nadaremnie. Za każdym razem przyjmował go chory tak dzikim wzrokiem i tak straszliwemi bluźnierstwy, że w końcu nie miał już odwagi zbliżyć się do chorego, aby go na te bluźnierstwa nie narażać.

Raz wieczór wpada biedna żona chorego do pokoju kapłana.

— Mąż mój — rzekła — codopiero miał napad duszności i mało się nie udusił. Zdaje się, że tej nocy nie przeżyje.

— O Jezu mój, miłosierdzia! modlił się kapłan w głębi serca i polecając się oso-

bliwszym sposobem opiece N. Panny, poszedł za kobietą.

Skoro przestąpił próg pokoju, w którym chory konał, spotkał się ze wzrokiem, który jakoby z samego piekła pochodził. W chwili gdy kapłan zbliżył się do łoża, odwrócił się konający do ściany i okazał się głuchym na wszelkie upomnienia i prośby jego. Lecz naraz obrócił się, z całym wysiłkiem się podniósł i starał się kapłanowi w twarz plunąć. Ale zamiaru swego wykonać nie mógł, bo do tego zabrakło mu siły. Kapłan przerażony cofa się i już się chce oddalić, gdy biedna żona rzuca wzrokiem błagalnym na księdza.

Więc tenże znowu się zbliża do chorego, nachyla się doń i rzecze:

— Patrz mój przyjacielu, jeźli ci to ulgę przyniesie, że mi w twarz naplujesz, to mi napluj!

I modlił się w sercu: O Boże nie daj mu zaginąć! Święta Maryo, Matko miłosierdzia pomóż, ach pomóż!

Kilka sekund mija, a chory milczy i nie rusza się. Naraz czuje kapłan, jak łza gorąca spada mu na rękę i jak zimna jak lód ręka szuka jego ręki i słyszy jak konający ledwie dosłyszanym głosem szepce:

— Przebaczenia!

Teraz już wszystko w porządku; nienawiść zamarła, wiara i miłość wróciły do du-

szy, piekło zostało zwyciężone tą heroiczną miłością.

Nawrócony „wolnomyśliciel“ spowiadał się wśród łez żalu, przyjął z oznakami najgorętszej pobożności Św. Sakramenta i jeszcze tejże nocy umarł. (Erb. St. 1887. 56).

Obrońca kapłanów.

Na dworcu kolejowym w Rambouillet było także dwu kapłanów i oczekiwali wraz z innymi podróżnymi na pociąg. Usiedli sobie w kącie między klasą uboższą.

Trzej młodzi ludzie, odziani podług najnowszej mody, ale w obejściu i zachowaniu się bez wychowania, stanęli nagle przed owymi dwoma księżami i powitali ich prostackiemi przezwiskami. Księża milczeli. Tem milczeniem podrażnieni, sadzili się na najpodlejsze dowcipy uliczne — lecz nagle powstał wysoki i podeszły pan, pospieszył ku księżom i rzekł silnym i stanowczym głosem do trzech owych rycerzy:

— Precz ztąd moi panowie, teraz panowie mnie obrażacie, a ja tego nie zniosę.

Wszyscy przytomni struchleli, ale widać było po nich, że przyznają słuszność poważnemu panu. Ten zaś stał z podniesioną głową i mierzył wyzywającym wzrokiem oniemiałe i prawie drżące towarzystwo. Młodzi owi ludzie, przestraszeni postawą sędzi-

wego męża, pomrukując niewyraźnemi słowy, znikli wśród tłumu. Ów zaś poważny mąż powrócił na swe miejsce nie rzekłszy ani słowa do kapłanów. Miał może lat 70, był skromnie ale bardzo przyzwoicie odziany i zdawał się należeć do stanu mieszczańskiego.

Na szczęście, opowiada dalej świadek naoczny tego zajścia, siedziałem w wagonie obok owego sędziwego pana. Już chciałem mu wyrazić uszanowanie za jego szlachetny postępek w obronie księży, gdy on bez ogródek zapytał mnie, ile mam lat i czem się zajmuję.

— Mam lat 84, — odrzekłem — jestem notaryuszem i przyjacielem księży, tak jak i pan być się zdaje.

Towarzysz mój zaczął się głośno śmiać i odpowiedział:

— Z całą tą historyą, której świadkiem pan byłeś, niema przyjaźń księży żadnego związku. Słuchaj pan!

Przed blisko 50 laty podróżowałem w interesach handlowych i prawie mieszkałem w wozie pocztowym, który z Tuluzy do Paryża kursuje. Byłem wesołym, we wszystkich hotelach dobrze znanym i chętnie widzianym, a w dodatku liberałem i przy każdej sposobności nędznemi dowcipami na Kościół i na królów sypałem.

Pewnego dnia zatrzymał się wóz pocztowy

w Limoges (Limoż) w hotelu pod „białym koniem“. Wóz był przepełniony, wszystkie miejsca zajęte, między podróżnymi było trzech towarzyszy, moich najlepszych przyjaciół. Już od dwóch dni był jakiś ubogi ksiądz, który z nami jechał, celem naszych dowcipów. W hotelu pod „białym koniem“ jadło się dobrze; nie dziw tedy, że moi towarzysze biednemu księdzu jeszcze bardziej dokuczali, a ja sam muszę ku memu zawstydzeniu wyznać, pomagałem im doskonale i do tego stopnia bezwzględności się posunąłem, że księdzu łzy w oczach stanęły; ale on ani słówka nie rzekł, tylko znosił wszystko z heroiczną cierpliwością.

Przyjaciele moi i ja dostaliśmy na nocleg wielki pokój na cztery łóżka na najwyższem piętrze pod dachem. Spaliśmy twardo, gdy nagle około 2 godziny po północy zbudził nas krzyk: pali się! pali się! W okamgnieniu stał w płomieniach cały hotel, gdyż prawie cały był drewniany. Straszny zgiełk powstał. Chciałem uciekać, ale pędząc potknąłem się o jakąś skrzynię, upadłem i złamałem nogę.

— Moi przyjaciele, moi drodzy przyjaciele! — zawołałem — miejcie litość nademną, nie opuszczajcie mnie!

— Tylko jeden z nich odpowiedział mi głosem, od bojaźni ledwie dosłyszanym:

— Schody się walą. Uciekać kto może!

Wszyscy trzej znikli. Widziałem jak płomienie wdzierały się do pokoju i zapalały opony przy łóżkach. Powlokłem się do drzwi i wołałem o pomoc, ale nic przed sobą nie widziałem prócz ognia. Dzwony na gwałt dzwoniły, wojsko bębniło na alarm, a walący się dach zwiastował mi bliską śmierć. Okna, wychodzące na podwórze znikły; a pomimo wysokości, na której się znajdowałem, zdawało mi się, że słyszę wołania:

— Wróć się, wróć się! Pośliźnie się i zabije. Już po nim! Co za szaleństwo! Nawet straż pożarna niema odwagi iść za nim!

Nagle wskakuje ktoś do pokoju. Czarny od dymu, z podartemi sukniami, z twarzą pokrwawioną ogląda się i pomimo dymu spostrzega mnie leżącego bez ruchu. W okamgnieniu podniósł mnie, wziął mnie na barki, chwycił za linę, której końce trzymał w ręku. Poznałem w nim owego księdza z wozu pocztowego i straciłem przytomność.

Przyszedłem do siebie na wiązce słomy w najdalszym kącie ogrodu. Chirurg składał mi złamaną nogę, a tłum ludzi strwożonych otaczał mnie wokoło. Otworzyłem oczy, alem je zaraz zamknął; jednak słyszałem i rozumiałem co ludzie mówili: „Wielu podróżnych się spaliło, jeszcze więcej jest rannych. Kapłan okazał męztwo bohatera, wyższe nad wszelkie pochwały. Narażał się

na niechybną śmierć, aby swego prześladowcę od śmierci ocalić".

Ciało księdza było tylko jedną raną; ręce zwęglałe, oczy na wpół spalone, cierpiał niewymowne boleści. Gdy już chodzić mogłem, udałem się do szpitala, gdzie ów ksiądz miał osobny, mały pokoik. Długo, długo stałem przed jego łóżkiem, nie mogąc znaleźć słowa podzięki, któreby było godnem tego wielkiego męża. Wreszcie wyjąkłem te słowa:

— Ojcze przebacz mi, moi przyjaciele opuścili mnie, a tyś mnie ocalił.

On zaś oczyma wskazał mi na krucyfiks, co stał obok jego łóżka i wyszeptał:

— Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Prawie 50 lat minęło od tej strasznej nocy. Widziałem na własne oczy, jak księży mordowano, słyszałem jak ich czerniono i wyszydzano. Czy pan teraz pojmujesz, dla czego na dworcu w Rambouillet ująłem się za owymi dwoma księżami? (P. Sch. Erb. St. 1888, 39).

Ksiądz Piotr Brassier.

Dnia 14 stycznia 1890 r. odbyło się doroczne walne posiedzenie francuzkiej akademii, na którem tak zwana „nagroda cnoty" bywa rozdawana. Nagradzaną bywa chrześcijańska miłość bliźniego. Przewodniczący

Gerrand oświadczył, że pierwsza nagroda główna przyznaną została majtkowi Piotrowi Cronsillat, a następnie tak mówił:

— Drugą nagrodę, w równej wysokości, udzielamy proboszczowi z St. Georges de Reimtembault w dyecezyi Rennes, Piotrowi Brassier. Gdy wybuchła wojna 1870 r., on będąc wikarym w Monfort, udał się jako kapelan z ochotnikami departamentu Ille-et-Villaine, na pole bitwy. Na jednogłośny wniosek batalionu ozdobiony został krzyżem legii honorowej za odwagę swą podczas jednej z najzaciętszych bitew pod murami oblężonego Paryża. Po zawarciu pokoju zaczął jako proboszcz z St. Georges zbierać sieroty i opuszczonych chłopców, by ich wychować i dać wyuczyć rzemiosła. Obecnie utrzymuje 50 chłopców, dla których musi się starać o pożywienie, odzież, naukę i wszystko. Niedawno temu dwaj z jego chłopców, jeden jedenasto a drugi dwunasto-letni, z rozpromienioną twarzą przybiegli do swego ojca i ofiarowali mu pierwsze dzieło swej sztuki: parę nowych trzewików. Lecz nietylko o tych 50 chłopców stara się proboszcz. Wielu z nich mają opuszczone siostry, a jakże dobry pasterz mógłby je zostawić na nędzę? Tak obok ochronki dla chłopców, powstała ochronka dla dziewcząt, w której i one otrzymują pożywienie, odzież, naukę i ćwiczą się w pracy ręcznej pod przewo-

dnictwem pewnej zacnej dziewicy z parafii. Te 2500 franków, co je temu godnemu kapłanowi posyłamy, który dziś tak niewzruszoną ufność w Bogu okazuje, jak niegdyś zimną krew wśród gradu kul zachował, przydadzą mu się dla jego pupilów. Do tego małego datku dołączamy nasze najszczersze życzenia.

Bez wątpienia w miastach francuzkich setki kapłanów się znajdują, którzy podobnie jak proboszcz z St. Georges, starają się o opuszczone dzieci, ale na wsi niewiele musi mieć współzawodników, i można na pewno przypuścić, że i krzyż honorowy tak uczciwie zasłużony zaważył na szali.

(Erb. St. 1890, 8).

Stój! aresztuję cię!

Sławny śpiewak Karol Formes opowiadał przed kilku laty w gronie znajomych następujące zdarzenie, które także we „wspomnieniach“ swoich umieścił.

W roku 1838, kiedy jako mały chłopiec sługiwałem do Mszy św. w naszym kościele parafialnym, nieraz towarzysząc księdzu do chorego, niosłem przed nim latarnię. Raz w noc listopadową szedłem z ówczesnym wikarym Engelsem, który wezwany został do chorej osoby mieszkającej o dwie godziny drogi od miasta. Noc była tak straszna,

żem nigdy jeszcze takiej nie widział. Burza się srożyła i sieklа nas deszczem i śniegiem po twarzach. Drogi były tak pełne błota, że ledwie iść można było.

Przemoczeni do nitki, zdążyliśmy wreszcie do celu, t. j. do nędznej chaty, w której ceglarz wraz z żoną w strasznem żyli ubostwie. W izbie nie było ani jednego sprzętu, w piecu ani iskierki ognia. Chora kobieta leżała bez przykrycia na podłodze, mając tylko garstkę słomy na posłanie. Mąż jej i matka jego okryci byli łachmanami i dziwi mnie, że ci ubodzy ludzie nie pomarzli.

Skoro kapłan chorej udzielił ŚŚ. Sakramentów, poogląda się po izbie i ze łzami w oczach rzekł:

— O Boże! to okropnie!

Dał im wszystkie pieniądze, co miał przy sobie i pożegnał ich słowy:

— Wkrótce nadejdzie pomoc!

Po wielu trudnościach i umęczeniu powróciliśmy do miasta, a ja szczęśliwy byłem gdym leżał w ciepłem łóżku.

O drugiej po północy spotkał stróż nocny przy bramie miasta człowieka, który z wielkim pakunkiem na plecach i koszem w ręku szybkim krokiem wychodził z miasta. Zawołał na niego, ale tamten nie stanął. Zbliżywszy się, ujrzał stróż, że ta podejrzana postać dźwigała pierzynę i kołdry, i że z kosza wyglądały flaszki i pakiety. Ten

pewnie się gdzieś włamał, pomyślał sobie, poskoczył ku niemu, dobył pałasza i zawołał:

— Stój! aresztuję cię!

I natychmiast zjawił się policyant i pochwycił go; stróż przybliżył lampę do twarzy mniemanego złoczyńcy, ale przestraszony odskoczył, poznawszy w nim wikarego Engelsa i zawołał:

— Dla Boga, księże Dobrodzieju, co ksiądz robi?

— Puść mnie pan i daj mi spełnić mój obowiązek — odrzekł kapłan. Następnie po krótce wyjaśnił mu, o co idzie. Policyant ofiarował księdzu innego człowieka, aby zaniósł rzeczy do owej chaty, ale ten grzecznie i stanowczo odmówił.

Zacny kapłan, przyszedłszy do domu, czemprędzej wszystko co miał pościeli, odzieży i pożywienia spakował i w owej burzliwej nocy jeszcze raz się w tak odległą drogę puścił. Można sobie wyobrazić szczęście tych biedaków, skoro go ujrzeli.

Rano o 6-tej już miał ks. Engels Mszę św. a ja mu służyłem.

(Erb. St. 1891. 47).

VI. Małżeństwo.

Starodawny obraz chrześcijańskiego małżeństwa.

Sakrament małżeństwa udziela małżonkom łaski, aby mogli żyć świątobliwie ze sobą i wspomagać się wzajemnie w wypełnianiu wszystkich obowiązków życia chrześciańskiego i dziatki swoje wychowywać po Bożemu.

Ta to łaska sakramentalna jest źródłem szczęścia domowego, którego przecudny obraz znajdujemy u Tertulliana:

— Jakże zdołam opisać szczęście małżeństwa zawartego pod opieką Kościoła, umocnionego ofiarą Mszy św., uświęconego błogosławieństwem kapłana? małżeństwa, co ogłoszonem zostało przez aniołów a potwierdzonem w niebie? Dwoje wiernych Chrześcian sprzęgło się w jedno jarzmo ku jednej nadziei, jednym ślubem do spełnienia jednych i tych samych obowiązków! Są oni bratem

i siostrą w Chrystusie, pomagają sobie nawzajem w połączeniu ducha i ciała, są oni prawdziwie dwoje w jednem ciele i w jednym duchu. Modlą się razem, wspólnie na twarz upadają, wspólnie poszczą, nauczają się, dodają sobie otuchy i podtrzymują się wzajemnie. Razem chodzą do domu Bożego, razem słuchają Mszy św. i razem przystępują do Komunii, nawiedzają chorych, wspomagają ubogich. Nie uciekają przed sobą, nie są sobie nawzajem ciężarem, bez przeszkody oddają sie codziennym ćwiczeniom pobożności i nie kryjąc się, żegnają się krzyżem świętym; modlitwy przed jedzeniem i po jedzeniu nie czynią pocichu. Dom ich rozbrzmiewa śpiewami psalmów, i współubiegają się z sobą w gorliwości, kto piękniej śpiewać będzie chwałę Boga; Jezus Chrystus słucha ich i raduje się i zsyła im swe błogosławieństwo. Bo gdzie dwu albo trzech zgromadzi się w Jego Imię, tam i On jest między nimi.

Takie było życie małżonków w trzecim wieku po Chrystusie.

(Schouppe T. III. 353).

Święta Monika.

Ileż łask otrzymaliby małżonkowie przez Sakrament małżeństwa, aby żyli świątobliwie w swym stanie i uświęcali się wza-

jemnie, aby swe dziatki uczyli cnoty lub nawracali je do Boga, gdyby się godnie doń przysposabiali i nie stawiali przeszkód jego skutkom! Święta Monika która miała szczęście w całej pełni otrzymać te kosztowne łaski, stała się wzorem małżonek i matek chrześciańskich.

Monika była Afrykanką. Urodzona z rodziców chrześciańskich, tak dobrze korzystała z nauk otrzymanych w dzieciństwie, że wstawała o północy na odmawianie modlitw, których ją matka jej Fakunda nauczyła. Z nabożeństwem rozwijało się w jej sercu miłosierdzie ku ubogim: dla nich chowała zawsze część swego posiłku. Tak wielką była nieprzyjaciółką próżności, że tylko z posłuszeństwa ku rodzicom ubierała się podług stanu swego. Gdy się o jej rękę oświadczył pewien młodzieniec zacnego urodzenia na imię Patrycyusz, ale jeszcze poganin, przystała na to małżeństwo jedynie z posłuszeństwa ku rodzicom, i zawarła je w najświętszej intencyi.

Mąż jej wkrótce po ślubie okazał się w pożyciu cierpkim i surowym, co dla Moniki było bardzo bolesnem. Pomimo to jednak nigdy się z nim nie sprzeczała, lecz owszem okazywała mu tylko słodycz i cierpliwość. Tym sposobem jak niemniej i przez ciągłe modlitwy i łzy przed Panem, tak sobie zjednała przywiązanie i szacunek Pa-

trycyusza, że ułagodziła serce tego człowieka porywczego i pozyskała go wreszcie dla Boga.

— Odniosła zaś to zwycięztwo — mówi św. Augustyn — służąc mężowi swemu jako panu, pobudzając go do cnoty niezmienną słodyczą raczej jak słowami. To roztropne postępowanie czyniło ją mężowi nietylko przyjemną i miłą, ale nawet godną czci i i podziwu. Chociaż ją bardzo kochał, wskutek swej żywości jednak unosił się nieraz gniewem na nią; ona zaś postanowiła sobie nigdy mu się nie opierać w chwili jego popędliwości; gdy się niesłusznie na nią gniewał, czekała, aż się uspokoi i dopiero wtenczas tłumaczyła mu się ze swego postępowania.

Kiedy inne niewiasty, które miały mężów nie tak popędliwych jak ona, skarżyły się przed nią nieraz na swój los nieszczęśliwy, i na wybryki swych mężów, których ślady rąk nieraz na twarzach nosiły: ona uśmiechając się, mawiała: „Wy raczej trzymajcie języki wasze na wodzy, bo to nie należy do żony, stawiać się ostro mężowi. Bądźcie łagodne, uważajcie ich za swych panów, a będziecie z nimi żyły w zgodzie.

„Taką oto powinna być małżonka chrześciańska; cnota jej zależy na tem, aby znosiła i słodyczą pozyskała swego męża złośliwego, aby swój gniew hamowała wiel-

kiem umiarkowaniem, głęboką uległością i milczeniem, jako dowodem uszanowania. Przedewszystkiem niech się strzeże źle o nim mówić; bo żona, która źle mówi o mężu, nie mniej jest winna jak mąż, który przez swe złe postępki daje żonie powód do skarżenia się na niego".

Największem zmartwieniem dla św. Moniki było, że syn jej Augustyn chodził drogami występku i stał się niewolnikiem najniższych namiętności. Jako matka iście chrześciańska nie zaniedbywała nic, aby go nawrócić do Boga. Nie dość że sama się zań modliła wśród łez obfitych, ale błagała o modlitwy za syna swego wszystkich sług Bożych. Jednego dnia, gdy go polecała modlitwom czcigodnego biskupa ze łzami w oczach, on jej dodał otuchy mówiąc:

— Syn takich łez nie może zginąć!

Oprócz modłów, Monika używała przedstawień łagodnych, aby syn jej wszedł w siebie. Raz mu przedstawiała żywemi barwami nieporządek jego postępowania; raz znowu zalana łzami błagała go, aby potargał kajdany, które sam na się włożył, idąc na oślep za skłonnością zepsutej natury. Ale te słowa nie wywierały żadnego wpływu na Augustyna, który uważał za słabość niegodną mężczyzny, słuchać upomnień niewiasty.

Monika nie tracąc nadziei, modliła się dalej bez przerwy, a po 14 latach wytrwałości

przyszła wreszcie godzina łaski: miała pociechę ujrzeć Augustyna nietylko nawróconym ale nawet Świętym.

(Schouppe III. 354).

Święta Elżbieta, królowa.

Sakrament małżeństwa udziela małżonkom łaski cierpliwości chrześciańskiej, do znoszenia wzajemnego błędów.

Święta Elżbieta, córka Piotra III, króla Arragonii, wydaną została r. 1281 za Dyonizego, króla portugalskiego. Książe ten mniej uważał na jej cnotę, jak na blask jej królewskiego pochodzenia i piękne przymioty ciała i ducha; pomimo to zostawił jej wolność w spełnianiu obowiązków religii, i nie mógł odmówić podziwu cnocie swej małżonki.

Zkądinąd miał Dyonizy wyborne zalety: miłował sprawiedliwość, był mężnym, ludzkim i litościwym; ale hołdując zepsutym zasadom świata, nie wahał się złamać wiary małżeńskiej i stać się niewiernym swej małżonce.

Elżbieta mniej dotknięta krzywdą sobie wyrządzoną od męża, jak obrazą Boga i zgorszeniem, jakie ztąd wynikało, modliła się nieustannie i kazała się modlić za jego nawrócenie.

Nie czyniła mu żadnych wyrzutów, ale starała się pozyskać jego serce przez aniel-

ską cierpliwość. Zajmowała się losem jego dzieci i sama się starała o ich wychowanie. Najprzód oddawała je w ręce niewiast cnotliwych; a później skoro doszły do pewnego wieku, udzielała im sama nauk szczególnych, aby w ich serca zaszczepić bojaźń Bożą i zapewnić im wieczne zbawienie.

Takiem postępowaniem pozyskała wreszcie męża: taka cierpliwość, miłość i przewłoczność podziwu godna otworzyła mu w końcu oczy. Wyrzekł się swoich błędów i odtąd zachowywał wierność małżeńską, jaką winien był swej cnotliwej małżonce. (Schouppe III. 364).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Langer T. J.

L. 659.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.
(L. S.)
Kraków 14 Lutego 1893.

W zastępstwie JEminencyi
X. Gawroński.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

VI. Małżeństwo.

(Ciąg dalszy).

Święty Gomer.

Święty Gomer, patron miasta Lierre, blisko Anvers, żył w ósmem stuleciu i jaśniał w stanie małżeńskim jako wzór roztropności i cierpliwości małżeńskiej. Jego cnota i zasługi zjednały mu miłość króla Pipina, który mu powierzał najważniejsze stanowiska i polecił mu za małżonkę osobę zacnego urodzenia i bogatą na imię Gwinmaryę. Gomer zgodził się na to małżeństwo i przygotowawszy się najsumienniej, przystąpił do ołtarza z Gwinmaryą i połączył się z nią węzłem małżeńskim.

Na nieszczęście nie oboje małżonkowie byli równie godnymi przyjęcia łaski Bożej. Gwinmarya bardzo się różniła od Gomera, była to kobieta próżna, kapryśna i uparta. Jej prowadzenie się było dla Gomera źródłem i przykrych i bardzo dotkli-

wych prób. Gomer to wszystko znosił nie skarżąc się i tylko od Boga spodziewał się pomocy i pociechy. Używał wszelkich możliwych środków, aby pozyskać tę, która pomimo wszelkich zboczeń, połączona z nim była najświętszym węzłem; ale wszystkie jego starania były daremne.

Będąc obowiązany towarzyszyć królowi Pipinowi w różnych jego wyprawach wojennych do Lombardyi, Saksonii i Akwitanii, całych lat ośm nie był w domu. Po powrocie znalazłszy dom w stanie najopłakańszym, podwójnie czuł się nieszczęśliwym, ale święty małżonek nie tracąc cierpliwości i odwagi, wszystko do dawnego przywrócił porządku, a uczyniwszy z swej strony co tylko mógł, kazał zbudować kaplicę w swych dobrach w Nivesdonck w zamiarze zamieszkania przy tejże i oddania się swobodnie ćwiczeniom pobożności.

Choć Gwinmarya zdawała się wstydzić swego dawnego postępowania i chciała niby szczerze życie swe zmienić, to jednak te zewnętrzne pozory nie wydały trwałych owoców, stała się daleko przykrzejszą, jak była pierwej. Więc Gomer spełnił swój zamiar; kazał sobie zbudować celkę przy owej kaplicy, o której była mowa i za zgodą swej małżonki zamknął się tamże, aby odtąd tylko samym Bogiem się zajmować.

Pomimo to nie zaniedbał starania o swą

rodzinę i używał wszelkich środków, aby w jego domu kwitła cnota i dobre obyczaje. Nareszcie godzina łaski wybiła; Bóg wysłuchał jego gorących modłów, jakie zasyłał o nawrócenie swej małżonki. Weszła w siebie szczerze i resztę życia spędziła na ćwiczeniu się w pokucie i umarła śmiercią sprawiedliwych.

Gomer zaś zasnął w Panu r. 774.
(Schouppe III. 365).

Budujące wesele.

Właściciel jednej z najpiękniejszych szklannych fabryk w Lotaryngii, chciał wyprawić swej siostrze wspaniałe wesele. Objawił tedy matce, że może z Lunéville przyprowadzić tyle gości ile jej się podoba, że on ze swej strony zaprosi sześćdziesiąt osób. Skoro mu matka przedstawiła, że lepiej będzie mniej osób zaprosić, aby i dla ubogich coś uczynić, zgodził się na to, mówiąc, że uczyni według jej życzenia. Jakoż w dzień ślubu przybyła matka tylko z najbliższymi krewnymi. Zdziwiła się, nie widząc nikogo z tak licznie zamówionych gości, ale jej powiedziano, że na jutro są zaproszeni.

Rzeczywiście nazajutrz wielka liczba ubogich ze wszystkich stron zaczęła się zbierać u zacnego właściciela fabryki; wprowadzono ich do wielkiej sali, w której były zasta-

wione stoły z wielką liczbą nakryć stosownie do liczby zaproszonych. Przy każdem nakryciu leżał bochenek chleba i stała flaszka wina. Skoro wszyscy zajęli wskazane sobie miejsca, ksiądz proboszcz pobłogosławił stoły. Następnie pan i pani domu, nowożeńcy i wszyscy krewni za porządkiem przynosili półmiski z potrawami i służyli ubogim z zadowoleniem, jakie sprawia przeświadczenie o spełnieniu dobrego uczynku. Łatwo można osądzić, z jakiem uczuciem radości korzystali ubodzy, którzy byli tylko do suchego chleba przyzwyczajeni, z tak obfitego stołu. Zaraz z początku zapowiedziano im, że mogą ze sobą zabrać wszystko, co zostanie z potraw, a nadto talerze, butelki, szklanki, łyżki, noże i widelce, które dostali w podarunku.

Skoro zaspokoili głód najpierwszy, użył proboszcz tej sposobności, aby zwrócić ich uwagę, jak czcigodnem jest ubóstwo w świetle naszej świętej wiary, kiedy państwo uważają to sobie za honor, że im mogą służyć.

— Jeżli się wam jednak — mówił dalej — zdarzy, że was z niczem odprawią, bądźcie pewni, że sami ubodzy temu są winni, gdyż wielu z nich miasto się zachować jak na członków Chrystusa przystało, puszczają się na życie występne i na pijaństwo, które ich czyni pogardy godnymi. Wy zaś jeżli się dobrze zachowacie, zawsze będziecie w poszanowaniu u ludzi cnotliwych.

Słów tych, w stosownej powiedzianych chwili, słuchano z uszanowaniem, a stół trwał dalej z niemniejszą skromnością, jak wesołością. Radość malowała się na obliczach tych, którzy usługiwali; a nawet ci co się tylko przyglądali, aż do łez poruszeni czuli wewnętrzną rozkosz, jaką znajdują dobrzy w uszczęśliwianiu bliźniego.

Po stole i dziękczynieniu, każdy powrócił do domu, wziąwszy to co pozostało by się z rodziną podzielić. Inni ubodzy którzy w wielkiej liczbie się zgromadzili, otrzymali obfitą jałmużnę. Słyszano tylko okrzyki radości i błogosławieństwa dla nowożeńców.

Jeżli inne wesela są świetniejsze, dodaje autor tego opowiadania, to z pewnością nie mogą mieć nic tak zadawalniającego, a niebo czy może nie błogosławić związkowi, który się zaczyna taką miłością? Oby ten przykład zachęcił drugich do zamiany nierozumnych zabaw weselnych w uczynki godniejsze chrześcijanina.

(Anecdotes chrétiennes).

Gilbert i Matylda.

Bóg błogosławi małżeństwu zawartemu w czystej intencyi przez godne przygotowanie. Historya wypraw krzyżowych przekazała nam przykład takiego małżeństwa w oso-

bie sławnego rycerza Gilberta, ojca Tomasza Beketa, lepiej znanego pod imieniem świętego Tomasza biskupa kantuaryjskiego, którego uroczystość Kościół św. dnia 29 grudnia obchodzi.

W początkach XII stulecia, pewien szlachcic angielski imieniem Gilbert, zapalony gorliwością dla sprawy Ziemi świętej, zostającej pod jarzmem muzułmańskiem, zaciągnął się w szeregi krzyżowców i w towarzystwie sługi swego Ryszarda udał się do Palestyny. Zaledwie wysiadł na brzeg w Syryi, wpadli obaj w ręce niewiernych i przyprowadzeni zostali do kalifa Egiptu, który kazał ich zamknąć do więzienia. Mimo to obchodził się kalif z Gilbertem bardzo dobrze; widząc w nim zacnego szlachcica, pełnego roztropności i mądrości, chciał, aby dlań miano osobliwsze względy. Kalif miał córkę, która podziwiała obyczaje Gilberta, jego zwłaszcza umiarkowanie i cierpliwość w przykrościach niewoli. Znalazłszy jednego dnia sposobność mówienia z nim, pytała go zkąd jest i jaką wyznaje religię.

— Jestem Anglikiem — rzekł — Londyn jest moją ojczyzną; wyznaję religię chrześcijańsko-katolicką.

A czegóż was uczy ta religia? — zapytała księżniczka.

Gilbert wyjaśnił jej w krótkich słowach główne zasady wiary, mianowicie piękne i

wielkie tajemnice wcielenia, życia, śmierci, i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa i że bez tej wiary nie można być zbawionym.

Pogańska księżniczka, względem której Bóg miał zamiary miłosierne, tyle rozkoszy uczuła w tej nauce, że niczego nie pragnęła, jak tylko coraz więcej i głębiej poznać naszą świętą religię i przyjąć ją, aby otrzymać żywot wieczny.

Po niejakiem czasie Gilbert wraz z swym służącym, znalazłszy stósowną chwilę, umknął z więzienia w nocy i szczęśliwie wrócił do ojczyzny. Skoro się księżniczka o tem dowiedziała, posmutniała bardzo, że nie mogła dalej słuchać Boskiej nauki Jezusa Chrystusa, i bała się potępienia wiecznego. Przypomniawszy sobie więc, że Gilbert jest z Londynu w Anglii, odważna ta dziewica, bez wątpienia wewnętrzną poruszona łaską, postanowiła udać się tamże, by zostać chrześcijanką; przebrała się więc pokryjomu i wsiadła na okręt, który właśnie odpływał do Anglii.

Przybywszy szczęśliwie do Londynu, znalazła się z początku w wielkim kłopocie: obca, nieznana, nie mogąc się rozmówić swoim językiem, a nieznając angielskiego, niewiedziała co począć, gdy dziwnym Opatrzności Boskiej zrządzeniem, Ryszard, sługa Gilberta, przybył na rynek i poznał córkę kalifa. Nie podobna wyrazić radości księżni-

czki, skoro ujrzała Ryszarda, który wraz z Gilbertem był więźniem jej ojca.

— Co Wasza książęca Mość tu robi? — zapytał Ryszard zdziwiony. Jak pani tu przybyła do kraju tak dalekiego?

— Przybyłam tu — odrzekła — aby się dać pouczyć o religii chrześciańskiej, to jedyne me pragnienie w tym świecie.

— Proszę się tu zatrzymać — odrzekł Ryszard — natychmiast biegnę do pana mego i powiem mu o tem.

Gilbert w żaden sposób nie chciał wierzyć nie mogąc pojąć, jak panienka tak delikatna i tak zacnie urodzona, mogła się odważyć na taką podróż połączoną z tylu niewygodami i niebezpieczeństwy; ale gdy Ryszard trwał przy swojem i zawsze twierdził, że to ona, podziwiać począł męztwo i wiarę tej księżniczki i nie wątpił, że w tem zdarzeniu jest palec Boży. Niewymowną była radość księżniczki, gdy ujrzała Gilberta, który jej wskazał drogę do nieba. Gilbert niemniej uradowany, oddał ją pewnej zacnej matronie, prosząc, by o księżniczkę jak o własną córkę się starała.

Nazajutrz poszedł Gilbert do tej matrony; skoro muzułmanka go ujrzała, rzuciła mu się do nóg, obejmując go za kolana, i oblewając je łzami błagała, by miał litość nad nią i dalej prowadził dzieło jej zbawienia,

gdyż to było jedyną pobudką, że tak daleką i przykrą podróż podjęła.

Gilbert był wzruszony jej łzami, które były objawem jej wielkiej wiary; i natychmiast powziął myśl poślubienia jej, aby ją mógł lepiej pouczyć naszej świętej wiary i w niej tem trwalej zachować. Ale ponieważ poświęcił się Panu Bogu na walkę z niewiernymi, udał się do biskupa po radę. Zastał go właśnie radzącego z pięciu innymi prałatami nad dobrem Kościoła. Gilbert opowiedział zatem wszystko, co się stało, a ci prałaci zastanowiwszy się przed Bogiem, oznajmili mu, że w tem zdarzeniu jest palec Boży i że Bóg takiemu małżeństwu błogosławić będzie, które w tak czystej i świętej intencyi zostanie zawarte.

Zatem Gilbert wyuczył gruntownie księżniczkę tajemnic i przykazań religii katolickiej; ona zaś coraz więcej w nich smakowała i nie przestawała Bogu dziękować; wkrótce więc była przygotowana do przyjęcia Chrztu świętego. Biskup londyński chciał sam spełnić tę ceremonię. Przed zaczęciem spytał ją podług zwyczaju Kościoła, czy chce być ochrzczoną. Ona zaś odrzekła wśród łez, które rozczuliły wszystkich obecnych:

— Pragnę z całego serca, gdyż tylko dla tego tu przybyłam nie zważając na niebezpieczeństwo życia, z kraju tak odległego.

Biskup zachwycony taką gorliwością udzie-

lił jej Chrztu św. i nazwał ją Matyldą. Następnie Gilbert wziął z nią ślub wobec biskupa, który pobłogosławił ich małżeństwo.

Po ślubie Gilbert na nowo został zaniepokojony, z jednej bowiem strony był gotów zawsze do spełnienia ślubu swego t. j. że się uda do Ziemi świętej walczyć z niewiernymi; z drugiej zaś nie miał odwagi porzucić małżonki, która tak daleką odbyła podróż; zdawał się być smutnym. Matylda spostrzegłszy to zapytała:

— Cóż to, czy może żałujesz, żeś mnie poślubił?

— Nie, moja droga małżonko — odrzekł Gilbert; dziękuję za to Panu Bogu; ale ty wiesz o ślubie, który uczyniłem, walczyć z niewiernymi a boję się, abyś się nie zasmuciła moim odjazdem i moją nieobecnością.

— Ach mój drogi, odrzekła cnotliwa pani, idź na tak świętą wojnę, kiedy wola i chwała Boża tego wymaga. Nie chciałam być z tobą tylko aby się nauczyć żyć dla Jezusa Chrystusa. Będąc więźniem u mego ojca, oświadczyłeś mi, że dla Chrystusa gotów jesteś uczynić ofiarę z twojej osoby; choć mnie wiele kosztuje rozstanie się z tobą, jednak raduję się że mogę oddać Bogu małżonka, którego nie szukałam, jak tylko dla Boga. Jedź więc, drogi małżonku, Bóg będzie błogosławił twoim zamysłom; nie smuć się o

mnie; Bóg, który uczynił miłosierdzie ze mną kiedym była niewierną, będzie mnie strzegł daleko bardziej teraz, kiedy jestem chrześcijanką.

Rozłączyli się tedy, łzy obfite wylewając i obiecując sobie nawzajem modlić się do Pana.

Gilbert podziwiając wspaniałość Matyldy, odjechał, zostawiając wiernego sługę Ryszarda, by miał staranie i opiekę nad panią. Półczwarta roku był Gilbert na wojnie świętej i powrócił spełniwszy ślub swój. Bóg błogosławił małżeństwu temu, dał im bowiem syna, o którym Matylda miała wewnętrzne natchnienie i przeczucie, że dziecię które się narodzi, będzie wielkie przed Panem. Wydała go na świat roku Pańskiego 1119. Na Chrzcie św. dano mu imię Tomasz. Matylda nie pomyliła się; syn jej stał się wielkim Świętym. Został arcybiskupem kantuaryjskim i otrzymał koronę męczeńską za obronę praw Kościoła. Kościół św. obchodzi uroczystość jego nazajutrz po uroczystości Młodzianków dnia 29 grudnia.

(Wyjątek z życia Świętego).

Św. Eleazar i św. Delfina.

Sakrament małżeństwa uświęca małżonków, godnie doń przystępujących. Takimi

byli św. Eleazar i św. Delfina, którzy żyli w Prowansyi w XIV wieku.

Przejęci oboje bojaźnią Bożą, Eleazar hrabia Arianu i Delfina de Glanderes wstąpili w związek małżeński na zamku Pui-Michel r. 1299. Pobożny hrabia uważał bogactwa jakie posiadał, jako środki, których mu Opatrzność użyczyła na pociechę ubogich i na staranie się o chwałę Bożą. Dobra wieczne były jedynym przedmiotem jego pragnień. Codzień odmawiał pacierze kapłańskie i kilka razy w tygodniu przystępował do Stołu Pańskiego. Delfina podzielała zupełnie sposób myślenia męża i była mu najdoskonalej posłuszną. Cnotliwa hrabina wiedziała, że praktyki religijne właściwe kobiecie zamężnej, różnią się od praktyk osoby zakonnej i że osoba zamężna nie powinna porzucać życia czynnego, oddając się wyłącznie bogomyślności. Umiała tak czas swój podzielić, że wszystkim swym obowiązkom w równej mierze zadość czyniła.

Podziwiano uwagę, z jaką czuwała nad służbą i staranie jakie miała, aby w nich utrzymywać bojaźń Bożą i miłość cnoty, równie jak troskliwość, by oddalić od nich wszystko, coby mogło zakłócić spokój domowy. Wszyscy ją czcili jako matkę i kochali ją jak dzieci. Postępowanie jej było dowodem tej prawdy, że dobrzy panowie

czynią służbę dobrą i że rodziny Świętych są rodzinami Boga.

Co się tyczy Eleazara, to jego pobożność była aż nadto rozumna, aby miał zaniedbywać obowiązki i sprawy doczesne; spełniał je niemniej starannie jak roztropnie. Był przytem dzielny na wojnie, czynny i roztropny w pokoju i spełniał z największą wiernością wszystkie obowiązki swego stanu.

Zaprowadził porządek domowy i chciał, aby go dokładnie zachowano. Oto główne przepisy:

1. Wszyscy, którzy u mnie służą, codzień słuchać będą Mszy św., choćby niewiem jakie zajęcie mieli. Jeżli Bóg mieszka w domu, na niczem mu zbywać nie będzie.

2. Jeżliby który ze sług moich przysięgał, albo bluźnił, będzie surowo karany, a następnie z hańbą odprawiony.

3. Niech wszyscy we czci mają wstydliwość: najmniejsza nieczystość w słowach lub uczynku nie ujdzie bezkarnie w domu Eleazara.

4. Wszyscy przystępować będą do spowiedzi i Komunii św. w dniach oznaczonych.

5. Co wieczór służba moja zgromadzi się albo na naukę chrześcijańską, albo rozmowę o Bogu i zbawieniu i o środkach prowadzących do nieba.

Oto treść przepisów, które Eleazar w swym

domu zaprowadził, jego przykład i sprężystość utrzymywały je w całej pełności.

Małżonkowie ci kochali się najtkliwszą miłością w Jezusie Chrystusie. W liście, który Eleazar pisał z Włoch do św. Delfiny, znajdujemy następujące wyrazy:

— Pragniesz mieć często odemnie wiadomości; nawiedzaj często Jezusa Chrystusa w Najświętszym Sakramencie, wnijdź duchem w Jego święte Serce. Wiesz że tam jest moje zwyczajne mieszkanie; bądź pewna, że mnie tam zawsze znajdziesz.

To święte zjednoczenie w służbie Bożej sprawiało, że doznawali czystej radości i wesela i mimo przykrości, których im nie brakło, używali doskonałego pokoju i pociech niewymownych aż do końca życia.

Święty Eleażar umarł 27 września 1323 w 38 roku życia i jeszcze za życia swej małżonki policzony został w poczet Świętych; Delfina zaś żyła dalej, ćwicząc się w cnotach najheroiczniejszych i umarła śmiercią błogosławionych d. 26 września 1369, mając lat prawie 90. (Schouppe III. 356).

Święta Joanna Franciszka.

Święta Joanna Franciszka Frémiot de Chantal była wzorem doskonałości we wszystkich stanach życia, w których podobało się Panu Bogu ją postawić, w stanie panieńskim,

zamężnym i wdowim. Jeżli błyszczała jako perła wśród mężatek, zawdzięczała to Sakramentowi małżeństwa, który przyjęła w najczystszej intencyi i najdoskonalszem przygotowaniem.

Urodziła się w Dijon r. 1572. Będąc jeszcze młodą, mieszkała przez niejaki czas u swojej najstarszej siostry, która wyszła za hrabiego d'Effran. Podczas tego jej pobytu chciano ją wydać za pewnego szlachcica, który ogromne posiadał dobra; ale dowiedziawszy się, że ten, którego jej za męża przeznaczono, jest kalwinem, wyrzekła się tego związku, jakkolwiek wedle świata partya ta, jak mówią, była bardzo świetna.

W dwudziestym roku życia wydał ją ojciec za barona de Chantal, który był najstarszym z domu de Rabutin. Był on podkomorzym króla Henryka IV, u którego w wielkich zostawał łaskach. Przybywszy z mężem do Bourbilly, gdzie tenże zwyczajnie przemieszkiwał, zastała tam wiele nadużyć, głównie częstą nieobecnością barona spowodowanych. Odrazu wzięła się do ich usunięcia. Pierwszem jej staraniem było czuwać nad służbą, aby spełniali obowiązki religii i byli codzień wieczór na modlitwie, którą wspólnie odprawiano. W niedziele i święta posyłała służbę na Mszę św. do parafialnego kościoła; w inne dni słuchali Mszy św. w kaplicy zamkowej.

Każdy miał swój urząd i godziny wy-

znaczone do jego spełnienia; wszystko było przewidziane, aby uniknąć nieporządku i zamięszania, które tyle szkody przynoszą całemu domowi.

Kiedy baron zmuszony był wyjechać bądź na dwór królewski, bądź na wojnę, pobożna jego małżonka prawie nigdy nie wychodziła z domu, rzadko tylko przyjmując lub oddając wizyty. Tym sposobem unikała roztargnienia i oddawała się zupełnie wychowaniu dzieci i sprawom gospodarskim.

Czas jej nie wydawał się za długim, umiała go użyć bardzo pożytecznie. Nie widziano jej nigdy, jak niewiasty światowe, szukającej próżnych zabaw dla rozrywki lub uniknienia nudów. Bo albo ręczną robotą albo gospodarstwem i dziećmi się zajmowała, albo czytała księgi pobożne, albo się modliła. Ale, skoro mąż powrócił, starała mu się przypodobać sprawiając mu niewinne przyjemności; skracała nawet swe ćwiczenia pobożne i oddawała się zabawom domowym, których Ewangelia św. nie potępia, jeżli się ich używa w granicach.

Później jednak postanowiła nie skracać swych nabożeństw pod żadnym pozorem i nigdy ich nie opuszczać chyba z pobudek miłości bliźniego, koniecznej grzeczności, albo dla innych istotnych obowiązków. Baron Chantal zostawił jej w tym względzie zupełną wolność.

Był to bowiem mąż zarówno zacny jak pobożny. Miłował serdecznie swą żonę, która ze swej strony odpłacała mu się wzajemnością. Niczego nie brakowało do ich wzajemnego szczęścia; ale Bóg, który chciał bez podziału królować w sercu swej służebnicy, chciał ją doświadczyć jedną z najboleśniejszych ofiar.

Baron Chantal podźwigał się z choroby. Jeden z przyjaciół jego przyjechał go odwidzić w zamku de Bourbilly i zaproponował mu dla rozrywki, aby z nim zechciał zapolować. Baron przyjął propozycyę i wyszedł na polowanie w stroju koloru sarniego. Przyjaciel jego, będąc nieco oddalony nie spostrzegł, że baron stał za krzakami; o zmierzchu wziął go za sarnę i strzelił do niego. Strzał był śmiertelny. Baron żył jeszcze kilka dni i przyjął SS. Sakramenta z najgorętszą pobożnością. Poddał się woli Bożej z zupełną rezygnacyą, pocieszał przyjaciela, który się oddawał strasznej rozpaczy; często powtarzał, że mu przebacza i żądał aby akt przebaczenia wpisany został w księgach parafialnych wraz z zakazem, aby nikt, ktobykolwiek on był, nie ważył się napadać ani prześladować jego nieszczęśliwego przyjaciela, któremu nie można przyczytać wypadku niedobrowolnego. Zasnął na rękach swej małżonki, której smutku opisać nie podobna.

Baronowa Chantal została wdową w 28 ro-

ku życia. Miała sześcioro dzieci, z których czworo jeszcze żyło. Jakkolwiek wielką była jej boleść, znosiła ją pomimo to z rezygnacyą i wytrwałością podziwienia godną; sama się dziwiła, że P. Bóg w tak widoczny sposób wzmacnia ją do zniesienia najboleśniejszej straty. Ofiarowała się P. Bogu na zniesienie wszelkich krzyżów, jakie jej raczy zesłać; uczyniła Mu ze siebie najdoskonalszą ofiarę ze swej osoby i już naprzód przyjmowała wszystkie ciosy, jakie jej Bóg w swej mądrości zesłać raczy. Ta wspaniała hojność tak się Bogu podobała, że wybrał cnotliwą wdowę na założycielkę zakonu i na jednę z najsławniejszych Świętych Kościoła swego. (Schouppe III. 358).

Z życia św. Franciszka Salezego.

Kiedy człowiek czuje, że ma powołanie do stanu małżeńskiego, powinien z modlitwą połączyć roztropność; roztropność zaś domaga się, abyśmy zasięgli rady człowieka roztropnego i bezinteresownego.

Jeden ze sług św. Franciszka Salezego, Franciszek Favre powziął zamiar poślubienia młodej, bogatej i cnotliwej wdowy, nazwiskiem Clavel. Pewnego dnia przyszło mu na myśl, napisać do niej list z oświadczeniem o jej rękę, gdyż sądził, że listownie

łatwiej będzie mógł wynurzyć swe myśli i uczucia, jak ustnie; ale właśnie gdy zajęty był pisaniem, pan jego św. Franciszek Salezy wchodzi do jego pokoju.

Natychmiast rzuca pióro, usuwa kałamarz, a list chowa do szuflady. Święty biskup, nic nie mówiąc, przeszedł się kilka razy po pokoju, a potem patrząc na młodzieńca, rzekł:

— Franciszku, nieprawda, że gdy wszedłem, ty coś pisałeś?

Ten zaś zawstydzony, nie wiedząc, co odpowiedzieć, milczał.

— Cóżeś to pisał? — zapytał biskup.

A widząc że nic nie odpowiada, zapytał znowu:

— Czyż ja nie jestem także jednym z twych przyjaciół, że mi się nie chcesz zwierzyć?

Temi słowy ośmielony, opowiedział wszystko. Święty biskup wziął tedy list, przeczytał go i rzekł:

— Ty się na tem nic nie rozumiesz.

I zaraz usiadł i własnoręcznie napisał list, pełen prostoty i grzeczności mówiąc:

— Oto masz, odpisz ten list, podpisz się, i poszlij go. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

Favre posłuchał, a w kilka dni potem, wdowa ujęta grzecznością i skromnością z jaką ów młodzieniec prosił o jej rękę, przyszła do świętego biskupa z prośbą o ra-

dę. Ten zaś poradził jej, że za Favra iść może, i że Bóg będzie im błogosławił, co się też ziściło.

Inny jego służący, chcąc się żenić, poszedł potajemnie, by tę rzecz ukryć przed swym panem, do osoby, z którą chciał się żenić, i oświadczył się o jej rękę. Św. Franciszek dowiedziawszy się o tem, czynił mu ojcowskie wyrzuty za taką nieszczerość i obiecał mu pomoc w jego przedsięwzięciu. Człowiek ten wzruszony do głębi taką dobrocią, odrzekł:

— Jestem aż nadto szczęśliwy, żem jest sługą takiego pana; wolę się nie żenić, jak takiego pana porzucić.

— Nie — odrzekł św. Franciszek; — ta osoba jest odpowiednia dla ciebie; to małżeństwo będzie szczęśliwe, ja usunę wszelkie trudności, które powstać mogą i jakoś się to zrobi.

Rzeczywiście małżeństwo to przyszło wkrótce do skutku.

Lecz jeżli święty Franciszek tak chętnie pomocy swej udzielał swym służącym do małżeństwa, jeżli sądził, że mają doń powołanie, to nie mniej starał się dobrocią swą odradzić im takowe, jeżli sądził, że ono nie będzie szczęśliwe.

Tak naprzykład pewien młodzieniec bardzo dzielny, miły w obejściu i nie mniej cnotliwy, który był w jego służbie, przyszedł

dnia jednego do św. Franciszka i opowiedział mu, że kilka bardzo korzystnych partyj mu się trafia.

— Moje drogie dziecko — rzekł święty Franciszek — ja kocham twoją duszę jak moją własną; niema dobra którego bym ci nie życzył i niechciał udzielić, gdybym mógł to uczynić. Sądzę, że o tem nie wątpisz. Ale zdaje mi się, że jesteś jeszcze za młody do małżeńskiego stanu, i że w dojrzalszym wieku i z większą rozwagą trzeba do tego stanu wstępować.

Rozważ to dobrze, bo gdy się już ożenisz już nie będzie czasu się cofnąć. Małżeństwo, to zakon, w którym składa się profesyę, przed odbyciem nowicyatu; i gdyby przed ślubem był rok próby, jak przed profesyą w klasztorze, byłoby bardzo mało profesów.

Zresztą czemu mnie chcesz porzucać? Jestem już stary i wkrótce umrę, po mojej śmierci możesz się urządzić jak chcesz. Zostawię cię memu bratu, który się postara dla ciebie o los tak korzystny, jak te partye, które ci się trafiają. Mówiąc te słowa, święty biskup miał łzy w oczach; a to tak wzruszyło młodzieńca poczciwego, że się rzucił do stóp jego, mówiąc, że mu aż do śmierci służyć będzie.

— Nie, moje dziecko — dodał św. biskup, ja nie żądam wcale ofiary twej wolności,

lecz daję ci radę przyjacielską, jakąbym dał własnemu bratu, gdyby był na twem miejscu. (Z życia św. Franciszka).

Roztropność dziewicy.

Osoba, która idzie za człowieka bez religii, wystawia się na niebezpieczeństwo prawie pewne utraty tak doczesnego jak i wiecznego szczęścia. Wierna tej zasadzie pewna roztropna panna, dała odkosza młodzieńcowi, który się o jej rękę oświadczył.

Wychowana od matki chrześcijańskiej, była bardzo cnotliwą; łaska udoskonaliła naturę, a co do majątku nie zostawało nic do życzenia. Była to więc, jak mówią partya ze wszech miar bardzo korzystna. Rodzice oszukani, jak się aż nadto często zdarza, wybrali dla niej na męża człowieka młodego, który posiadał wszystko, prócz tego, co jest istotną zaletą. Był zdolny i bogaty, ale — niemiał ani religii ani zasad.

Już dzień ślubu się zbliżał, gdy narzeczony niechcący wyrzekł słowo, zdradzające jego przekonania. Dowiedziano się od niego, że człowiek nie jest niczem innem, jak „maszyną czującą i organiczną“. Spostrzegłszy, jakie wrażenie wywarło na jego narzeczonej tak jawne wyznanie niemądrego materyalizmu, natychmiast chciał się wycofać z tak przykrego położenia, mówiąc jej:

— Pani jesteś wprawdzie maszyną, ale od Boga urządzoną, duchową i miłości godną!

Narzeczona jednak przerwała tę rozmowę, którą się czuła nadzwyczaj urażoną; opowiedziała wszystko swej cnotliwej matce i za jej zgodą, napisała doń bilecik następującej treści:

— Przeraziłeś mnie pan, mówiąc, że jesteśmy tylko maszynami; chociażeś mnie pan przyozdobił tak świetnemi przymiotami, ja sądzę, że jeżli ktoś jest prawdziwie delikatnym, zostawi tej, którą pragnie uszczęśliwić, te słodkie przekonania, które daleko bardziej są właściwe szczęściu, jak owe zimne pojęcia o maszynie i o materyi; zdaje mi się, że takie pojęcia nie sprzyjają cnocie. Zdumiałam się, jak mogły takie pojęcia powstać w duszy tkliwej i kochającej. Zdaje mi się, że człowiek wkrótce sprzykrzy sobie maszynę, choćby ona była nawet piękną, gdyż piękność długo nie potrwa, a wtedy jakiegoż szczęścia może się kobieta spodziewać od męża-maszyny?

Wprawdzie ów młodzian obiecał otrząść się ze swych zasad; ale to nic nie pomogło. Ożenił się z inną, ale stał się złym małżonkiem, złym ojcem, jak niegdyś był złym synem.

(Mérault, Apologistes involontaires).

Cnotliwy lekarz.

Szczęśliwi małżonkowie, którzy zawierając małżeństwo nie zapominają o bojaźni Bożej i do tak ważnej sprawy prawdziwie po chrześcijańsku się zabierają.

W październiku 1829 roku odbywał się w Paryżu ślub, którego okoliczności tak były budujące, że go można postawić za wzór do naśladowania. Nowożeńcem był młody lekarz. Jeden z przyjaciół wprowadził go w dom bardzo zacny, czyniąc mu nadzieję otrzymania ręki jedynej córki, niemniej pobożnej, jak cała rodzina. Wkrótce się oświadczył i otrzymał odpowiedź bardzo pomyślną.

Już tylko dziesięć dni było do ślubu, gdy młody lekarz przyszedł do matki swej narzeczonej i prosił ją, by mógł sam na sam pomówić z panną Emilią.

— To być nie może, mój panie — odrzekła matka grzecznie, córka moja ma się niedobrze od dwu dni i potrzebuje spokoju.

— Moja pani, bardzo mi jest przykro, że nie mogę chwilkę porozmawiać z Jej córką; ledwie trzy czy cztery razy widziałem ją w towarzystwie: dotychczas nie miałem sposobności wynurzyć jej swobodnie mych uczuć i poznać ją bliżej.

— Usilne prośby pańskie sprawiają mi przykrość; ale moja córka jest niewidzialna.

— Miałbym jednak bardzo ważną rzecz jej powiedzieć.

— Zawołam ją, jeżli pan sobie życzysz i powiesz jej pan to w mej obecności; nigdy jeszcze moja córka nie rozmawiała sam na sam z mężczyzną.

— Ależ wkrótce będę jej mężem!

Wtenczas mój panie córka moja nie będzie już należała do mnie; ale aż do tego czasu powinnam względem niej spełnić wszystkie obowiązki chrześcijańskiej i roztropnej matki.

— Ach pani — zawołał lekarz — muszę więc pani powierzyć moje zamiary. Ja sam będąc wychowanym od rodziców religijnych, pozostałem zawsze wiernym tej świętej religii, która pani tak zacne postępowanie nakazuje. Obojętność religijna, która na nie szczęście tak jest powszechną wśród moich kolegów, mogła panią nieufnością napełnić; ale ja nietylko nie jestem obojętnym w rzeczach religii, ale owszem pokładam moją chlubę i honor w zachowaniu wszystkich praktyk naszej św. wiary; im więcej je badałem, tem wznioślejszemi i piękniejszemi mi się wydały. Jeżli tak nalegałem, abym się mógł sam na sam z pańską córką rozmówić, czyniłem to dla tego, aby jej usposobienie w tej mierze wybadać i prosić ją, aby przed ślubem uczyniła spowiedź z całego życia, aby tym sposobem przygotowała się godnie do

otrzymania wszystkich łask, jakie z błogosławieństwem kościelnem są połączone.

Na te słowa matka nie mogła się od łez powstrzymać i rzekła do cnotliwego lekarza:

— Więc dobrze, mój synu, będziemy wszyscy komunikowali! idź do swej narzeczonej i powiedz jej, żem cię nazwała synem. Idź pobożny młodzieńcze, uczucia twe ręczą mi za szczęście twoje i mojej córki.

Przez cały tydzień przed ślubem, codzień odprawiała się Msza św., aby uprosić dla nowożeńców wszelką obfitość błogosławieństwa niebieskiego. Najpiękniejszy jednak widok przedstawił się w sam dzień ślubu. Oboje nowożeńcy przystąpili do Stołu Pańskiego; on w towarzystwie swych rodziców płaczących z radości, ona w towarzystwie swej matki i babki.

Jak piękny to przykład dla młodzieży! Jak dobra nauka dla tylu rodziców nieroztropnych lub zapominających na religię, kiedzie o wydanie córek za mąż!

(Schouppe III. 367).

Najskuteczniejszy środek.

Czyż niema środka na złe małżeństwa? Gdy serca małżonków są poróżnione, gdy jedno jest tylko katem drugiego, czyż mogą powrócić do zgody i miłości? Tak jest, przez łaskę Pana naszego Jezusa Chrystusa, który

przyszedł na ziemię, aby uleczyć nasze choroby.

Niech małżonkowie nieszczęśliwi, najprzewrotniejsi zwrócą się do Boskiego Serca Jezusa Chrystusa, jako źródła świętej i chrześcijańskiej miłości, a zaczerpną w niem miłość małżeńską, zjednoczenie serc, które ich uszczęśliwi.

Będzie temu ze 20 lat, jak w pewnej parafii odbywała się misya duchowna. Chcąc aby jak najobfitsze wydała owoce, proboszcz wystawił ku czci publicznej bardzo piękny obraz Serca Jezusowego. Jedna kobieta, matka kilkorga dzieci, której mąż był gorszącym pijakiem i niegodziwym ojcem, błagała tegoż, aby przecież poszedł i posłuchał tak pięknych nauk misyjnych. Ale za całą odpowiedź otrzymała kilka kułaków i przekleństwo.

Gdy misya już się miała ku końcowi, rzekła doń:

— Idź przynajmniej i zobacz prześliczny obraz Serca Jezusowego, który jest wystawiony w kościele; wszyscy go podziwiają.

— O, na obraz popatrzyć, to pójdę.

Idzie rzeczywiście i siada przed świętym obrazem. Patrzy nań zrazu jak na obraz w galeryi; ale następnie zatrzymał wzrok swój na szerokiej ranie Boskiego Serca i na krzyżu co z tego Serca wyrasta. Przypomina sobie, że to dla niego Serce Zbawi-

ciela zostało przebite; przychodzi mu na myśl, że to on jest tym niewdzięcznikiem, który przez swe grzechy zatknął krzyż w tem Sercu. Wkrótce owładnęło nim wzruszenie, łzy zaczęły płynąć po policzkach. Idzie do spowiedzi, i odchodzi zupełnie nawrócony aby przystąpić do Stołu Pańskiego.

Po dziękczynieniu powraca do domu pełen radości, opowiada swe szczęście żonie i dzieciom, ściska je serdecznie, błaga wszystkich o przebaczenie i rzecze:

— Do dziś dnia dawałem wam tylko zgorszenie i byłem waszym katem — odtąd sprawiać wam będę tylko pociechę i radość.

Dotrzymał słowa. Rodzina ta nieszczęśliwa, która była piekłem, stała się przez Serce Jezusa obrazem raju ziemskiego.

(Schouppe III 385).

Co może dobra żona?

Niedaleko od wioski w Allgäu stoi chata murowana, własność Jana Z. Z dobrą i bogatą żoną zawitał pokój do niej, ale nie długo było tego pokoju. Żona jego Elżbieta, córka młynarza, była bardzo cicha i spokojna, matka dawno ją odumarła; ojciec pobożny, ale małomówny człowiek, zajmował się młynem, a jedyny syn jego wraz z siostrą, uprawiali rolę. Po wyjściu jej za mąż wszystko zrazu szło dobrze. Jan jej

mąż, pracował pilnie wraz z parobkiem, synem pobożnych rodziców w polu, a Elżbieta skończywszy pracę w domu, pomagała.

Jan Z. będąc już pewnym majątku, zrzucił maskę, pod którą kryła się lekkomyślność i niedowiarstwo, które zgrozą przejęło poczciwą żonę. Od rana do wieczora szydził z modlitwy a w niedzielę nie poszedł do kościoła, tylko do pobliskiego miasteczka, gdzie wkrótce znalazł przyjaciół i równomyślących towarzyszy, tak, że nieraz zabłądził i albo w lesie albo na drodze pijany nocował. Zrazu starał się i żonę różnemi żartami od modlitwy i kościoła odwieść, ale gdy spostrzegł, że to nic nie pomoże, wylał cały swój gniew na nią, a biedna Elżbieta tak przykre wiodła życie, jakiego nigdy przedtem nie zaznała.

Tymczasem Jan Z. coraz bardziej się psuł i zbliżał się do przepaści, bo wróg zbawienia coraz go więcej na bezdroża prowadził. Elżbieta sama nie mogła nastarczyć pracy a uczciwych sług nie można było dostać, wskutek postępowania niegodziwego gospodarza. W ten sposób rola została zaniedbana a po kilku latach i obora próżna. Stary młynarz, ojciec Elżbiety, z boleścią i gniewem spoglądał na początki tego upadku, ale umarł, nim nędza najwyższego dosięgła stopnia: syn zaś jego, a brat Elżbiety szczęśli-

wie ożeniony, niechciał z lekkomyślnym szwagrem swoim nic mieć do czynienia.

Tak tedy Elżbieta była osamotniona w swojem zmartwieniu, gdyż nawet dawni znajomi odsunęli się od niej z powodu męża; nie chciała zaś męża swego oskarżać nawet przed proboszczem i w milczeniu znosiła ten ciężki krzyż. Jedyną a zapewne najpewniejszą jej ucieczką był Bóg, który sług swych nigdy nie opuszcza. Dzień i noc modliła się o światło dla swego zbłąkanego męża.

Przytem i o ubogich nie zapominała i nie mniejsze kromki chleba dla nich krajała jak przedtem, choć mąż na ubogich chciał oszczędzić, co lekkomyślnie na karty tracił, a proszących nieraz klnąc i łając z domu wypędzał a żonie gorzkie za uczynność jej czynił wyrzuty. I owszem nieraz na wyrzutach się nie skończyło. Do tego wreszcie doszło, że Elżbieta, nie chcąc męża do najwyższego stopnia drażnić, tylko w skrytości mogła się modlić i dla tego na strychu znalazła sobie spokojny kącik, gdzie nieraz w samotności ze łzami Boga błagała o litość. Tam też schowała skrzyneczkę, w której miała swe książki do modlitwy i kilka pamiątek; mąż jej, widząc to, szydził z niej rubasznie mówiąc:

— Nie prawda, że do tej skrzynki chowasz te „Bóg zapłać“ od żebraków? Zobaczysz, co one ci pomogą.

Ale Elżbieta milczała.

Pewnej nocy w listopadzie wybuchł w stajni z powodu nieostrożności pijanego Jana pożar, w krótkim czasie i dom i stodoła i wszystkie budynki stały w płomieniach, tak iż prócz kilku sztuk odzieży nic nie można było ocalić. Jan zraził sobie wszystkich swoją dzikością — nikt też oń niedbał; została tylko wierna małżonka. Ona to wzięła go za rękę jak dziecko, i łagodnie a cicho doń przemówiła, tak, iż serce mu zmiękło i pierwsza łza skruchy z oczu jego trysła. Potem zawiodła go do ks. proboszcza, który u swej siostry umieścił żonę, a jego przyjął do plebanii, ażby się dla nich miejsce znalazło.

Za kilka dni udał się Jan z żoną na pogorzelisko, aby zobaczyć czy się nie da jeszcze co użyć do nowego budynku. Elżbieta przystawiła drabinę do muru i spuściła się do wnętrza. Tu wśród gruzów spostrzegła swą skrzyneczkę z książkami, które były zupełnie nietknięte. Potem zawołała męża i rzekła:

— Patrz, moje „Bóg zapłać“ się nie spaliły.

W rok potem stał nowy dom na miejscu spalonego, ale i nowy człowiek w nim mieszkał. Jan Z. zmienił się zupełnie, porzucił złe towarzystwo, karty i pijaństwo, pracował pilnie, aby zaległe długi pospłacać a

dzwony kościelne nie dzwoniły nań daremnie. Elżbieta zaś z rozpromienionem obliczem patrzała na swe dziatki, i na męża, który już nie klął ani wyganiał ubogich, ale niemniej się radował jak żona, gdy słyszał: „Bóg zapłać“. (Erb. St, 1891. 41).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki T. J.

L. 861.

POZWALAMY DRUKOWAĆ. W zastępstwie JEminencyi
(L. S.) *X. Gawroński.*

Kraków 28 Lutego 1893.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

VI. Małżeństwo.

(Ciąg dalszy).

Święty Franciszek Borgiasz.

Aby mieć pojęcie, jak Sakrament małżeństwa uświęca prawdziwego Chrześcijanina, wystarcza spojrzeć na św. Franciszka Borgię, księcia Gandyi i wicekróla Katalonii. Będąc w 18 roku życia posłany na dwór Karola V cesarza, dawał na dworze tegoż przykład pobożności i wszystkich cnót chrześcijańskich. Jego wielka skromność wobec kobiet, kiedy miał obowiązek z niemi rozmawiać, dowodziła, do jakiego stopnia miłował cnotę czystości.

Tak wzorowem postępowaniem zasłużył sobie na powszechny szacunek. Cesarz go czcił, a cesarzowa, która jak cesarz była dlań czcią przejęta, powzięła zamiar ożenić go z Eleonorą de Castro, którą z sobą przywiozła z Portugalii, a która łączyła w sobie

z świetnem urodzeniem rzadką pobożność wraz z wszystkiemi przymiotami umysłu i serca. Cesarz pochwalił ten zamiar i postarał się o przyzwolenie księcia Gandyi, ojca św. Franciszka. Sam św. Franciszek przystał na to małżeństwo, gdyż znał wysoką cnotę Eleonory i chciał zadośćuczynić woli ojca i rodziny, której ten związek bardzo się podobał. Widząc się wciąż wystawionym na niebezpieczeństwo ze strony świata, sądził, że się lepiej odeń zabezpieczy przykładami osoby tak mądrej i cnotliwej przez łaskę sakramentalną.

Skoro wszystko było gotowe do ślubu, Franciszek i Eleonora przygotowali się doń aktami najgorętszej pobożności, aby na się ściągnąć błogosławieństwo niebios. Bóg ich rzeczywiście obsypał łaskami wszelkiego rodzaju i błogosławił ich związek taką płodnością, potomstwem tak licznem i świetnem, że największa część najzacniejszych panów Hiszpanii uważają to sobie za zaszczyt, że pochodzą albo w prostej, albo w ubocznej linii od św. Franciszka i mają to sobie za najpiękniejszy tytuł szlachectwa, że ich dom łączy się pokrewieństwem z domem świętego Franciszka Borgii.

Franciszek był nadzwyczaj hojny na ubogich; zajmował się starannie rodziną, służbą i sprawami publicznemi, które mu zostały powierzone. Był pilnym w pracy, ale umiał

też z umiarkowaniem użyć uczciwej rozrywki, aby swe siły pokrzepić. Muzyka była jego ulubioną zabawą; grał na kilku instrumentach i śpiewał bardzo wdzięcznie, nigdy jednak nie śpiewał piosnek światowych. Sam też był kompozytorem i ułożył wiele pieśni, które śpiewano w niektórych hiszpańskich kościołach, a które zwano dziełami księcia Gandyi.

Dzień próby niedługo przyszedł. Eleonora de Castro, jego zacna i godna małżonka, zachorowała niebezpiecznie; pomimo wszelkich starań i środków lekarskich, życie jej zbliżało się ku końcowi. Książe musiał użyć wszystkich sił swej duszy, aby się zgodzić z wolą Bożą. Podług zwyczaju udał się na modlitwę i błagał o wyzdrowienie chorej małżonki; lecz P. Bóg dał mu poznać, że to wyzdrowienie ani jemu ani Eleonorze nie będzie korzystne. Święty książe zdał się na wolę Bożą i złożył Bogu ofiarę najczystszą nietylko z życia swej małżonki, ale i ze swego, z życia swych dziatek i ze wszystkiego co posiadał na świecie.

Wkrótce po tem zupełnem zdaniu się na Bożą wolę, księżna umarła, a książe poświęcił się, zaopatrzywszy swe dzieci, Panu Bogu w Towarzystwie Jezusowem.

(Schouppe III: 362).

Która z nich najszczęśliwsza?

W N. parafii nad Renem mieszkają w sąsiedztwie trzy wieśniacze rodziny. W tych trzech rodzinach były trzy córki: Anna, Elżbieta i Agnieszka. W dziecinnych latach łączyła je szczera przyjaźń; chodziły razem do kościoła, do szkoły i obcowały ze sobą jak najpoufalej.

Skoro jednak wyszły ze szkół, powoli zaczęła ich przyjaźń ziębnąć, aż przeszła w zupełne zobojętnienie a nawet niechęć. Anna i Elżbieta powoli zaczęły gonić za zabawami i chciały „użyć świata póki służą lata". Gdy więc tylko jakabądź zabawa odbywała się we wsi, Anna i Elżbieta zawsze tam być musiały; Agnieszka zaś, będąc w szkole jedną z najlepszych dziewcząt, została wierną zasadom, jakie jej poczciwi rodzice wszczepili; osobliwie zaś nie uczęszczała na zabawy tańcujące. Nawet po roku służby powróciła do domu tak poczciwą i dobrą, jak była przedtem; skromna w odzieniu, pobożna i cnotliwa, i teraz jeszcze nie bywała na tańcach.

Tymczasem jej dawne przyjaciółki, Anna i Elżbieta także poszły na służbę — do hotelu — a powróciwszy starały się strojami i wielkomiejskiemi manierami nad inne swe wiejskie rówieśnice wynieść. Nieraz spotkawszy Agnieszkę, nazywały ją „głupią",

że młodych swych lat tak użyć nie umie, a mianowicie prześladowały ją za to, że nie bywa na tańcach.

— W ten sposób — mówiły jej raz — nigdy za mąż nie wyjdziesz.

— No — zwykła była odpowiadać — czy wyjdę za mąż, to sam Pan Bóg wie, w każdym razie z karczmy męża nie wezmę ani z tańców.

Zaledwie Agnieszka wybyła rok w domu, gdy jeden z najbogatszych i najuczciwszych synów kmiecych prosił o jej rękę. Agnieszka wyszła za mąż, a małżeństwo to było bardzo szczęśliwe.

Anna zaś i Elżbieta nie przestały szukać zabaw i rozrywek a zwłaszcza w tańcu, tym sposobem dostać męża.

Annie się nie udało; nikt o nią się nie starał i dotąd żyje jeszcze w domu rodzicielskim, niezadowolona z siebie i ze świata, cały dom ma z nią istny krzyż Pański.

Elżbieta znalazła sobie wprawdzie męża, ale takiego, że cała wieś się zdumiała, że ona taka „pani“ wyszła za tak lekkomyślnego człowieka, który nie daje żadnej rękojmi utrzymania. Jakoż istotnie małżeństwo to stało się bardzo nieszczęśliwe: mąż pijak, gracz i nicpoń pierwszej klasy, Elżbieta niewymownie nieszczęśliwa, zwłaszcza, że coraz więcej wpadali w ubóstwo i nędzę.

Przykład to odstraszający. Złote są słowa Agnieszki:

„Z karczmy i tańców męża sobie nie wezmę“. (Erb. St. 1891. 7.).

Uboga oblubienica.

Trzej przyjaciele — panowie już nie młodzi — siedzieli raz we środę wieczór przy szklance piwa i mówili o wypadkach dziennych. Mianowicie opowiadano o pewnym urzędniku, który został skazany na więzienie za t. zw. defraudacyę, czyli poprostu za kradzież powierzonych sobie pieniędzy.

— Jego niegodziwa żona, ta rozrzutnica, która nic nie wniosła, tylko majątek męża trwoniła, temu winna! — zawołał jeden.

— To prawda; on się tylko dla piękności z tą dziewczyną ożenił, teraz ma za to zapłatę. Samochcąc przychodzi mi na myśl: kto sieje na ciele, zbierać będzie zgubę — rzekł drugi.

— Wogóle nie powinien się nikt żenić z dziewczyną, która nic nie posiada — mówił z udanem oburzeniem trzeci; — i żadna panna nie powinna myśleć o zamężciu, która nie ma majątku.

— Hm, to trudno, co ty mówisz, ale nie masz tak wielkiej niesłuszności; — odparł pierwszy. Te małżeństwa z tak zwanej szczerej miłości nic nie warte; trzeba i fun-

damentu, aby można żyć. A nierówność zwyczajnie nie dobra; oboje powinni mieć jednaki majątek, jedno nie powinno u drugiego żebrać i być na łasce drugiego, bo to na zawsze niszczy zgodę.

Uśmiechając się słuchał trzeci tych wywodów. Teraz rzekł:

— Ja także myślę, że wiele w tem prawdy, co mówicie. Ale, jak to mówią nie trzeba z kąpielą i dziecka wylewać. Ja twierdzę że są żony, które zaledwie kilkaset reńskich mają posagu, a nawet i tego nieraz nie mają, a jednak mężowie nie daliby ich za córki milionerów. U męża, którego obowiązkiem jest wyżywić rodzinę, główną rzeczą jest stanowisko, powołanie, sposób zarobkowania, chociaż i u niego fundamentem być powinien charakter chrześcijański; ale u oblubienicy, którą sobie mężczyzna wybiera, pierwszym warunkiem jest cnota, zalety chrześcijańskiej niewiasty, gospodarność i inne z nią połączone przymioty, gdzie to się znajduje, tam dobrze pójdzie, ale gdzie tego braknie, tam pieniądz ani szczęścia, ani wewnętrznej pociechy i zadowolenia, ani miłości nie zrodzi.

— Ta to całe kazanie! zauważył pierwszy z przyjaciół; — możnaby sądzić, żeś sam tego doświadczył.

— Dobrze mówisz, sam doświadczyłem.

— Ty? więc twoja żona była...

— Tak jest, była bardzo uboga, gdy za mnie wyszła; nie została też bogatą dziedziczką, a ja pojąłem ją jako lekarz jeszcze w początkach mej praktyki i doprawdy do dziś dnia nigdy tego nie żałowałem.

— To musi być zajmująca historya — rzekł tamten; — na twoje zdrowie doktorze; opowiedz nam historyę o ubogiej oblubienicy!

— Historya to bardzo prosta, wcale na romans się nie nadaje — rzekł doktor; — mogę wam wszystko opowiedzieć.

I tak zaczął:

— Raz wieczór w listopadzie szedłem przez jednę z najludniejszych naszych ulic. Stanąłem przed wystawą jasno oświeconą, chcąc się przypatrzyć jakiemuś obrazowi, gdy nagle uczułem, że mnie ktoś lekko szarpnął za palto. Obróciłem się chcąc wiedzieć kto mnie szarpnął i spostrzegłem małego chłopca koło mnie stojącego. Bose jego nogi były czerwone i sine od zimna; odzież choć nie brudna, ale wyszarzała i wytarta. Gdym na jego piękne rysy spoglądał, jakiś głos mówił mi, że to nie zwyczajny żebrak, a gdy spojrzał na mnie trwożliwie jasnemi oczyma swemi, żywo zainteresowałem się chłopczyną. Gdy spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem, spostrzegłem, jak usta jego drżały a policzki oblały się ciemnym rumieńcem.

Położyłem rękę na jego główce i rzekłem tonem najłagodniejszym:

— No, drogi chłopcze, ino nie płacz tak gorżko, powiedz mi raczej, co ci dolega.

Zdawało się, że moje słowa ośmieliły go nieco, ale musiałem go jeszcze raz zapytać, aby go skłonić do mówienia.

— Ach panie — rzekł nareszcie — mama moja już tak dawno, dawno chora, a teraz znowu Marynia zachorowała i nie może szyć; nie mamy ognia ani chleba i dlatego wyszedłem, aby...

Głos mu zamarł na ustach, ze wstydu odwrócił zarumienioną twarz swoją.

— Więc to jest? — zapytałem, gdy spostrzegłem, jak się wahał wymówić słowo: „żebrać“ — zaprowadź mnie do waszego mieszkania, będę może mógł twej matce i siostrze pomódz: ja jestem lekarzem.

Twarz chłopca rozjaśniła się i rzekł:

— Mogę pana zaprowadzić, ale u nas bardzo ubogo i...

Prowadził mnie przez wiele wązkich i brudnych ulic, aż wreszcie stanęliśmy przed małym, nędznym domkiem.

— Tu mieszkamy — rzekł i chciał już drzwi otwierać, gdym mu kazał w pobliskim sklepiku zakupić żywności, węgla i świecę, a sam czekałem na ulicy.

Już za kilka minut powrócił z koszem. Weszliśmy do ciemnej sieni i tu zaświeci-

łem świecę; potem po wązkich i stromych schodach weszliśmy na górę, on drzwi otworzył i zawołał głośno:

— O mamo, Pan Bóg jest dobry, jak dziś rano mówiłaś; patrz co ja tu przyniósł; teraz i ty Maryniu z pewnością będziesz zdrowa!

Matka leżała na nędznem łóżku w kącie izby; rysy jej twarzy nosiły ślady długich i ciężkich cierpień. Marynia siostra siedziała oparta na fotelu przy łóżku. Twarz jej była blada i zmęczona, ale widać było z jej oczu i całego obejścia niewinność i staranne wychowanie.

— Nie wątpię — rzekła matka słabym i drżącym głosem — że za łaską Bożą panu mamy tę pomoc w potrzebie zawdzięczyć.

— Tak mamo — rzekł chłopczyk — ten pan wszystko zrobił, on i ciebie i Marynię uleczy.

Przystąpiłem do łoża matki i prosiłem, by o tem nie wspominała, oświadczyłem, że jestem lekarzem i ofiarowałem jej i córce swoje usługi.

Matka podziękowała za mą usłużność i mówiła, że jej choroba niewiele znaczy i raczej jest skutkiem niedostatku.

— Ale z moją biedną dziewczyną — mówiła wskazując, na córkę — zdaje się jest gorzej. Ponad siły się natężyła i ciężko za-

chorowała; ona to przedewszystkiem pańskiej opieki potrzebować będzie.

Przystąpiłem do córki, wziąłem za puls, był powolny i słaby i przekonałem się, że jedyną przyczyną jej słabości był brak dobrego odżywiania się. Biedna dziewczyna odmawiała sobie najpotrzebniejszego posiłku, aby matce i bratu dogodzić, aż wreszcie siły ją zupełnie opuściły.

Wyszedłem oświadczając, że za dwie godziny przyjdę znowu z lekarstwami. Jakoż powróciłem wkrótce z kilkoma flaszkami wina, gdyż to było najlepszem dla nich lekarstwem.

Izba już inaczej się przedstawiała. W piecu się paliło, chłopczyk krzątał się ochoczo, bo już nie był głodny, a na twarzach obojga chorych zajaśniał promyk błogiej nadziei. Dawszy im przepisy co do używania lekarstw i zalecając by sobie wina nie żałowały, odszedłem obiecując, że jutro się dowiem znowu i starać się będę o ich potrzeby.

Wkrótce też matka i córka przyszły do zupełnego zdrowia, zabiegom moim udało się dla nich stósowne i korzystne znaleźć zajęcie. Aby się na nowo i wygodnie mogły urządzić, pożyczyłem im małą sumkę i jak się przekonałem najlepiej została użytą.

Już sześć tygodni minęło, moje pacyentki nie potrzebowały mej pomocy, a ja jednak

odwiedzałem je codzień. Po niejakim czasie, poznawszy cnotę i pracowitość Maryi, prosiłem o jej rękę. Matka rzekła:

— Serce pańskie jest zacne i dobre, ale i Marya stała się godną pana przez to, co dla mnie uczyniła. Szczęście zabłysło dla mnie na me stare lata i prosić będę Wszechmocnego, aby was oboje błogosławił.

W kilka miesięcy odbył się ślub, a teraz po upływie wielu lat pełnych nigdy nie zamąconego szczęścia, mogę wyznać, iż ta uboga oblubienica stała mi się wszystkiem na ziemi.

Ze wzruszeniem słuchali przyjaciele tego opowiadania, i trącili się szklankami. Po małej przerwie rzekł jeden z nich:

— Doktorze, nie dziw, żeś ty się tak szczęśliwie ożenił, pomimo ubóstwa twej małżonki; boś ty był zawsze dobrym chłopakiem; inaczej być nie może. — A drugi dodał:

— I poznałeś ją na drodze dobrego uczynku, a Bóg płaci szczerem złotem.

— Tak jest; Od Niego błogosławieństwo i szczęście każdego małżeństwa zawisło i to od Niego jedynie — tak będzie na wieki, dokończył doktor.

(Erb. St. 1888. 42.).

Dziwna zmiana.

— Powiedz mi bracie, co się to stało? rzekł robotnik do kolegi; — od czasu jak mnie w domu nie było, wszystko się u ciebie tak bardzo zmieniło.

— Tak jest, i nie wstydzę się opowiedzieć ci tego, com przeżył. Miałem ci żonę, co nic a nic nie pracowała; ani ściegu nie zrobiła, ani uszyła, ani załatała.

Nasze dzieci tak były brudne i zaniedbane, że ich dotknąć się nie było można; ja sam musiałem chodzić obdarty, a o jakiem porządnem jedzeniu ani myśleć. Za to kłócić się z sąsiadkami, dzieci i męża zostawić i pójść na tańcujący wieczorek, to było życiem mej żony. Ja, muszę ze wstydem wyznać, nie mając przyjemności w domu po całodziennej pracy, szukałem pociechy w kieliszku, przesiadywałem w szynkowniach a gdym wrócił do domu, przychodziło do kłótni i do bicia. Ja nieszczęśliwy com nawet w piekło nie wierzył, miałem — szatana w domu.

Razu jednego odważył się nasz stary proboszcz, który słyszał o naszej nędzy i niezgodzie, przyjść do nas. Żona moja, która go od pierwszej Komunii nie widziała, chciała się skryć przed nim.

— Powoli, powoli! — zawołał sędziwy kapłan — proszę nie uciekać. Choć to nie-

stety prawda, że cię nie często widuję w kościele, to tem bardziej proszę cię teraz mnie posłuchać. Czyż sobie nie wyrządzasz wielkiej krzywdy, czyniąc się dobrowolnie nieszczęśliwą? Gdybyś była została tą dobrą, pobożną dziewczynką, jakąś była przy pierwszej Komunii, to ani ty, ani twój mąż, ani wasze dzieci nie bylibyście tak nieszczęśliwi, i nie cierpielibyście tak wiele. Zechciej wreszcie uznać, że wina leży w tobie. Gdyś wychodziła za mąż, był mąż twój dobrym i poczciwym robotnikiem. Jeźli teraz za wiele pije, to wprawdzie jego grzech, ale powodem tego jesteś ty, bo twem postępowaniem zmuszasz go niejako szukać po za domem uciechy. Gdybyś się starała osłodzić mu i uprzyjemnić pobyt w domu, toby on nie chodził tak często do szynkowni. Czy to nie nędzne gospodarstwo, jeźli żona tylko biega po całej wsi, a mąż staje się pijanicą? Gdyby twój mąż miał odzież uczciwie połataną a w niedzielę czystą bieliznę, gdybyś twe dzieci porządnie umyła i uczesała i jak się patrzy z niemi na Mszę św. poszła, tobyś obaczyła, jak wszystko byłoby inaczej!

Tak mniej więcej mówił zacny proboszcz. Żona moja zaś, która nie jest tak głupia, pomyślała sobie: Ano, spróbuję! I od tego czasu wszystko się zmieniło.

„Religia tylko dla takich ludzi jest straszną, którzy jej nie znają“ mawiać lubi

nasz stary proboszcz. Gdyby robotnicy wiedzieli, co znaczy niedziela, toby woleli może dwie niedziele na tydzień, a żadnego nie chcieliby poniedziałku. Nie trzeba sądzić, że Pan Bóg chce, aby kobiety cały dzień w kościele siedziały ze szkodą gospodarstwa. Toby było bardzo przewrotnie. Pan Bóg nie chce, żeby mąż chodził obdarty, żeby gospodarstwo było zaniedbane, bo religia przedewszystkiem żąda, aby mąż i żona wzajemnie sobie pomagali i we wszystkiem dobrem się wspierali, aby przez pracowitość, łagodność i wspólne znoszenie krzyża, który każdy chrześcijanin znosić powinien, życie sobie osładzali i uprzyjemniali, aby swe dzieci do pobożności i pracy przyuczali i ile możności zdala od ulicy trzymali".

Gdy moja żona, która, jak powiedziałem, nie jest głupia i ma odwagę, poznała, ile możemy zyskać, słuchając upomnień naszego proboszcza, wzięła się gorliwie do pracy a teraz wątpię, czy są na świecie szczęśliwsi małżonkowie jak my. Gospodarstwo nasze to raj prawdziwy. Wszystko u nas w najlepszym porządku. Patrz n. p. na tę szafę, jaka czysta i jak wszystko w niej leży na swojem miejscu! Dawniej prawie nie wychodziłem z szynkowni i wszystko przepijałem com zarobił. Teraz ani myślę o tem; co tydzień jeszcze 5 marek wkładam do skarbonki. Mam zawsze czystą bieliznę,

dziatki, na które aż miło patrzeć, mam dobry chleb, mięso, prócz dni postnych, i dobrą troskliwą gospodynię, która nie dozwoli, aby mi na czem zbywało.

Tak więc moja żona, jako była przyczyną główną naszego nieszczęścia, przez swą szczerą poprawę stała się także główną przyczyną naszego obecnego szczęścia.

Po Bogu jednak zawdzięczamy to oboje naszemu zacnemu proboszczowi.

(Erb. Stund. 1885. 14).

Co ja też zgubiłem?

Pewien zakonnik Franciszkanin opowiedział nam następującą historyę, z której widać, jaki wpływ wywrzeć może na męża cnotliwa małżonka.

Mąż znanej mu pani, stary oficer, wychowany był bardzo bogobojnie od swej pobożnej matki; ale życie żołnierskie wszystkie te dobre nauki zagłuszyło; był to zresztą prawy człowiek, ale w miejsce silnej wiary powstały nasamprzód wątpliwości, aż w końcu wpadł w zobojętnienie religijne, które tak często jest tylko pokrywką bezbożności.

Żona jego nieraz gorzkie łzy wylewała nad smutnym stanem duszy swego małżonka, którego aż nadto miłowała, aby jej było obojętnem jego zbawienie. Jakże często w gorącej modlitwie błagała o nawrócenie męża,

który na szczęście tak jej jako i córce zupełną zostawił wolność co do obowiązków religii.

Do wielkiej boleści nowa się boleść przyczyniła; mąż bowiem oświadczył jej, że został wolnomularzem. Powiedział to tonem wcale obojętnym i nie zauważył, że żona jego na tę wieść od przerażenia pobladła i córkę do serca przytulała, jakby liczyła na potęgę jej niewinności, która miała ocalić ojca i męża od zguby wiecznej.

W pokoju swoim miała statuetkę świętego Antoniego z Padwy. Skoro na nią spojrzała, przyszła jej nagle myśl, która ją pociechą napełniła.

— Moje dziecię — rzekła do córki — módl się wiele i gorąco do św. Antoniego, aby twój ojciec znalazł to, co stracił.

— A cóż tato utracił? zapytało dziecko.

— Potem się o tem dowiesz, módl się tylko i nic ojcu o tem nie mów!

Z dziecinną prostotą wzniosła dziewczynka niewinne swe oczy do statuetki, i złożywszy ręce tak się modliła serdecznie:

— O święty Antoni, spraw, aby mój ojciec to znalazł, co stracił.

W tej chwili drzwi się otwarły i wszedł ojciec, chcąc matce powiedzieć, że zamyśla wyjść na przechadzkę. Odchodząc, myślał nad słowami które słyszał przy wejściu, jak

się córka modliła: „Co ja też mogłem stracić?“ pytał samego siebie.

— Zapewne żona coś zarzuciła, ale dziwny pomysł, taką rzecz przed statuą wygłaszać. Ale cóż też na tem zależy? Ona tak dobrą jest żoną i matką. Muszę jej jednak powiedzieć, aby była spokojna; bo zresztą, gdybym coś i zgubił, tobym spostrzegł przecież.

W pierwszych dniach czerwca pogoda była tak piękna, że oficer wolał wieczór spędzić na świeżem powietrzu, jak siedzieć w loży.

— Dobra myśl — rzekł do siebie — zabiorę żonę i córkę i urządzimy wspaniałą przechadzkę... ale... co ja też straciłem?

Żona bardzo się cieszyła z tego i spojrzała wdzięcznem okiem na statuę św. Antoniego; ukryła tę radość, ale się zarumieniła, gdy ją mąż nagle zapytał:

— Powiedz mi przecież, czy rzeczywiście ja coś straciłem?

— Czemuż mnie o to pytasz?

— Bom słyszał, jak nasze dziecko te słowa mówiło.

Na tem stanęło; ale zakłopotanie żony nie uszło jego uwagi; nieraz też jeszcze pytał samego siebie: „Co ja też zgubiłem?

Wieczór 12 czerwca była matka wraz z córką w pokoju; statuetka przywiodła dziecku na pamięć zlecenie matki i z dziecięcą pobożnością znowu rzekła:

— O święty Antoni, daj aby mój ojciec to znalazł, co zgubił!

— Powiedz mi przecież co zgubiłem — zawołał zniecierpliwiony ojciec, właśnie wchodząc do pokoju. Od ośmiu dni ta myśl nie daje mi spokoju; dobrzebyś zrobiła, gdybyś mi powiedziała; wtedybym mógł osądzić, czy warta dziecko tą rzeczą utrudzać.

Wtenczas żona wstała i spokojnie ale i z powagą rzekła:

— Mój drogi, powiedz mi, czy miłoby ci było, gdybyś mnie miał na zawsze porzucić?

— O, jeźli o to się boisz, i dlatego się modlisz i do kościoła chodzisz, to sobie możesz oszczędzić trudu.

— A jednak jeźli nie znajdziesz tego coś zgubił, to się musimy rozłączyć i to rozłączyć na zawsze!

Głos jej drżał od wzruszenia, a oczy łzami się napełniły.

— Cóżem ja zgubił? powiedz!

— Wiarę! wiarę zgubiłeś, której cię niegdyś matka twa nauczyła... A ponieważ ja nie chcę z tobą się ani w wieczności rozłączyć, to koniecznie potrzeba, abyś tę wiarę odszukał.

Żona znowu się łzami zalała; mąż wyszedł, nie rzekłszy ani słowa.

Pobożna małżonka całą noc na modlitwie

strawiła — ale i mąż nie spał; całą noc chodził po pokoju i często powtarzał słowa:

— Wiarę, wiarę mej matki!... wiarę mej żony, mego dziecka!...

Nazajutrz wszedł do pokoju żony, nie mówiąc ani słowa. Nagle, jakby jakaś nowa myśl mu przyszła, zapytał:

— Czy u was dziś jakie święto?

— Tak jest mój drogi, dziś św. Antoniego z Padwy.

— Ach, tego Świętego, którego statuetkę czcicie? Serdeczne dzięki, święty Antoni!

Gdy żona zdziwiona nań spoglądała, rzekł, rzucając się w jej objęcia:

— Tak jest, moja droga, modlitwa wasza została wysłuchana; znalazłem już com był utracił!

Jeszcze tegosamego poranku spowiadał się stary oficer, który straconą wiarę odnalazł. (Erb. St. 1892. 23.).

Smutne przykłady.

Dnia 2 marca 1881 r. zdarzyło się w Brukseli na ulicy du Moulin okropne morderstwo, będące skutkiem złego małżeństwa.

Osoba, która została zamordowaną, była zrazu pobożną i cnotliwą; ale chybiła w wyborze męża. Pomimo mądrych rad, jakie jej dawano, poślubiła człowieka, nazwiskiem

Némethus, który nie posiadał żadnych zasad religijnych. Pod wpływem jego szyderstwa wkróce porzuciła praktyki religijne, a zamiast tego szukając rozrywek, zaczęła czytać powieści nieprzyzwoite i namiętnie lubiła owe sztuki teatralne, które pobudzają w człowieku najniższe instynkta. Jakoż po niejakim czasie stała się wiarołomną mężowi, który niedługo potem dowiedział się o wszystkiem.

Spędziwszy cały wtorek w ostatki w szynkowniach i kawiarniach, podczas gdy żona jego bawiła się w najlepsze na balu, Némethus uzbroił się w ogromny nóż i ukrył się w sąsiednim domu, czekając na chwilę stosowną, aby zemstę swą nasycić. Chwila ta wkrótce nadeszła. Jak tygrys co wypada ze swej kryjówki, biegnie do domu: otwierając drzwi, widzi swego przeciwnika, topi nóż w jego wnętrznościach i trupem go kładzie. Żona jego przerażona, widząc los jaki ją czeka, ukryła się w najtajniejszym zakątku, ale Némethus woła, że ostatnia jej chwila wybiła.

Za chwilę, wyłamawszy drzwi, uczynił z nią tosamo co z jej spólnikiem.

Gdy podniesiono trupa tej nieszczęsnej kobiety, znaleziono w kieszeni, nie książeczkę do modlenia, jakby można oczekiwać, lecz zeszycik pełny poezyi bezwsty-

dnych, odpisanych jej własną ręką z jakiejś nieprzyzwoitej książki.

Ach! Grzech tylko czyni ludzi nieszczęśliwymi. (Schouppe III. 382.).

* * *

Jeźli rodzina chrześcijańska, której wyrazem jest cnotliwe małżeństwo, podobną jest do raju na ziemi; to złe małżeństwo nosi na sobie obraz piekła. Przyczyną tego nieszczęścia jest brak religii i ducha chrześcijańskiego w małżonkach.

Kilka lat temu żył w Ikselles, przedmieściu Brukselli, człowiek bogaty, ojciec dwojga dzieci: syna i córki. Posiadał on mało religii, a majątek jego był owocem pewnego rodzaju spekulacyi, której sumienie zakazuje. Bogactwo nadęło go pychą: zapragnął dla swej córki męża, któryby ją ozdobił tytułem szlachectwa. Jakoż udało mu się zwabić jakiegoś młodego barona, któremu ofiarował rękę swej córki. Ten młody baron nie posiadał nic prócz tytułu barona; majątek bowiem cały roztrwonił, a o cnocie ani pojęcia nie miał. Jakoż zaledwie tylko małżeństwo zostało zawarte, młody baron zagarnąwszy cały posag żony, umknął do Francyi i znikł bez śladu.

Porzucona tak haniebnie nieszczęśliwa baronowa, miasto zwrócić się ku Bogu, szukała pociechy w świecie i uciekła się do

środka zdrożnego. Chociaż związana węzłem małżeństwa, chciała pojąć innego męża. Daremnie jej przedstawiano, że powtórne małżeństwo jest nieważne, dopóki pierwszy mąż żyje, i że związek cywilny, niesłusznie małżeństwem przezwany, jest dzikiem małżeństwem; ona sobie z tego nic nie robiąc, dała się uwikłać w związki nieprawe.

Drugi jej małżonek (jeżli go tak nazwać się godzi), nie porzucił jej wprawdzie, ale tak okrutnie z nią się obchodził, że się wciąż nań przed matką, przed ojcem i bratem skarżyła. Ci dwaj ostatni, ojciec i brat postanowili wreszcie nauczyć okrutnego małżonka rozumu. Wkrótce znalazła się dobra sposobność. Wzięli go ze sobą na przechadzkę za miasto i najprzód go surowo złajali, a potem porządnie laskami obili.

Wrzekomy mąż, szalejąc ze złości, powróciwszy do domu, cały swój gniew jak można było przewidzieć, wylał na żonę. Ta doprowadzona do ostateczności, oddała się strasznej rozpaczy. Postarawszy się o ostrą truciznę, poszła do matki i prosiła o filiżankę bulionu, mówiąc, że się ma niedobrze. Zmięszawszy z bulionem śmiertelną truciznę, wypiła ją duszkiem, a potem położyła się na łóżko.

Wkrótce dostała strasznych konwulsyj i nieopisanych boleści, których żadne lekarstwo złagodzić nie zdołało. Śmierć nastąpiła

wkrótce; nieszczęśliwa i wiarołomna małżonka nie pojednawszy się z Bogiem skonała. Jako samobójczyni nie otrzymała kościelnego pogrzebu.

Smutny koniec złego małżeństwa.

(Schouppe III. 379.).

* * *

Dnia 2 października 1881 umarła w Brukselli pani G. Życie jej młodociane aż do zamęścia nie rokowało tak smutnego końca. Spędziwszy dwa lata w zakładzie Berlaymont, gdzie odebrała wychowanie bardzo chrześcijańskie, okazała się wierną obowiązkom religii; ale później popełniła tę wielką nieroztropność, że wyszła za człowieka bezbożnego, niestety dla majątku.

Pan G. był wolnomyślicielem i wkrótce wygasił w sercu swej żony wiarę i pobożność. Już ośm lat nie spełniała obowiązków religii, kiedy zaczęła opadać na siłach i coraz więcej zbliżała się do śmierci. Mąż powierzył ją staraniu dwu lekarzy niemniej bezbożnych jak sam, a ci chorą łudzili nadzieją wyzdrowienia — o księdzu zaś ani mowy; mąż nie chciał, aby jakibądź ksiądz zbliżył się do łoża chorej żony.

Zaledwie dowiedział się o tym stanie pewien zacny kapłan, a krewny chorej, natychmiast przyszedł ją odwiedzić. Ale pan G. wyprosił go grzecznie, mówiąc, że żona jego

potrzebuje spokoju i że lekarze zakazali komukolwiek zbliżać się do chorej.

Użyto wszystkich środków, czyniono wszelkie możliwe kroki, nawet przez pośrednictwo własnej matki pani G., ale wszystko się rozbiło o upartą bezbożność pana G. Czuwał on nad swą żoną jak cerber [1]) aby nie dopuścić, żeby jej religia podała rękę na ratunek od wiecznej przepaści.

Pani G. umarła bez kapłana, bez Sakramentów, bez religii w obecności męża i dwu lekarzy, którzy obojętnie spoglądali na jej konanie.

Tak umarła żona bezbożnika. Co jej pomógł majątek? Jaka nieroztropność, jaka głupota ze strony młodej osoby, wstępować w taki związek małżeński! „Co pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swej szkodę poniósł?“

(Schouppe III. 382.).

* * *

Bardzo zwyczajną przyczyną złych małżeństw jest życie rozwiozłe w młodości. Oto świeży przykład:

W mieście bardzo znanem we Flandryi żyła panna, zacnych i katolickich rodziców

[1]) Cerber: poganie przedstawiali sobie, że wejście do piekła strzeżone jest przez straszliwego psa, którego cerberem zwano.

córka. Rodzice oddali ją do dobrego zakładu, gdzie jej postępowanie nie zostawiało nic do życzenia. Skoro powróciła do domu, zapomniała o dobrych i zdrowych naukach, które odebrała, a nadużywając wolności, którą jej dali rodzice, Czytała zawzięcie romanse, wchodziła w towarzystwa niebezpieczne, straciła smak w modlitwie, wpadła następnie w grzech i w nałóg grzechowy. Również, gdy wkrótce potem wstąpiła w związki małżeńskie, uczyniła ten krok lekkomyślnie, nie gotując się doń z taką pobożnością, jakiej się ten Sakrament domaga.

Mąż jej, który wcale gorliwym katolikiem nie był, widząc dążności światowe swej małżonki, miasto ją upomnieć i sprowadzić na drogę obowiązku, zamykał oczy na jej lekkomyślność i zostawił jej pewien rodzaj niezawisłości, której padła ofiarą.

Wkrótce bowiem dała się usidłać zwodzicielowi, który jej do tego stopnia obrzydził męża, że jego obecność stała się jej nieznośną. Myśli zbrodnicze dzień i noc ją zajmowały i w zmowie z uwodzicielem ta niegodna małżonka wmięszała arszeniku do potraw swego męża.

Mąż zachorował, ale nie umarł. Więc na nowo chciała go otruć. Aby zaś być pewną skutku, wzięła poczwórną dawkę, wmięszała do wina i dała mu go odrazu wypić.

Następnej nocy umarł mąż w strasznych konwulsyach; nie wezwano doń ani lekarza ani kapłana, dopiero po śmierci i rozpuszczono pogłoskę, że umarł na apopleksyę.

Ale ta śmierć wydawała się ludziom jakoś dziwna. Wdowa nie pokazywała po sobie żadnego żalu; w sam dzień pogrzebu jej tualeta, jej całe zachowanie się względem współwinowajcy tak mało smutku dowodziły, że padło na nią bardzo ciężkie podejrzenie. Dano o tem znać do sądu, odgrzebano ciało męża, i komisya lekarska orzekła, że we wnętrznościach znajduje się cztery razy większa dawka arszeniku jak potrzeba, aby kogoś otruć.

Współwinny ocalił się ucieczką, a żonę zasłużona kara dosięgła.

Oto skutki małżeństwa zawartego bez zasad chrześcijańskich i godnego doń przygotowania. (Schouppe III. 380.).

Małżeństwo mięszane.

— Ojciec mój katolik, matka protestantka, dzieci wskutek małżeństwa katolickie. Ale jakiż cień pada na życie dzieci! Dwa kościoły są w tem miejscu; dzieci muszą patrzeć, że matka zawsze do innego kościoła chodzi jak ojciec. To mnie tembardziej boli, że życie rodzinne serdeczne i tkliwe.

Nadszedł czas w którym mógłem pójść

do pierwszej Komunii. Poczciwy ksiądz proboszcz niewymownie się trudził, aby nas jak najlepiej przygotować. Przed spowiedzią musiałem jak ks. proboszcz nakazał, rodziców przeprosić. Wielką nader trudność miałem przeprosić ojca, dlatego odkładałem tę rzecz bardzo długo. Jeszcze tylko godzina brakowała do czasu, w którym pójść miałem do kościoła, a jednak chodziłem niezdecydowany po sieni. Wtem wychodzi ojciec z izby i mówi:

— No, zdaje się, że masz jeszcze coś na sercu.

— Dzięki Bogu! pomyślałem, ojciec już wie, czego ja chcę, i podałem mu rękę mówiąc:

— Idę do spowiedzi, ojcze przebacz!

— Dobrze, dobrze — przerwał mi uśmiechając się przychylnie — byłeś wprawdzie czasem niegrzeczny, ale nadal zawsze będziesz bardzo grzeczny. Spraw się tylko bardzo dobrze!

Następnie udałem się do matki, która pracowała w komorze.

— Matko — rzekłem — ja idę teraz do kościoła, aby uczynić spowiedź z całego życia. Przebacz mi, żem tak był niegrzeczny i nieposłuszny. Ja...

Łzy mi stanęły w oczach. Matka wzięła mnie za rękę i przytuliła tak czule do ser-

ca, jak tego od dawnego czasu już nie czyniła.

— Tylko się bardzo dobrze wyspowiadaj i módl się pobożnie także i za mnie; a na Wniebowstąpienie, gdy pójdziesz do Komunii św. jeźli P. Bóg pozwoli — te słowa ze szczególnym naciskiem wyrzekła — to i ja na twoje święto będę w waszym kościele.

Uradowany spojrzałem matce w jej miłe, łagodne oczy. Uderzyła mnie wielka przeźroczysta bladość jej oblicza i po pierwszy raz przyszła mi myśl bolesna, że utracę tę dobrą matkę. Ale jakże mogłem się domyślać, że nam ją Pan Bóg tak prędko zabierze?

Było to w niedzielę przed Wniebowstąpieniem Pańskiem, wkrótce po obiedzie. Matka prawie nic nie jadła przy obiedzie i była bardzo blada i cicha. My dzieci siedzieliśmy przed domem na ławce. Naraz usłyszeliśmy głośny krzyk ojca. Wbiegliśmy do domu i obaczyliśmy matkę bladą jak chusta, krwią zalaną na łóżku, a ojca głośno płaczącego. Matka dostała silnego wybuchu krwi. Służąca posłała naprzód po lekarza a potem po pastora. Ten wkrótce przyszedł, stanął w pokoju, wyjął książkę z kieszeni i mówił głośno modlitwę, której treścią było zgadzanie się z wolą Bożą. Wszystko to było piękne i dobre, ale cóż pastor mógł więcej uczynić?

Skończywszy, zamknął książkę, starał się ojca kilku słowy pocieszyć, a potem zabrał się i wyszedł. Wtedy to przyszły mi na myśl słowa św. Jakóba Apostoła, który mówi: *Choruje kto między wami, niech wwiedzie kapłany Kościoła, a niech się modlą nad nim, pomazując go olejem w imię Pańskie; a modlitwa wiary uzdrowi niemocnego: a jeśliby w grzechach był, będą mu odpuszczone* (Jak. 5, 14, 15).

W pierwszej chwili też myślałem zawołać naszego księdza proboszcza, ale nie miałem odwagi; ale zarazem przypomniałem sobie, co nam ks. proboszcz mówił o doskonałym żalu za grzechy. Pobiegłem do mojej sypialni i przyniosłem krzyżyk, który wisiał nad moim łóżkiem. Prosiłem tedy ojca, aby mi pozwolił przystąpić do matki. Ojciec popatrzył na mnie zdziwiony, ale mi pozwolił. Dałem matce krucyfiks do ręki, otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie. Potem mówiłem powoli akt doskonałego żalu nachylając się, aby mnie lepiej zrozumiała. Widziałem też, jak poruszała ustami i słyszałem, jak cicho powtarzała za mną słowa modlitwy. Nagle, skoro ostatnie modlitwy słowo wymówiła, spostrzegłem, że rysy jej twarzy się zmieniły. Serdecznie przycisnęła krucyfiks do bladych ust swoich. Słyszałem jeszcze, jak cicho wyszeptała: „O Jezu“ a dusza mej matki stała już przed Bogiem.

To było pierwsze, smutne przygotowanie moje do pierwszej Komunii. We środę przed Wniebowstąpieniem Pańskiem, a zatem w przeddzień mej pierwszej Komunii, odbył się pogrzeb. Już nieraz przypatrywałem się protestanckiemu pogrzebowi, ale nigdy mi się tak niezmiernie zimnym nie zdawał jak teraz.

— O ty dobra matko, pełna dobroci serca. Jakże miłą dobrą i szczęśliwą byłabyś gdybyś się była wychowała przy sercu naszej kochającej matki, św. Kościoła katolickiego, gdybyś była piła z bogatych źródeł łask, a osobliwie gdybyś tego w Jego domu umiała była znaleźć, który woła: *Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście a ja was ochłodzę!* Ach, żaden z twych krewnych, którzy twą wiarę wyznają, nie będzie się teraz modlił za twą poczciwą duszę. Ale twe dzieci nigdy o tobie nie zapomną i modlić się będą za ciebie codzień, aby twa kochająca dusza odpoczywała w pokoju wiecznym u Boga.

Po wielu doświadczeniach przykrych we własnej rodzinie z powodu mięszanych małżeństw, zmieniłem mój zamiar poślubienia protestantki. Włosy moje już siwieją, moi koledzy śmieją się ze mnie, mówiąc, że zostanę starym kawalerem. Tego niewiem. Ale o tem mogę z całą stanowczością zapewnić że jeżeli kiedy mam się ożenić, to z osobą,

która tę samą co ja wiarę wyznaje, ze mną uczęszcza do kościoła i Św. Sakramenta przyjmuje, a jeżli mnie Bóg pierwej jak ją do siebie powoła, nawet po śmierci mej za mnie modlić się będzie.

(Erb. St. 1890. 32.).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki T. J.

L. 1011.

POZWALAMY DRUKOWAĆ. W zastępstwie JEminencyi
(L. S.) *X. Gawroński.*

Kraków 16 Marca 1893.

Krakowie, w drukarni „Czasu" pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

VI. Małżeństwo.

(Dokończenie).

Małżeństwo mięszane.

Święty Kościół katolicki gani mięszane małżeństwa między katolikami i niekatolikami chrześcijanami z powodu wielkich niebezpieczeństw dla duszy grożących stronie katolickiej, a więcej jeszcze dzieciom z takich małżeństw pochodzącym. Jeźli zatem Kościół katolicki pomimo to w poszczególnych wypadkach mięszane małżeństwa cierpi i na takowe zezwala, musi mieć do tego najważniejsze powody, ale i wtenczas następujące warunki muszą być spełnione:

Obie strony muszą przyrzec, że ślub wezmą w kościele katolickim i wszystkie dzieci w wierze katolickiej wychowają.

Strona niekatolicka musi przyrzec, że nie będzie przeszkadzała katolickiej w wypełnianiu obowiązków jej wiary; wreszcie:

Strona katolicka musi się obowiązać, stronę niekatolicką ile możności, osobliwie przez dobry przykład o prawdziwości wiary katolickiej przekonać.

Z tej przyczyny Kościół nasz święty w najniegodziwszy sposób był oczerniany i podejrzywany. A jednak Kościół święty, matka nasza musi tej surowości użyć, jeźli sam nie chce się przyczynić do nieszczęścia doczesnego i wiecznego swych dzieci.

Katolik, który zawierając mięszane małżeństwo, powyższych warunków Kościoła nie spełni albo ich później nie dotrzyma, najcięższych wyrzutów sumienia stanie się przyczyną. Oto co pewien podróżny opowiada:

Już temu lat kilka odbywałem z przyjacielem moim podróż po południowych Niemczech. Ponieważ w M. otworzono wystawę, a hotele były przepełnione, musieliśmy w prywatnym domu zamieszkać. Bawiliśmy tam dni kilka. Nasza gospodyni, osoba licząca około 50 lat, zaraz mi wpadła w oczy z powodu smutku, jaki się na jej twarzy malował. Dnia jednego, gdy nam przyniosła kawę na śniadanie, zaczęła z nami rozmawiać, a wśród rozmowy całkiem niespodzianie nas zapytała, czy jesteśmy katolikami. Gdyśmy powiedzieli, że tak, ona mówiła dalej:

— To mnie cieszy, i ja także katoliczka ale niestety sama jedna w całej rodzinie.

— Czyż więc pani swych dzieci nie dała

w religii katolickiej wychować? — zapytałem.

— Nie — odrzekła — i to mi właśnie zatruwa życie na starość. Ja panu to krótko opowiem. Mój narzeczony był protestantem; co do wychowania religijnego dzieci, mogących się narodzić, nie mogliśmy się pogodzić; rodzice moi i sumienie nakazywały mi, zerwać z nim zupełnie. Ale narzeczony mój nietylko że był pięknym młodzieńcem, ale i bogatym, a wszystkie dziewczęta zazdrościły mi szczęścia. Tak namiętność zwyciężyła w walce z obowiązkiem. Wyszłam tedy za mąż przeciw woli rodziców i bez katolickiego ślubu. Z czasem, myślałam sobie, przyzwyczaję się do tych stosunków, a i sumienie się uspokoi, jeżli już ta rzecz zmienić się nie da.

W pierwszych latach było rzeczywiście tak; miałam przyjemne stanowisko towarzyskie, mąż mój mnie kochał, a czworo mych dzieci sprawiało mi tyle trosk i zadawało mi tyle pracy i roztargnienia, że zapomniałam o rzeczach duchownych i do kościoła prawie nigdy nie chodziłam. Sumienie moje zatem nieszczęśliwie usnęło. Na szczęście P. Bóg nie zapomniał o mnie tak, jak ja o Nim zapomniałam. Zesłał na mnie długą, ciężką chorobę. Trzy miesiące musiałam przeleżeć w łóżku i straszne cierpieć boleści. Ale te boleści zesłał mi P. Bóg,

aby dusza ozdrowiała. Z trwogą myślałam teraz o śmierci, sądzie i wieczności. Nie dało mi spokoju, musiałam się z Kościołem pojednać i ŚŚ. Sakramenta przyjąć. Ale trza było naprawić, co się źle zrobiło. Powiedziałam więc mężowi, że sumienie straszne mi czyni wyrzuty, żem moich dzieci nie wychowała w tej religii, którą za jedynie prawdziwą uważałam i uważam, i bez ogródki go prosiłam, aby jeszcze teraz dzieci nasze kazał w katolickiej wierze wychować.

Mąż słuchał aż do końca spokojnie, nareszcie równie spokojnie jak energicznie mi odrzekł:

— Czy sądzisz, że ja moją religię uważam za gorszą jak twoją? Albo czy żądasz, abym ja przeciw memu sumieniu działał?

Ja tysiączne czyniłam mu zarzuty, alem nic nie zyskała. Chciałam tedy sama ocalić me dzieci i przekonać ich o prawdziwości naszej religii. Ale niestety, już było zapóźno. Dwaj najstarsi synowie już za wiele uprzedzeń mieli przeciw „rzymskiemu Kościołowi papiezkiemu“ i prawdziwy wstręt czuli do katolicyzmu. Dwoje młodszych dzieci niewiele z mych nauk korzystały, gdyż dwaj starsi synowie i ojciec o to się starali.

Teraz dopiero jasno poznałam, że dzieci, które mi P. Bóg darował, dla prawdziwej wiary są stracone. Możesz sobie pan wystawić, jak mnie to strasznie boli. Jestem w ca-

łej rodzinie mej i w całem pokrewieństwie ze strony męża, tu w mieście sama jedna, czuję się tak okropnie osamotnioną i opuszczoną — jestem jak obca w własnym domu. Jeźli zachoruję, nie będę miała nikogo, coby mi przypomniał o świętej spowiedzi, nikogo, coby za mnie pacierz zmówił. A na te tortury sama się wydałam, bo przed ślubem powinnam była spełnić warunki od Kościoła postawione.

Do dziś jeszcze nie mogę zapomnieć jej stroskanego i przygnębionego oblicza.

Czego więc Kościół św. od swych dzieci przed zawarciem mięszanego małżeństwa się domaga, tego domagać się musi; a katolik, coby tych żądań nie chciał spełnić, albo niemi wzgardził, miałby później wybór między dwojgiem złem: albo zupełnie odpaść od wiary, albo przez całe życie gorzkie wyrzuty sumienia cierpieć. Oby wszyscy co zamierzają zawrzeć mięszane małżeństwo, o tem chcieli pamiętać.

(Erbau. St. 1890 n. 8).

VII. Ostatnie Namaszczenie.

Ostatnie Namaszczenie wywiera przedewszystkiem wpływ na duszę chorego, którą oczyszcza z plam grzechowych i wzmacnia w ostatniej walce z pokusami. Wywiera także dobroczynne skutki na ciele, pocieszając chorego, uśmierzając jego boleści, powracając mu nawet zdrowie, jeźli ono do zbawienia mu potrzebne.

Skutków na ciele nie wywiera ten Sakrament cudem, lecz w sposób lekarstwa, pomagając siłom żywotnym, które chory jeszcze zachowuje. Nieraz jednakże, aby dzielność Sakramentu tego tem widoczniej okazać, podobało się Bogu uzdrowić nagle chorego. Przykład takiego udrowienia znajdujemy w żywocie świętego Malachiasza, arcybiskupa z Armagh w Irlandyi w XII wieku. Święty Karol Boromeusz zwykł był przypominać go swym kapłanom, gdy ich zachę-

cał do czuwania, aby wcześnie Sakramentu Ostatniego Namaszczenia chorym udzielali. Oto, jak o nim opowiada św. Bernard:

— Pewna niewiasta w Bangor, będąc bliską śmierci, wezwała do siebie św. Malachiasza. Swięty natychmiast przyszedł, pocieszał ją w cierpieniach, upominał, radził i chciał jej wreszcie udzielić Sakramentu Ostatniego Namaszczenia. Ale krewni jej przedstawiali mu, że niebezpieczeństwa niema, że zatem lepiej będzie odłożyć udzielenie tego Sakramentu do jutra, bo chora lepiej się do jego przyjęcia przysposobi. Święty biskup usłuchał lubo niechętnie ich rady, i udzieliwszy jej błogosławieństwa, odszedł. Pod wieczór powstało w całym domu nagle wielkie zamięszanie i słychać było tylko płacz i bolesne żale; służba zwłaszcza głośnym płaczem objawiała żal po stracie swej ukochanej pani.

Święty mąż dowiedziawszy się o śmierci jej, natychmiast przybył, i znalazł ją rzeczywiście umarłą. Podniósłszy ręce i oczy ku niebu, z wielkim żalem oskarżał sam siebie, że z jego winy i nierosądnej powolności, chora bez namaszczenia Olejem św. umarła. Gorzko płacząc padł na kolana i gorąco wzywał obecnych, aby się z nim połączyli w gorącej modlitwie, błagając o pomoc z nieba, dla naprawy popełnionego błędu. Całą tedy noc wszyscy modlili się gorąco wśród głośnych

jęków i płaczu. O świcie dała umarła znowu znak życia, otworzyła oczy i poznała biskupa. Zdumieli się obecni, a smutek ich zamienił się w nagłą i nieopisaną radość.

Natychmiast udzielił jej św. Malachiasz Ostatniego Namaszczenia. Chora odzyskała zupełne zdrowie i resztę dni życia spędziła w ostrej pokucie, aż po długich latach umarła śmiercią sprawiedliwych.

(S. Bern. w żywocie św. Malachiasza r. 2).

Ostatnie życzenia na ziemi.

Wyżej wspomniany święty Malachiasz, udawszy się r. 1148 w ważnych sprawach Kościoła do Rzymu, nawiedził klasztor Cystersów w Clairvaux w Burgundyi, gdzie największy jego przyjaciel, św. Bernard, który nam żywot jego opisał, był opatem. Tu wpadł w silną gorączkę. Używano wszelkich środków, aby mu zdrowie przywrócić. Ale św. Malachiasz mówił:

— Dzieci moje, nadaremnie się staracie zachować mnie dłużej przy życiu. Będę wprawdzie używał lekarstw, które w miłościwej troskliwości waszej mi podajecie, ale nie przyniosą one skutku. Codziennie proszę Pana Boga, aby mi pozwolił umrzeć w waszym klasztorze i to w dzień zaduszny. Oddaję duszę moją w ojcowskie ręce P. Boga, który mających w Nim nadzieję, nie podaje

na zawstydzenie, a po śmierci oczekuję wielkiej pomocy od modlitw, które żyjący odmawiają w dzień zaduszny za umarłych.

Po kilku atoli dniach tak mu się polepszyło, że w uroczystość Wszystkich Świętych mógł wyjść do chóru. Bracia zakonni, spostrzegłszy go pośrodku siebie, płakali z radości i łzami się zalewając, śpiewali psalmy, jeden Malachiasz nie płakał, a serce jego tęskniło do niebieskich radości.

Po nabożeństwie napadła go znowu gorączka z podwojoną gwałtownością. Wróciwszy do celi, wezwał wszystkich braci zakonnych i przemówił do nich w te słowa:

— Moi najmilsi, teraz mi do ostatniej podróży niczego nie braknie, jak św. Wiatyku i ostatniego Olejem świętym namaszczenia. Oto są ostatnie życzenia moje na ziemi.

Gdy się więc zabierano do spełnienia tej ostatniej woli jego, i chciano mu przynieść ostatnie ŚŚ. Sakramenta do celi, nie pozwolił na to, ale sam powoli udał się do kościoła, i tu je przyjął z budującą pobożnością. Ku wieczorowi pogorszyło mu się, a on czując, że wkrótce wybije godzina jego śmierci, odezwał się do klęczących w koło niego braci zakonnych, następującemi słowy pożegnania:

— Weselcie się z mojego wyzwolenia i módlcie się za mną, bo już nadeszła moja chwila. Ja także modlić się będę za wami

do Boga. Wierzyłem w Boga, miłowałem Go i was także miłowałem, a miłość nie umiera na wieki.

Po północy zasnął święty mąż jak sobie życzył w sam dzień zaduszny 1148 roku.

(Tamże).

Słowo arcypasterskie.

Książe-arcybiskup wiedeński, Wincenty Edward wydał 10 grudnia 1839 r. list pasterski, w którym z naciskiem zwraca uwagę wiernych na św. obowiązek, aby do chorych wcześnie kapłanów Kościoła wzywali, aby pociechy i łask sakramentalnych Kościoła katolickiego dostąpić mogli. Między innemi tak się odzywa:

— Bardzo często kapłani do opatrzenia chorych albo wcale nie bywają wzywani, albo dopiero wtenczas, kiedy ci już leżą bez pamięci i nie są zdolni ani zebrać myśli, ani zmienić usposobienia. Wina tego niesumiennego zaniedbania spada po większej części nie na umierającego, lecz na osoby go otaczające, które chorego mamią co do stanu zdrowia, jeźli się zaś tenże domyśla niebezpieczeństwa, to go fałszywie uspakajają a kapłana dopiero wtenczas wzywają, gdy już nic zdziałać dla chorego nie może, gdyż tylko zewnętrznemu przepisowi Kościoła pozornie chcą zadość uczynić.

Ci ludzie zapominają, jak wielką i niepowetowaną szkodę na duszy przynoszą konającemu. Za życia tak często ludzie są otwartymi i szczerymi względem drugich; czyż tembardziej w chwili rozłąki nie powinni być szczerymi i otwartymi?

Jeżli umierający z przewrotnem usposobieniem jakie miał za życia, opuszcza ziemię, jeżli zawstydzenia ani skruchy nie czuje, jeżli życia własnego nie zna, jeżli krzywdy wyrządzonej nie naprawi, chociaż to było możliwem: kto temu wszystkiemu winien? na czyje spada sumienie ta niepokuta? czyż nie na tych, którzy go oszukują i sumienie jego usypiają, aż się obudzi przed sądem Bożym?

To niesumienne oszukaństwo chcą pokryć płaszczykiem troskliwej miłości, aby nie zakłócać spokoju chorego, aby go nie przerażać! Czyż nie byłoby rzeczą rozumniejszą i więcej z miłością zgodną, przestrzedz go, jak dopuścić mu wpaść na potępienie do piekła? Troszczą się, aby skutkom lekarstwa nie przeszkadzać i tychże nie zniweczyć.

Więc o ciało się troszczą, a o duszę nie! Czyż dusza nie więcej warta jak ciało? Czyż oszukiwanie, czyż ukrywanie niebezpieczeństwa zachowało konających przy życiu?

Na duszy mu zaszkodzono, a na ciele pomocy nie przyniesiono. Doświadczenie pou-

cza nas, że się przeciwnie dzieje. Jeźli kapłan wczas zaopatrzy chorego, to umysł jego się uspokaja, człowiek przychodzi do zgody sam z sobą, serce doznaje pociechy i słodką napawa się nadzieją.

Przeciwnie, kto opisze trwogę i męczarnię tego chorego, do którego kapłan dopiero wtenczas przystępuje, kiedy już ani myśleć, ani mówić nie może? Nieraz na obliczu chorego maluje się trwoga graniczącą z rozpaczą, bo chciałby chętnie otworzyć swe sumienie, chciałby się z Bogiem pojednać — a nie może.

Na kimże cięży wina tego niepokoju, tej rozpaczy konającego? Na tych, którzy z fałszywej, obłudnej troskliwości oszukują go tak długo, aż żadna pociecha nie jest już możliwa!

To prawda, że najlepszem przygotowaniem do śmierci jest życie niewinne, pobożne; ale któryż człowiek może powiedzieć: „We mnie żadnej nie ma winy?“

Kiedy godzina rachunku się zbliża, wtenczas niejedna rzecz w innem świetle się okaże. Niejeden człowiek dopiero w ostatnich dniach życia staje się mądrym i dobrym. Jest to wprawdzie późno, ale przecież lepiej, jak nigdy!

(Mehler, Beispiele V, 314).

„Teraz chętnie umieram!“

Drogi boże są dziwne i niemniej pocieszające jak straszne, stosownie do tego, czy człowiek z łaską Bożą współdziała, czy umyślnie i uparcie jej się sprzeciwia. Pocieszającą stronę tej prawdy tak dosadnie stwierdza następujący fakt, który się zdarzył w pewnem wielkiem mieście angielskiem, a który nam misyonarz z Niemiec wygnany opowiedział dla zachęty. Będziemy się starali całkiem wiernie go oddać.

Przed kilku laty w pierwszych dniach wielkiego tygodnia zawołano Ojca X. do furty klasztornej i to jeszcze bardzo rano przede mszą świętą. Lekarz H. w ważnej sprawie chciał z nim pomówić. Natychmiast udał się O. X. do rozmownicy i zastał doktora H., który rzekł:

— Przepraszam wielebnego Ojca, że mu już przede mszą św. się naprzykszam. Ale ponieważ w tym czasie i Ojciec i ja bardzo jesteśmy zajęci, dlatego obawiam się, że w ciągu dnia nie zastanę go w domu. A jednak idzie tu o rzecz bardzo ważną, w której tylko kapłan pomódz może.

— Witam najserdeczniej pana doktora — odrzekł Ojciec X.; jeśli panu jako kapłan mogę usłużyć — gotów jestem każdej chwili. Czem panu mogę służyć?

— Spodziewam się, że przy łasce Bożej

możemy ocalić jednę duszę, wyprowadzając ją z błędu do światła prawdziwej religii.

Z radością słuchał kapłan tej nowiny i prosił lekarza, by mu bliżej ten wypadek określił.

— Kupiec dość zamożny bliskim jest śmierci. Jest on wprawdzie protestantem, ale w sercu jest katolikiem i tęskni za śmiercią w Kościele katolickim.

— Znowuś pan drogę utorował Panu Bogu i kapłanowi, odrzekł zakonnik, który znał lekarza jako bardzo gorliwego katolika; nie mogąc mu powrócić zdrowia cielesnego, starałeś się pan zapewnić mu życie wieczne, daleko ważniejsze.

— Moja w tem zasługa bardzo jest nieznaczna — odrzekł lekarz skromnie. Jako lekarz domowy tej rodziny, często tam bywałem. O ile szczerym i otwartym jest mąż, o tyle przesądną jest jego żona. Jeśli przy sposobności jakieś słówko rzuciłem o religii, on chwytał je z uwagą i skwapliwie, ale dobre wrażenie wkrótce się zatarło przez ostre wycieczki żony na katolicyzm. Wiele nie dało się uczynić. Więc Pan Bóg przyszedł w pomoc. Przed kilku tygodniami jedno z jego dziatek zachorowało niebezpiecznie, dziewczynka malutka, niewinna, trzy lata ledwie licząca, ojcowska faworytka. Użyto wszelkich środków, by ją ocalić, ale

daremnie. Zaród śmierci tkwił już od urodzenia w tem dziecku.

Tu pobożny lekarz zamilkł na chwilę. Spojrzał w niebo i dodał:

— Bogu dzięki — umarło po katolicku. Odtąd ojciec jak nie ten sam. Boleść jego była niezmierna i przyspieszyła chorobę płucną i sercową, która już od kilku lat powoli go niszczyła. Dosyć, że on chce tak umrzeć jak jego dziecko, że chce z swem dzieckiem być w niebie. Tu wielebny Ojciec musi dopomódz.

Kapłan ten, który już niejednego błędnowiercę na drogę prawdy nawrócił — rzekł uradowany:

— Panie doktorze — nawrócenie jest dziełem Bożem — musimy więc pilnie o światło i siłę dla tego biedaka prosić. A potem — czy pan uważa, że ma jeszcze tyle przytomności umysłu i świeżości, aby mógł jeszcze o najpotrzebniejszych prawdach wiary się dowiedzieć?

— Ja mu już wyłożyłem — odrzekł lekarz — najgłówniejsze prawdy naszej świętej religii, a mianowicie różnicę między protestantyzmem i katolicką wiarą. Wszystko rozumie jasno i pragnie jedynie zostać katolikiem. Duch jego jeszcze tak jest świeży jak za zdrowia i dziwna rzecz, kiedy z nim rozmawiam o naszej pełnej pociechy religii,

staje się lepszym i spokojniejszym. Więc proszę się nic nie bać!

— Ale cóż na to jego protestancka żona? Czy ona pozwoli mi przystąpić do swego konającego męża?

— To jest właśnie główna przeszkoda — odrzekł p. H. Wczoraj doprowadziłem ją do tego, że mi przyrzekła, iż wielebnego Ojca zaprosi, by jej męża odwiedził. Ale przy pożegnaniu znowu się chwiała. Ufam w modlitwę Ojca i we Mszę św., którą wiel. Ojciec wkrótce odprawi i w medalik Niepokalanego Poczęcia, dodał, ściskając Ojca X. za rękę.

To rzekłszy, wstał. Obaj przyjaciele podali sobie ręce i pożegnali się. Lekarz pospieszył do chorych, a kapłan udał się przed ołtarz N. Sakramentu, aby Panu Jezusowi zalecić duszę tego zacnego męża. Następnie odprawił Mszę św. na tę samą intencyę. Przede Mszą św. odwrócił się jednak do wiernych i rzekł uroczyście:

— Polecam waszym pobożnym modlitwom podczas tej Mszy św. umierającego, który największej łaski, bo łaski nawrócenia do prawdziwej wiary na łożu śmiertelnem potrzebuje!

Nazajutrz we Wielki Czwartek, skoro O. X. powrócił z kościoła do zakrystyi, otrzymał bilet następującej treści:

— Ponieważ mój mąż gorąco pragnie

z Ojcem pomówić, nie chcę jego życzeniu żadnej trudności czynić.

Pełen ufności w Bogu i przyczynie Najśw. Panny pospieszył Ojciec X. modląc się przez całą drogę. Wreszcie przybył do domu chorego. Płacząca dziewczynka otworzyła mu nieśmiało drzwi. Ojciec X. wstąpił i pozdrowił uprzejmie panią domu, która niedaleko łoża mężowego siedziała przy stoliku i szyła. Gorzki smutek z boleścią niepocieszoną malował się na jej obliczu. Zimno i sztywnie podniosła się rzucając na kapłana wzrokiem szyderstwa, jak gdyby chciała powiedzieć: Co ten pop tu chce?

— Moja pani — rzekł kapłan uprzejmie i pokornie — jestem Ojciec X., do którego pani była łaskawa napisać bilet, bym jej chorego męża odwiedził. Zapewnie lepiej mu się zrobiło.

— Nie, mój panie — nie lepiej mu, odrzekła zimno i nie widzę także, co pan byś mu mógł pomódz, dodała z udanym uśmiechem.

Kapłan tedy oświadczył, że musiał uczynić zadość życzeniu męża, do którego spełnienia i ona się przyczyniła. Ona milczała i zajęła się robotą, jak gdyby nikogo nie było.

Ojciec X. przystąpił do chorego i zagadnął go w jego ojczystem języku:

— Jak się pan ma, mój przyjacielu?

Jakby z głębokiego snu zbudzony, otworzył chory oczy szeroko i wypatrzył się na obcego.

Kapłan wziął na się stułę, aby go lepiej poznał i tak dalej mówił:

— Mój przyjaciel doktor H. mówił mi o panu, a pańska żona była tak dobra, że mnie zaprosiła, bym pana odwiedził.

Na te słowa chory, który majaczył w gorączce, przyszedł do siebie i uprzejmym uśmiechem i pochyleniem głowy ile na to siły jego pozwalały, radość swą z tych odwiedzin objawił.

Poruszenie ust jego świadczyło, że chciał mówić. Kapłan nachylił się doń, a konający szepnął mu do ucha:

— Ja chcę umrzeć po katolicku. Bogu dzięki, że ksiądz przyszedł. Ale moja żona!

— Czy ona rozumie po niemiecku? zapytał ksiądz cichutko.

— Nie, tylko kilka słów.

— To pan bądź spokojny, za Boską pomocą jakoś pójdzie.

— Czy pan jesteś przekonany o prawdzie katolickiej wiary?

— Tak jest, odrzekł chory — doktor H. tak dokładnie wszystko mi wytłumaczył, że żadnej już nie mam wątpliwości.

— No, to dobrze — mówił uradowany kapłan. Ja panu jeszcze krótko całą prawdę dowiodę.

Chory słuchał z natężoną uwagą, jak gdyby każde słowo chciał w głębi swej duszy zachować. Kapłan zaś mówił:

— Pan wierzysz w Jezusa Chrystusa, i że Jezus Chrystus *tylko jeden* Kościół założył?

— Tak jest.

— Więc tedy: prawdziwy Kościół Chrystusa Pana musi być taki, jakim go Chrystus założył. A zatem tylko ten Kościół jest prawdziwym Kościołem, który na Piotrze jest zbudowany. Takim zaś jest tylko rzymsko-katolicki Kościół: a zatem tylko rzymsko-katolicki Kościół jest prawdziwym Chrystusa Kościołem.

Wtedy chory podniósł się, zebrawszy wszystkie siły — objął oburącz rękę kapłana i przycisnął ją do ust. Łzy radości potoczyły się z oczu jego i rzekł głośno:

— Tak, to jest prawdziwy Kościół, katolicki Kościół jest jedynie prawdziwym Kościołem. Ja chcę po katolicku umrzeć.

Na tę wzruszającą scenę spoglądała żona spokojnie, ale skoro ujrzała, że mąż jej tak jest wzruszony, że księdza w rękę pocałował, przyskoczyła i zawołała:

— Mój panie, daj pan memu mężowi spokój. Ja nie chcę, aby mój mąż został katolikiem. Lepiej pan sobie idź natychmiast!

Słowa te bolały chorego męża bardzo. Spoglądając błagalnym wzrokiem na kapłana, prosił go najserdeczniej o przebaczenie

za niestosowne zachowanie się żony. Potem skinął na żonę, chwycił ją za rękę i stanowczo ale łagodnie rzekł:

— Moja najdroższa, ja sobie tego życzę. Jest to moje ostatnie życzenie.

Ona zaś stała milcząc i jakby się namyślając, czy nie będzie to za przykro, odmówić mężowi ostatniej prośby. Na chwilę zapanowało męczące milczenie. Wreszcie wyrwała rękę z rąk męża i rozgniewana powróciła do stolika, przy którym pracowała.

Kapłan wzruszony i nieco oburzony prosił chorego, aby się nie mięszał, tylko ufał Bogu i Najśw. Pannie, a resztę Panu Bogu zostawił. Starał się tedy słowy łagodnemi kapłan wpłynąć na jej usposobienie, ale ona nie dała się pouczyć; szydziła tylko ze wszystkiego, co jej tylko na myśl przyszło. Nareszcie zaczęła i o mężu swym pogardliwie się wyrażać, że od czasu śmierci dziecka niem się tylko zajmuje i myśli, że głos jego słyszy. Słysząc to mąż, nie mógł już dłużej wytrzymać i rzekł w słusznem oburzeniu:

— Tak jest, słyszałem głos mego dziecka ukochanego wkrótce po jego śmierci. Mówiła do mnie: „O ojcze, ja jestem w niebie, bom po katolicku umarła. O chodź za moim przykładem“. Moje dziecko, zawołał — wznosząc oczy ku niebu, ja chcę pójść za tobą, ja chcę po katolicku umrzeć.

To rzekłszy, pochylił głowę z uszanowaniem, położył rękę na piersi i pocałował medalik Matki Bożej, który mu lekarz we flanelę zaszył i na szyi zawiesił bez wiedzy żony.

— O Maryo dopomóż mi! zawołał z nabożeństwem.

— Miej pan ufność w Maryi, mówił mu lekarz, odwiedzając go, módl się pan do Niej gorąco, Ona pana nie opuści i zaprowadzi pana do swego Syna i do dziecka pańskiego do nieba.

Kapłan upadł na kolana i obaj modlili się przez chwilę z całego serca do Matki łaski bożej.

Żona to widziała i słyszała i do głębi wzruszona, zmieniła się i już nie robiła żadnej przeszkody.

Zachęcony tą pomocą Maryi powstał kapłan i pospieszył udzielić choremu pociech religii świętej. W krótkich słowach wyłożył mu jasno naukę o Sakramencie Chrztu św. i Pokuty, o czci Świętych a osobliwie Matki Boskiej, pomógł mu roztrząsnąć sumienie, wysłuchał go spowiedzi i udzielił mu następnie chrztu pod warunkiem słowy:

— Józefie, jeźli jeszcze nie jesteś ochrzczony, ja cię chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha św.

Potem udzielił mu według przepisu biskupów angielskich i propagandy również wa-

runkowo absolucyi i pojednał go w ten sposób z Sędzią żywych i umarłych.

Jakże wielką była radość tego męża! Łaska boża wkrótce serce jego napełniła. Łzy radości i szczęścia zabłysły mu w oczach i nie przestawał ręki kapłana łzami oblewać i pocałunkami okrywać. I żona jego to widziała i w jej oku łza zabłysła.

Kapłan podziękował jej serdecznie, że nie przeszkadzała mężowi w otrzymaniu największej łaski t. j. w przyjęciu na łono Kościoła prawdziwego na łożu śmiertelnem. Ona zaś ze wzruszenia mówić nie mogła, a kapłan się pożegnał obiecując choremu, że przyjdzie znowu i resztę pociech religii św. mu udzieli.

Nazajutrz był Wielki Piątek. Zaledwie po nabożeństwie czas mu pozwolił, udał się Ojciec X. do nowonawróconego, aby mu jeszcze ostatniego namaszczenia udzielić. Jakże się zdziwił, ujrzawszy, że chory ma się daleko lepiej, choć jeszcze bardzo był słaby. Radość i niebiański spokój malowały się na jego obliczu, a nawet żona jego z radością rzekła do wchodzącego kapłana:

— O Ojcze, jakże ci muszę podziękować! Mąż mój po twych odwiedzinach tak szczęśliwy i zadowolony, że sobie tego nie mogę wytłumaczyć. Ach, dodała ze smutkiem — gdyby tylko nadzieja wyzdrowienia była! Kapłan pocieszył ją, wskazując na doczesne

i na większe jeszcze bo na nadprzyrodzone szczęście, jakie mężowi swemu sprawiła. Następnie wrócił się do chorego, aby go przygotować do przyjęcia Sakramentu ostatniego namaszczenia. Jakże żywo zabłysło jego oko, skoro mu kapłan wyjaśnił, że ostatnie namaszczenie nietylko zmywa możliwe plamy grzechowe, ale że skutkiem tego Sakramentu jest także odzyskanie zdrowia, jeżli ono posłuży do chwały bożej i do dobra chorego.

Żona, która z uwagą tej nauki słuchała, zachwycona zawołała:

— O, więc mąż mój może być jeszcze zdrowym?

— Zapewne, odrzekł kapłan — jeżli zdrowie przyczyni się do prawdziwego dobra męża i do większej chwały Bożej; bo tak nas uczy nasza katolicka wiara, a św. Jakób apostoł już pierwszych chrześcian jasno poucza, pisząc: „Choruje kto między wami, niech zawoła kapłany kościelne, a niech się nad nim modlą i pomażą olejem w imię Pańskie: a modlitwa wiary uzdrowi niemocnego, a jeżliby w grzechach był, będą mu odpuszczone.“

— O gdybym była pierwej katolicką religię z tej pocieszającej strony była poznała, nie byłabym się nią tak bardzo brzydziła.

— Dobra pani, rzekł kapłan — gdybyś pani tę świętą wiarę w całej wielkości i

wzniosłości znała, tobyś pani równie jak jej mąż gorąco pragnęła zostać katoliczką. Jeźli ją pani chcesz bliżej poznać, to gotów jestem na pani usługi po tych dniach świątecznych, w których my kapłani pracą jesteśmy obciążeni.

Czas naglił. Ojciec X. udzielił choremu wśród łez płaczącej małżonki ostatniego namaszczenia i papieskiego błogosławieństwa Benedykta XIV.

— Teraz, mój przyjacielu — rzekł kapłan uradowany, jesteś gotów: jakiekolwiek są boskie zamiary, niczego się bać nie potrzebujesz. Jeźli się Panu Bogu podoba, powrócić ci zdrowie, to zapewne z wdzięczności starać się będziesz, żyć podług zasad tej świętej religii, którą na łożu boleści poznałeś i oceniłeś, i na której łono tak cudownie zostałeś przyjęty. Jeźli zaś mądrości bożej spodoba się powołać cię do siebie, o, to ciesz się, bo cząstką twą będzie niebo! Przez papieskie błogosławieństwo, którego ci po przyjęciu św. Sakramentów udzieliłem, otrzymałeś także odpust zupełny; teraz jesteś czysty i Bogu miły, jak dziecię dopiero ochrzczone. Obym i ja i wszyscy obecni mogli tak szczęśliwą śmiercią umrzeć!

Łzy radości popłynęły z oczu umierającego. Z rozkoszą i pobożnością całował rękę kapłana, mówiąc:

— Teraz chętnie umrę! Dzięki, dzięki!

— Jeszcze większą radość jutro ci sprawię mój drogi przyjacielu, mówił dalej kapłan. Jutro podam ci Syna Bożego, naszego Pana i Boga Jezusa Chrystusa w Komunii św. jako Wiatyk. Nasz Bóg i Stwórca pragnie wnijść do serca twego pod pokorną postacią chleba, aby ci dać życie wieczne i uczynić cię uczestnikiem swej boskiej natury. Twój Zbawiciel, który za cię na krzyżu umarł, chce stać się jedno z tobą na ziemi, aby się na wieki z tobą połączyć!

— O Ojcze — przerwał chory — dzisiaj, dzisiaj jeszcze daj mi Komunię świętą; o nie czekaj Ojcze do jutra, daj mi ją zaraz!

Te słowa jak mieczem przeszyły serce kapłana, gdyż przez uszanowanie nie wziął ze sobą N. Sakramentu, bądź dlatego, że chory jak mu się zdawało, nie jest jeszcze dostatecznie przygotowany, bądź że się obawiał, aby przez niewiarę małżonki chorego Pan Jezus w N. Sakramencie nie został znieważony. Jakże więc żałował swej przezorności. Oświadczył więc choremu, żeby się uspokoił, że z pewnością jutro przyniesie mu P. Jezusa. Ale chory wciąż prosił i błagał, aby ksiądz pospieszył do kościoła i przyniósł Komunię, mówiąc:

— Ojcze, nie daj mi umrzeć bez połączenia się z Panem i Zbawicielem moim!

— Więc dobrze, uczynię co mogę, rzekł kapłan.

Wybiegł, siadł do fiakra i szybko pojechał do kościoła, przyniósł Komunię i podał ją szczęśliwemu nowonawróconemu, który ją z najczulszem nabożeństwem przyjął.

Nazajutrz w Wielką Sobotę przybył Ojciec X. znowu do chorego, aby z nim ostatnie modlitwy odmówić. Umierający był spokojny i nad wszelki wyraz szczęśliwy.

— Wkrótce będę w niebie! rzekł pełen ufności nadprzyrodzonej. Całując medalik Niepokalanie Poczętej zawołał: Tak! Marya pomogła! Bogu i tobie Ojcze dzięki! Wkrótce me dziecko i mego Odkupiciela obaczę!

W uroczystość Zmartwychwstania umarł, a dusza jego w tryumfie poszła do nieba.

A. S.

(Kath. Miss. bl. 1886).

Ojciec Moreyra.

Dnia 3 lipca 1669 roku umarł w kolegium w Eworze w Hiszpanii świątobliwy mąż O. Gaspar Moreyra Tow. Jezusowego kapłan. Prawie zawsze chory przez lat blisko 50 życia zakonnego, nigdy nie uchylał się przed żadnem cierpieniem ani pracą, jeżli chodziło o chwały Bożej pomnożenie. Ofiarował się

Panu Bogu na trudne misye afrykańskie i prosił przełożonego, aby mu pozwolił udać się do Afryki w celu nawracania pogan. Przełożony widząc oblicze jego chorobą znękane, wahał się włożyć nań tak ogromny ciężar.

— O mój Ojcze, nie bój się — odrzekł sługa Boży; nic niema dla mnie droższego i słodszego, jak żyć i umierać wśród wykonania cnoty posłuszeństwa.

Rzeczywiście udał się do Afryki, pełen radości i dopiero po 14 latach pracy powrócił do Portugalii na rozkaz przełożonego, zostawiwszy na wyspie Maderze cudowną woń gorliwości apostolskiej i świątobliwości.

Po powrocie do Portugalii, Gaspar Moreyra został wysłany do nieokrzesanych mieszkańców Uryki, i sprawił przez usilną pracę, że wśród nich zakwitły wszystkie praktyki życia chrześcijańskiego. Otóż wśród mnogich nadużyć, jakie niewiadomość i osłabienie dawnego prawa portugalskiego tamże zaprowadziły, był zabobon, że ktokolwiek przyjmie ostatnie namaszczenie, ten z pewnością umrze.

Widząc, że wszystkie jego słowa, wszystkie nauki i upomnienia są daremne, uciekł się do Boga, prosząc Go, by raczył naocznie okazać biednemu temu ludowi skutek zbawienny, jaki sprawia na ciele chorego Sa-

krament ostatniego namaszczenia. I został wysłuchany.

Pewien szlachcic, będący już w konaniu, na prośby Ojca Gaspara zgodził się na przyjęcie tego Sakramentu, który jak mawiano, był oznaką niechybnej śmierci.

Ale zaledwie Olej św. dotknął jego ciała już znikły wszelkie cierpienia, siły mu powróciły, wstał zupełnie zdrów ku wielkiemu zdziwieniu ludu.

To cudowne uzdrowienie odniosło tryumf nad szkodliwemi zabobonami, które pozbawiały chorych Sakramentu tak pocieszającego: ostatniego namaszczenia.

Podobny przykład.

Pewien młodzieniec delikatnego zdrowia, ale bardzo pobożny, Feliks N., który mieszkał w Liège r. 1886, wyjechał dla zdrowia i zamieszkał w Namur. Tu wpadł w chorobę, która go nad grobem postawiła.

Przyjaciele jego w Liège sądzili, że już nie powróci do nich. Doniesiono im, że Feliks przyjął Oleje św. a potem już żadnych nie odebrali wiadomości o nim. Tymczasem Feliks wyzdrowiał i powróciwszy do Liège, poszedł odwiedzić jednego z najszczerszych swych przyjaciół.

— Jakto? Feliksie, ty tu? — zawołał

ujrzawszy go, ależ ja sądziłem, żeś ty już umarł!

— Już miałem umrzeć — odrzekł Feliks uśmiechając się — ale ostatnie namaszczenie mnie uleczyło. Jak tylko otrzymałem ostatnie namaszczenie, choć bardzo źle się miałem, uczułem się pocieszonym a za kilka dni niebezpieczeństwo zupełnie minęło.

I rzeczywiście powrócił do zupełnego zdrowia i odtąd cieszył się bardzo czerstwem zdrowiem.

(Schouppe III. 307.).

Z życia św. Franciszka Salezego.

Ten święty biskup, wizytując swą dyecezyę, został uwiadomiony, że pewien poczciwy wieśniak pragnie otrzymać jego błogosławieństwo przed śmiercią. Natychmiast udał się do niego i obaczył starca czcigodnego już bliskiego śmierci, a jednak zupełnie przytomnego.

— Księże biskupie — rzekł starzec ujrzawszy go — błogosławię Boga, że mogę nim zamknę oczy, otrzymać twoje błogosławieństwo!

Następnie prosił o spowiedź. Wszyscy wyszli; a po spowiedzi zapytał starzec św. biskupa:

— Księże biskupie, czy ja umrę?

— Mój drogi przyjacielu — odrzekł święty

Franciszek — lekarz mógłby wam to lepiej powiedzieć jak ja.

— Ja pytam o zdanie waszej biskupiej Mości; co ksiądz biskup o tem myśli, czy ja umrę?

— Wszyscy ludzie muszą umierać, a chwila śmierci jest niepewna. Co do was, to wcale nie jest rzeczą pewną, że wasza godzina już wybiła; widziałem, że ludzie gorzej się mieli, a powrócili do zdrowia.

— Księże biskupie — odrzekł poczciwiec, proszę nie myśleć, że ja się dlatego o to pytam, jakobym się bał śmierci, przeciwnie, boję się, że nie umrę!

Święty Franciszek zdziwił się, usłyszawszy te słowa: wiedział bowiem, że pragnienie śmierci przychodzi duszom bardzo doskonałym, albo tym, które są bardzo niedoskonałe i oddają się rozpaczy.

— Więc nie żal wam życia? — zapytał biskup.

— Tak mało mi go żal, że gdyby mi Pan Bóg nie był rozkazał zostać na mem stanowisku tak długo, aż mnie zawezwie do siebie, już dawno bym je porzucił.

— Ale powiedzcie mi, dlaczego czujecie takie zniechęcenie do życia? Czyż może dolegają wam jakie tajemne cierpienia, boleści ciała, lub może straciliście majątek?

— Wcale nie; mam lat 62, i aż dotąd

cieszyłem się czerstwem zdrowiem; majątku mam aż nadto, Bóg pozwolił mi nie zaznać ubóstwa.

— Czy może macie z żoną lub dziećmi zmartwienie?

— Przeciwnie; wszystkie przyjemności, jakich sobie życzyć można; nigdy mi one najmniejszego nie sprawiły zmartwienia; i gdyby mi przykro było porzucać ten świat, byłoby to tylko dlatego, że się muszę z niemi rozłączyć.

— Zkądże pochodzić może to pragnienie śmierci?

— Księże biskupie — rzekł nakoniec starzec — słuchając słowa Bożego, tyle zawsze słyszałem cudownie pięknych rzeczy o życiu przyszłem, i o radościach niebieskich, że życie obecne zdaje mi się być prawdziwem więzieniem!

Następnie mówiąc z obfitości serca o wspaniałości nieba, o nicości dóbr i wielkości ziemskich, wypowiadał rzeczy tak cudowne i wzruszające, że święty biskup aż do łez poruszony został.

Utwierdził go więc w tych wzniosłych uczuciach, kazał mu wzbudzać akty poddania się woli Bożej w życiu i w śmierci, a potem własnoręcznie udzielił mu Sakramentu ostatniego namaszczenia.

Wkrótce potem, cnotliwy starzec umarł spokojnie, nie narzekając na żadną boleść.

Po śmierci jego twarz zachowała słodką pogodę zmięszaną z radością niebieską, jak gdyby dusza jego wychodząc z ciała zostawiła na niej odblask szczęścia wiecznego.

(Schouppe III. 311.).

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. M. Morawski T. J.

L. 1151.

POZWALAMY DRUKOWAĆ. W zastępstwie JEminencyi
(L. S.) *X. Gawroński.*
Kraków 28 Marca 1893.

Krakowie, w drukarni „Czasu" pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

VII. Ostatnie Namaszczenie.

(Dokończenie).

Ojciec Eck.

Świątobliwy kapłan, Ojciec Gustaw Eck, zakonnik Tow. Jezusowego, zmarły r. 1881 w Blyenbeck, mawiał wzdychając:

— O, jak wielu chorych wyzdrowiałoby i żyliby jeszcze długie lata, gdyby chętnie przyjmowali ostatnie namaszczenie. Niesłusznie zowią nieraz ten Sakrament, Sakramentem umierających; jest to właściwie Sakrament chorych według słów św. Jakóba: „Choruje kto między wami, niechaj wezwie kapłanów kościelnych“.

Sakrament ten jest jakoby lekarstwem Bożem, skoro środki ludzkie są bezsilne, to lekarstwo święte może jeszcze wrócić zdrowie choremu. Jako dowód tego Ojciec Eck opowiadał zdarzenie, którego był świadkiem.

— Mój przyjaciel M. Arendt — mówił — w siedm miesięcy po swem nawróceniu na

katolicką wiarę, wpadł w ciężką chorobę, a stan jego zdrowia wzbudził natychmiast słuszne obawy. Poszedłem go odwiedzić: już siły w nim ustały, nie mógł już żadnego przyjmować pokarmu i koniec życia widocznie się zbliżał. Ponieważ mu nikt nie śmiał mówić o ostatnich Sakramentach, ja jako troskliwy przyjaciel poruszyłem tę ważną kwestyę.

— Pan jesteś bardzo chory, nie prawda? Ponieważ choroba jest ciężka, czy nie chciałbyś pan przyjąć słodkich pociech religii? Pan wiesz, że nasz dobry Zbawiciel udzielił nam ŚŚ. Sakramenta, aby nas pocieszyć w tych przykrych okolicznościach.

Skoro te słowa usłyszał, ścisnął mnie za rękę i rzekł wzruszony:

— Ksiądz jesteś prawdziwym przyjacielem; tak jest, pragnę przyjąć Św. Sakramenta. Już od niejakiego czasu myślałem o tem, ale nie śmiałem pierwszy o tem mówić.

Przyjął więc wszystkie ŚŚ. Sakramenta z najżywszą pobożnością około szóstej godziny rano. Odtąd czuł znaczne polepszenie, a o godzinie jedenastej wstał i jadł z apetytem zdrowego człowieka. Siły powracały mu tak szybko, że jeszcze tego samego dnia grał ze mną w bilard a nazajutrz konno wyjechał na przechadzkę.

O, jak wielu chorych odzyskałoby zdrowie, gdyby nie zapóźno przyjmowali ostatnie namaszczenie! (Schouppe III. 306).

Śmierć św. Eleazara.

Gdy ten pobożny hrabia Ariano, mąż świętej Delfiny złożony był ostatnią bardzo bolesną chorobą, kazał sobie czytać ciągle wyjątki z męki Pana Jezusa i pobudzał się do cierpliwości żywem przedstawieniem sobie mąk Zbawiciela. Wcześnie prosił o ŚŚ. Sakramenta, a gdy po udzieleniu ostatniego namaszczenia usłyszał słowa litanii za konających: Przez krzyż i mękę Twoją wybaw nas Panie! powtórzył je trzy razy i dodał:

— Tak, Twój krzyż i męka Panie, jest nadzieją moją; w niej umrzeć pragnę.

Gdy już zbliżała się ostatnia chwila, oblicze jego przybrało wyraz surowej powagi, ale po kilku minutach zawołał:

— Tak; wielką jest potęga piekła, ale większą jest potęga Ukrzyżowanego, który piekło zwyciężył!

Zaraz potem zawołał jakby w tryumfie:

— Chwała Bogu! Teraz zupełnie zwyciężyłem!

Ostatnie jego słowa były:

— Poddaję się zupełnie sądowi miłosierdzia Bożego.

Oblicze jego się rozjaśniło, słodki uśmiech

igrał na ustach męża świętego i łagodnie i spokojnie Bogu ducha oddał.

(Lohn. Bibl. II. 421).

Bł. Marya Bagnesi

Urodziła się we Florencyi w początkach XVI wieku. Od niemowlęctwa rozwijała się w niej niezwykła pobożność, i młodziuchną jeszcze będąc, postanowiła zupełnie poświęcić się Bogu.

Zawczesna strata ukochanej matki zniewoliła ją, chociaż jej siły ledwo zezwalały na to, zająć się gospodarstwem domowem, wszelako prowadziła je z roztropnością, bardzo przewyższającą jej lata. Tak dobrze umiała z czasem się urządzać, że zatrudnienia domowe zawsze jej zostawiały niemało chwil na pobożne ćwiczenia i modlitwy.

Miała też zamiar wstąpić do klasztoru i prosiła ojca o pozwolenie na to; ale ojciec surowo jej zapowiedział, że powinna być przygotowaną do poślubienia męża, którego on dla niej wybrał. Tej wiadomości tak się przelękła święta dziewica, że chociaż dotychczas najczerstwiejszem cieszyła się zdrowiem, nagle dostała gwałtownego drżenia wszystkich członków.

Odrazu wszystkie choroby na nią się zwaliły — w ciągu lat 45 musiała znosić palące gorączki, boleści nerwowe, szarpanie w człon-

kach i najdotkliwsze męczarnie we wszystkich częściach ciała. Podczas tych długich i przykrych lat cierpienia, ośm razy przyjmowała Sakrament ostatniego namaszczenia. A skoro kielich boleści, który jej podał niebieski jej Oblubieniec, spełniła aż do dna, a słowem i przykładem nadzwyczaj wiele dobrego wśród bliźnich swoich sprawiła, umarła czytając historyę męki Pana Jezusa, spokojnie i wesoło dnia 28 Maja 1577 roku, aby stawszy się oblubienicą cierpiącego, stała się oblubienicą Zbawiciela uwielbionego.

(Z życia Bł. Maryi Bag., Szmid T. III. 196).

Pragnienie ŚŚ. Sakramentów.

Chcesz otrzymać łaskę świątobliwej śmierci, opatrzony Sakramentami? Proś o nią Boga usilnie z sercem prostem i szczerem. On ci jej udzieli, choćby miał cud zdziałać w tym celu.

Pewien misyonarz amerykański opowiadał niedawno, że około r. 1858 jeden z jego towarzyszy, ksiądz Coenen, wezwany został przez młodzieńca, aby udzielił ostatnich Sakramentów choremu, mieszkającemu o trzy mile odległości. Ponieważ się miało już ku wieczorowi, zapytał, czy rzecz jest bardzo nagła, i czy mógłby się pierw posilić, nim się uda do chorego. Młody człowiek odpo-

wiedział, że się może posilić, ale że potem natychmiast ma się udać w drogę.

Posilił się tedy naprędce, wsiadł na koń udając się w kierunku wioski, którą mu wskazano i dokąd znał doskonale drogę. Po godzinnej jeździe spostrzega, że jest na zupełnie innej drodze, której wcale nie zna. Rozglądając się na wszystkie strony, obaczył w niejakiej odległości chatę, słabem światełkiem oświeconą. Zbliża się i pyta o drogę do tej a tej wioski.

— Mój panie — powiedziano mu, pan jedzie w kierunku całkiem przeciwnym; jeszcze trzy mile drogi a pan nie zajedzie tam po nocy.

— Czy nie mógłbym tu zanocować? — zapytał misyonarz, jutro rano puszczę się w drogę.

— Chętnie się na to zgadzamy, ale pan nie będziesz mógł spać, bo my całą noc będziemy na nogach; nasz ojciec umiera.

Ksiądz Coenen chce go obaczyć. Przychodzi i widzi człowieka już konającego, ale jeszcze bez wielkiej trudności mówiącego. Zapytał go tedy, jaką wyznaje religię?

— Ja? żadnej! — odrzekł konający — bo wyznania protestanckie, które znam, wszystkie są w sprzeczności między sobą; prosiłem jednak Pana Boga, aby mi przed śmiercią dał poznać prawdziwą religię.

— Modlitwa twoja, mój przyjacielu, zo-

stała wysłuchana; ja jestem kapłanem prawdziwej religii chrześcijańskiej, t. j. tej, która posiada stolicę i klucze św. Piotra. Mam nawet ze sobą ŚŚ. Sakramenta, które Jezus Chrystus ustanowił na uświęcenie ostatnich chwil swych uczniów, gdy ten świat opuszczają.

Słowa te były dla umierającego jak słowa Anioła; natychmiast przyjął Chrzest św. i inne Sakramenta aż do ostatniego namaszczenia i umarł wkrótce pełen radości w słodkiej nadziei zbawienia.

Nazajutrz ks. Coenen udał się do wioski, do której został wezwany, ale ku wielkiemu swemu zdziwieniu, powiedziano mu, że tam niema żadnego chorego, i że nikt go nie wzywał. (Schouppe III. 314).

Misyonarz w Szkocyi.

Wkrótce po zaprowadzeniu tak zwanej reformacyi w Szkocyi w XVI wieku, jeden z misyonarzy, który objeżdżał wtenczas ów kraj w celu utwierdzenia w wierze tych katolików, którzy jeszcze wierni zostali Panu Bogu, ręką Opatrzności zaprowadzony został do łoża umierającego katolika. Jechał konno mając ze sobą N. Sakrament i Oleje święte, by udzielać tych Sakramentów chorym. Ale zabłądził wśród gór i skał i błą-

kał się aż do wieczora nie mogąc znaleźć drogi.

Puścił tedy koniowi wodze, dając mu zupełną wolność, a sam polecił się Opatrzności Boskiej. Wkrótce ujrzał światełko, przy którem obaczył chatę; skierowawszy konia w tę stronę ujrzał chatę wieśniaczą a przed drzwiami niewiastę płaczącą.

— Czego płaczecie, poczciwa kobieto?

— Ach, mój mąż umiera, a ja nie mogę znaleźć katolickiego kapłana, aby mu udzielił ostatnich Sakramentów.

Czy mogę odwiedzić waszego męża? Może bym mógł was jako pocieszyć.

I natychmiast zawiodła go kobieta do chorego, który był jeszcze zupełnie przytomny i rzekł do misyonarza:

— Mój panie, jestem katolik i mam nadzieję, że przez zasługi Jezusa Chrystusa i przyczynę Najśw. Panny otrzymam żywot wieczny. Zupełnie się zdaję na wolę Bożą: niech się dzieje wola Boża, ale smutno mi bardzo, że nie mam kapłana; a jednak prosiłem przez całe życie, abym nie umarł bez ŚŚ. Sakramentów.

— Ciesz się! mój synu; — odrzekł podróżny odsłaniając krucyfiks, który nosił na piersiach; — Bóg cię wysłuchał: oto ja jestem kapłanem katolickim.

(Schouppe III. 313).

Szczęśliwy kupiec.

Święty Franciszek Ksawery Apostoł Indyj, powróciwszy z Japonii roku 1552, udał się na wyspę Sancyano. Zastał tam wielu kupców portugalskich, zajętych handlem z Chińczykami. Między tymi kupcami był jeden bardzo bogaty i miłosierny. Nazywał się Piotr Veglio. Byłto człowiek wybornego humoru, lubiący wesołość i nie gardzący żadną przyjemnością pozwoloną; przytem bardzo przywiązany do św. Franciszka Ksawerego. Święty Franciszek namawiał go nieraz, aby czynił pokutę dobrowolną za grzechy — ale Veglio nie lubiał pokutować — za to dawał wielkie jałmużny, a Ksawery otrzymywał od niego wszelką możliwą pomoc dla potrzebujących wsparcia.

Pewnego dnia św. Franciszek potrzebując pewnej sumy, na posag dla ubogiej sieroty, która była w niebezpieczeństwie utraty cnoty, udał się podług zwyczaju do Piotra Veglio. Zastał go grającego w karty u drugiego kupca. Ponieważ sprawa była nagła, więc św. Franciszek prosił go o jałmużnę.

— Ojcze Franciszku — rzekł kupiec udając zagniewanego — kiedy człowiek przegrywa, nie jest w stanie dawać; a choć jesteś człowiek roztropny, wybrałeś czas wcale niestosowny.

Św. Franciszek odpowiadając w tym samym tonie rzekł:

— Do czynienia dobrze czas zawsze stosowny, a najstosowniejszy wtenczas kiedy się ma pieniądze w ręku, jako ty teraz.

Kupiec, udając, że go to nudzi, aby się niby pozbyć Franciszka, rzecze:

— Masz klucz od mego kuferka; jeżli chcesz bierz wszystko, tylko daj mi czysty pokój!

W kufrze było 45 tysięcy talarów w złocie; Św. Franciszek wziął 300, bo tyle wystarczało na posag dla sieroty.

Po niejakim czasie Veglio licząc pieniądze, znalazł całą sumę nietkniętą; a myśląc że Ksawery nie wziął nic, czynił mu wyrzuty.

Św. Franciszek zapewniał go, że wziął 300 talarów.

— Przysięgam ci — odparł Veglio — że nic nie brakowało. Niech ci Pan Bóg przebaczy — rzekł dalej — moim zamiarem było podzielić się z tobą całą sumą i spodziewałem się, że z 45.000 talarów przynajmniej połowę weźmiesz.

Zachwycony tak wspaniałomyślną miłością, i jakby Duchem św. natchniony, rzekł św. Franciszek do Piotra:

— Piotrze, chęć spełnienia dobrego uczynku, którą miałeś, jest już dobrym uczynkiem w oczach tego, który patrzy na serca

ludzkie. On sam ci to policzy, a to co dać chciałeś, kiedyś stokrotnie ci będzie oddane, właśnie dlatego żeś chciał dać. Tymczasem odpowiadam ci w Jego imieniu, że na dobrach doczesnych ci nie zbędzie i że jeżli wpadniesz w kłopoty pieniężne, twoi przyjaciele ci dopomogą. I owszem jeszcze więcej ci powiem, że nie umrzesz, aż ci Bóg oznajmi dzień śmierci.

Po tych przepowiedniach Veglio, jakby w innego zmieniony człowieka, oddał się jedynie ćwiczeniom pobożności, i w stanie kupieckim żył jakby zakonnik. To co mu św. Franciszek powiedział o wiadomości dnia śmierci, często mu przychodziło na pamięć, dlatego zapytał raz św. Franciszka, kiedy i w jaki sposób dowie się o dniu swej śmierci.

Św. Franciszek bez wahania zaraz mu odpowiedział:

— Skoro ci wino zdawać się będzie gorzkie, gotuj się na śmierć i wiedz, że tylko jeden dzień życia ci pozostaje.

Kupiec żył w dostatku i świetności aż do zgrzybiałej starości. Raz będąc na pewnej biesiadzie, weselszy jak zwykle, skosztował wina i zdawało mu się gorzkie. Natychmiast wspomniawszy sobie na przepowiednię św. Franciszka, uczuł skrytą trwogę, która z duszy przejawiła się w ciele, jak gdyby obraz śmierci oczom jego się przedstawił.

Pomimo to ochłonąwszy nieco ze strachu, aby się lepiej upewnić, prosił tych co z nim siedzieli przy stole, aby z jego kielicha skosztowali wina. Wszyscy wyznali, że wino jest wyborne, tylko jemu wydało się ono gorzkiem, choć kilka razy pić próbował. Kazał sobie tedy przynieść innego wina w innym kielichu, ale i teraz czuł tęsamą gorycz.

Więc nie wątpiąc, że już ostatnia godzina jego wybiła, uczyniwszy w sercu ofiarę z życia Bogu, opowiedział zebranym gościom przepowiednię która się spełniła i wstał od stołu jako chrześcijanin, który tylko o śmierci myśli.

Podzieliwszy cały majątek między dzieci i ubogich, poszedł do swych przyjaciół się pożegnać. Mimo wieku sędziwego był zdrów zupełnie. Myślano, że starość osłabiła jego rozum, dlatego chciano mu wybić z głowy te czarne myśli. Ale on nikomu nie wierząc sam rozporządził pogrzebem swoim i zaprosił przyjaciół, by mu oddali ostatnią przysługę. By go zadowolnić i wyśmiać, wszyscy się udali do kościoła. W ich obecności przyjął N. Sakrament i ostatnie namaszczenie, następnie kazał odprawić Mszę śpiewaną za umarłych i położył się do trumny.

Lud tłumnie przybiegł na wieść o takim dziwnym wypadku, jedni zwabieni nowością niezwykłego widowiska, inni, aby na własne

oczy przekonać się o prawdziwości przepowiedni św. Franciszka.

Po Mszy św. kapłan w asystencyi służących spełnił wszystkie ceremonie Kościoła na około trumny, w której leżał p. Veglio. Ten na wszystkie modlitwy odpowiadał z trumny. Skończyło się nabożeństwo. Służący pana Veglio przystąpił do trumny, by go ztamtąd wyjąć, ale znalazł pana — martwym. Wszyscy byli świadkami tego zdarzenia i powracając do domu podziwiali miłosierdzie Boże ku kupcowi tak miłosiernemu i błogosławili pamięć Apostoła Indyi. (Schouppe III, 318).

Śmierć św. Jana Berchmansa T. J.

W lecie roku 1621 wyraził się dnia jednego św. Jan Berchmans wobec pewnego kapłana Towarz. Jezusowego, że od niejakiego czasu czuje niezwykłe zniechęcenie i wstręt do życia i że mu się zdaje, jakoby już dość długo żył na świecie.

— I w samej rzeczy — zawołał — gdyby mi P. Bóg wkrótce dał znak do podróży, byłbym zadowolniony.

W kilka dni potem rzekł do Ojca Savignano, profesora w kolegium rzymskiem:

— Ojcze, nie uwierzysz, jakie czuję pragnienie, aby mnie śmierć z moim Bogiem doskonale połączyła!

— Ależ mój kochany bracie — odparł

Ojciec Savignano, czyż czujesz się tak doskonale przygotowanym do okazania się przed Bogiem, że w tobie śmierć żadnej trwogi nie wzbudza?

— Zapewne, że nie jestem tak gotów na śmierć, jakbym powinien — odrzekł Jan, i chciałbym przedtem jeszcze ośmiodniowe rekolekcye odprawić, ale i tak chętniebym umarł.

I istotnie ostatniemi czasy tylko ciałem żył Jan na ziemi; duch jego prawie ciągle zatopiony był w Bogu i pragnieniu połączenia się z Nim. Nieraz słyszano jak mówił:

— Ach, jakże pałam miłością, aby więzy, co mnie do ciała przykuwają, raz przecie potargane zostały! Zresztą wszystko jak Bóg chce!

Bez wątpienia sam P. Bóg takie tęskne pragnienie wzbudzić w nim raczył.

Gdy dnia 31 lipca na obrazku patrona miesięcznego, który mu na sierpień się dostał, przeczytał te słowa: „Czuwajcie i módlcie się, bo nie wiecie ani dnia ani godziny“, był pewny, że Bóg pragnienie jego spełni, i że koniec życia jego się zbliża. W tym samym czasie wyraził się także wobec Ojca Piccolomini, któremu tę łaskę nieba jako wesołą nowinę oznajmił.

Dnia 5 sierpnia 1621 w uroczystość Matki Boskiej Śnieżnej, sądził Jan, że mu grozi wybuch krwi, ale niebezpieczeństwo pozorne

minęło, tak, że jeszcze tego samego dnia mógł z drugimi udać się na willę, gdzie cały dzień wesoło i swobodnie spędził w gronie współbraci, jak to zwykle czynił.

Nazajutrz 6 sierpnia miała się odbyć uroczysta dysputa teologiczna w kolegium greckiem. Na kilka godzin przed dysputą, jeden doktor teologii, który miał być głównym obrońcą w tejże, dla jakiejś przyczyny przeprosił, że nie może w niej wziąść udziału. W tej potrzebie udano się do profesora filozofii w kolegium rzymskiem. Ten zaś nie znał zdolniejszego nad Berchmansa, któryby acz nieprzygotowany, mógł zastąpić z honorem miejsce uczonego doktora. Walka uczona toczyła się żywo. Jan Berchmans rozwinął taką bystrość umysłu połączoną z tak wdzięczną skromnością, że przeciw zwyczajowi dobrą godzinę ku zdumieniu i zbudowaniu wszystkich, kazano mu dowody przedkładać. Ale natężenie, przy takich upałach, jakie w onczas w Rzymie panują, taką mu gorączkę sprawiło, że całą następną noc oka zmrużyć nie mógł.

Gdy następującego dnia około 3 po południu, znowu mu się niedobrze zrobiło, podług reguły dał o tem znać przełożonemu. Ten zaś posłał go do infirmarza, który mu polecił do łóżka się położyć. Gdy go wieczór O. Piccolomini odwiedził, zawołał Jan uśmiechając się:

— No mój Ojcze, nie mówiłem? „Czuwajcie i módlcie się, bo nie wiecie ani dnia ani godziny?“

Nazajutrz w niedzielę podał mu kapłan Komunię św.; po niejakim czasie przyszedł lekarz, gorączka minęła i nie spostrzeżono żadnego niebezpieczeństwa. Cały więc dzień bracia zakonni odwiedzali go, a on z nimi wesoło o rzeczach świętych rozmawiał. Kilka dni przedtem wybuchła w Rzymie zaraza, dlatego przełożeni wydali rozkaz, aby przy odwiedzaniu chorych trzymano się w pewnej odległości. Tym co Berchmansa odwiedzali, nie przyszło na myśl, żeby jego choroba była zaraźliwa. Ale on dobrze sobie spamiętał ostrzeżenie ks. Rektora; jeźli więc który chciał się więcej doń zbliżyć, zawołał z uśmiechem:

— Tylko nie za blisko; tylko nie za blisko; wszak brat nie wie, czy i moja choroba nie jest zaraźliwa.

Wieczór odnowiła się gorączka z nową gwałtownością. Gdy dnia następnego t. j. 9 sierpnia lekarz spostrzegł wzmaganie się choroby, zapisał mu lekarstwo. Jan zażył, przeżegnawszy się wpierw krzyżem św. i rzekł potem do Ojca, który obok niego siedział:

— Teraz mój Ojcze już po obiedzie, trzeba więc modlitwę dziękczynną zmówić; czy nie pomógłby mi Ojciec razem ją odmówić? Ojciec odmówił z nim naprzemian modlitwę

poobiednią. Wieczór znowu się febra powtórzyła. A Jan cieszył się myślą, że nazajutrz jako w dzień św. Wawrzyńca przyjmie wraz z braćmi Komunię. Ale gdy mu braciszek od chorych zrobił uwagę, że niema wprawdzie zwyczaju w dnie powszednie udzielać chorym Komunii, ale że chętnie poprosi dlań o pozwolenie przełożonego, odrzekł prędko Jan:

— Nie, nie, proszę tego nie robić, trzymajmy się zwyczaju!

Po kilku chwilach znowu zawołał braciszka.

— Proszę cię, bracie — staraj się o to, aby pokój jak długo chory jestem, był dobrze przewietrzany i aby wszystko było czyściutkie i porządne; niech się brat nie boi zrobić mi przezto przykrość; byłoby mi bardzo bolesno, gdyby bracia którzy mnie łaskawie odwiedzać raczą, z mej przyczyny jak najmniejszej doznali nieprzyjemności.

Noc z 9 na 10 sierpnia była przykra. Chory był z rana bardzo osłabiony. Lekarz orzekł, że są początki zapalenia płuc. Gdy ks. Rektor zapytał Jana wieczorem, czyby mu z trudnością przyszło, gdyby go P. Bóg za kilka dni do siebie powołał, odrzekł Berchmans wesoło:

— Wcale nie, mój Ojcze, tego bym tylko żałował, że przez moją śmierć przełożeni mej prowincyi mogliby się odstraszyć od wy-

syłania młodych scholastyków do Rzymu. Co się tyczy mojej osoby, to zdaję się zupełnie na wolę Bożą; jeżli mam powiedzieć, co myślę i czuję, to muszę wyznać, że wolałbym pójść do nieba!

Przełożony polecił braciszkowi, by Jana w nocy nie zostawiał samego. Jan chciał spać, ale nie mógł. O północy zauważył braciszek nagłą zmianę w jego rysach; zbadał puls i spostrzegł, że jest bardzo słaby, tak iż się zaczął obawiać i wspomniał mu o Wiatyku. Gdy Berchmans to słowo „Wiatyk“ usłyszał, porwał się szybko z łoża, uściskał z radością braciszka, a gdy go obaczył płaczącego, rzekł doń:

— Cóż to mój bracie, co robisz? Ty płaczesz? Ciesz się ze mną! o szczęśliwa nowino, jaką mi przyniosłeś! odwagi, odwagi, czas nagli, pomóż mi, ale wesoło się gotujmy: bo nie mogłeś mi doprawdy weselszej zwiastować nowiny.

Następnie milczał na chwilę, potem prosił o krucyfiks i zaczął w najtkliwszych wyrazach rozmawiać ze Zbawicielem. Tylko gdy go braciszek napomniał, miarkował swe uczucia i był spokojniejszy. Koło pierwszej po północy rzekł do brata:

Czy nie napisałbyś mi kilka słów? Ja ci podyktuję.

Treścią tego pisma była prośba o przebaczenie przełożonego i braci wraz z życze-

niem, aby go położono na ziemi i aby w obecności współbraci mógł przyjąć św. Wiatyk; aby jeden z braci w jego imieniu wszystkich innych braci mógł uściskać, jak to jest zwyczajem w towarzystwie, kiedy kto udaje się w daleką podróż, wreszcie aby mu pozwolono umrzeć w sukni towarzystwa ubranemu.

Po niejakim odpoczynku i modlitwie do Zbawiciela, nagle znowu zawołał braciszka, chciał jak najprędzej mówić z O. Rektorem. Była druga po północy. X. Rektor natychmiast przyszedł. Berchmans przepraszał, że mu przerwał spoczynek i wyraził życzenie, zawczasu odprawić spowiedź, i zapytał, czy się ma spowiadać z całego czasu w Rzymie spędzonego; oświadczył X. Rektor, że nie ma potrzeby. Po spowiedzi rozmawiał jeszcze z Rektorem przez niejaki czas o radości jaką czuje, że wkrótce już umrze.

Braciszek podał O. Rektorowi na piśmie wyrażone życzenia chorego, który chętnie na wszystko pozwolił. Gdy zaś X. Rektor wyszedł, o to się tylko troszczył, aby wszystko do przyjęcia ŚŚ. Sakramentów było dobrze przygotowane i uporządkowane, jak przystoi na tak świętą czynność. Było to 11 sierpnia.

Wkrótce po 4 godzinie zrana przyszedł doń O. Kornel a Lapide, jego ziomek. Ponieważ się bardzo dobrze znali, zapytał go

O. Kornel, czy nie czuje jakiego niepokoju lub trwogi. Na to pytanie pełen radości i pokoju odrzekł Berchmans z uśmiechem:

— O nie, mój Ojcze, wcale nie. Tylko prosiłbym Ojca podać mi wody, bym się mógł umyć, bo wkrótce święte Sakramenta mam przyjąć.

Skoro się umył, przyszedł przełożony z Najświętszym Sakramentem, w towarzystwie całego zgromadzenia. Gdy Berchmans sam donośnym głosem zmówił Confiteor, rzekł jakby z wyższego natchnienia te słowa:

— Wyznaję, że tu przedemną obecny jest jednorodzony Syn Boga, wszechmocnego Ojca i Najśw. Dziewicy Maryi. Oświadczam, że żyć i umierać pragnę jako prawdziwy syn mojej świętej matki, rzymsko-katolickiego Kościoła; oświadczam, że żyć i umierać pragnę jako prawdziwy syn Najśw. Panny Maryi; oświadczam, że żyć i umierać pragnę, jako prawdziwy syn Tow. Jezusowego.

Przy tej niespodzianej, uroczystej scenie wszyscy byli zdumieni; ale skoro ukochany ich brat przyjmował ostatnie namaszczenie, niebyło nikogo między nimi, coby łez nie wylewał tak, iż sam Berchmans silnym i nieustraszonym głosem kapłanowi odpowiadał a podczas gdy całe otoczenie płakało, on sam jaśniał najsłodszą nadzieją nieba!

Po spełnieniu tej świętej czynności, X. Re-

ktor zapytał chorego, czy sobie życzy przemówić do obecnych, Jan odrzekł:

— Więc proszę z łaski swej wszystkim powiedzieć, że moją najsłodszą pociechę w tej chwili stanowi to, iż podczas całego życia mego zakonnego nigdy dobrowolnego grzechu powszedniego nie popełniłem, i nigdy żadnej reguły ani przepisu z świadomością nie przekroczyłem.

Wkrótce potem X. Rektor poszedł odprawić Mszę św., a przy chorym zostawił Ojca Piccolomini. Jan rzekł do niego:

— O. Rektor pasuje się z P. Bogiem jak Jakób. A później jeszcze dwa razy powtórzył:

— O. Rektor pasuje się z P. Bogiem, ale nie zwycięży; boję się tylko, by się nie opierał woli Bożej.

Później wyznał O. Rektor, że właśnie wtenczas bardzo usilnie prosił P. Boga, o zachowanie Jana przy życiu.

W tenże dzień odwiedził go O. Generał Vitelleschi, który go pobłogosławił i do odwagi zachęcał. Wieczorem kazał sobie przeczytać śmierć św. Alojzego. Gdy przyszło do miejsca, jak Alojzy na wieść o śmierci zaintonował: Te Deum laudamus, i on zaczął odmawiać ten hymn dziękczynny, otaczający pomagali mu.

Brat infirmarz zauważył, że koniec się zbliża, Jan prosił by mu podano krucyfiks. Wziął go w lewą rękę, podczas gdy prawą

wziął różaniec, który miał na szyi zawieszony.

— I reguły, co tam leżą — dodał — proszę mi podać!

Wziął tedy książeczkę reguł, złożył na niej krucyfiks, a potem oboje obwinął różańcem, przycisnął te trzy rzeczy z tkliwością do serca i rzekł:

— To są moje najdroższe na tym świecie przedmioty; z niemi chętnie umieram.

Potem je pocałował, przycisnął do serca i znowu ucałował.

We czwartek rano 12 sierpnia około 3 rano rzekł do brata infirmarza:

Ksiądz Rektor wszelkich możliwych środków używa, by mnie dla naszej prowincyi zachować, ale daremnie.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy O. Rektor przyszedł. Wywiedziawszy się o stanie zdrowia chorego, rzekł do Berchmansa:

— Nakazuję ci, abyś Pana Boga o uzdrowienie prosił, jeźli to będzie ku większej chwale Jego!

Potem się oddalił. Berchmans usłuchał i modlił się, a gdy Ojciec Rektor powrócił, wyraził swe zadowolenie z posłuszeństwa chorego. W ciągu dnia pragnęli wszyscy domownicy świętego brata swego jeszcze raz obaczyć i z nim pomówić, albo jaką pobożną naukę z ust jego usłyszeć. Zrazu X. Rektor zakazał wszystkich odwiedzin, by cho-

rego nie znużyć; ale na prośbę chorego cofnął swój zakaz.

Każdemu zatem dał osobne wskazówki, ale prawie wszystkim polecił, aby Maryę czcili jako matkę. Jednemu z braci, z którym mało miał styczności, stanowczo przepowiedział, że się wkrótce obaczą. Nie długo po śmierci Berchmansa i tego brata zdjęła choroba a po nie wielu dniach i on świątobliwie umarł na temsamem łożu, na którem umarł Berchmans.

Liczne odwiedziny i objawy czci ze strony Ojców i braci napełniały X. Rektora trwogą, aby Berchmans nie popadł w próżność, dlatego zwrócił mu uwagę, aby się dobrze uzbroił przeciw pokusom niewiary i próżności. Berchmans odrzekł, że dosyć jest silnym w wierze, a od próżności dawno się już odzwyczaił.

Tak był skromny, że kołdrę zawsze aż do twarzy podsuwał i jednego z Ojców umyślnie o to prosił, aby mu tę przysługę wyświadczał, gdyby już sam nie mógł tego uczynić.

Gdy nadszedł czas spoczynku, prosił tego samego Ojca aby go nie opuszczał, gdyż tej nocy nadejdzie stanowcza chwila; że nastąpi zacięta walka, którą z nim szatan stoczy.

Kilku Ojców otrzymało pozwolenie módz przy nim nocować; innym, którzy wyjść musieli, dał zapewnienie, że przy jego śmierci

będą obecni. Nadto stanowczo przepowiedział, że jeszcze w ostatniej chwili władzę mówienia mieć będzie. Oboje spełniło się dokładnie.

O godzinie 10-tej w nocy prosił Jan obecnych, aby zaczęli odmawiać modlitwy za konających, z osobliwszą gorącością wzywał Świętych Towarzystwa Jezusowego. Potem zaczął dźwięcznym i wesołym głosem śpiewać hymn: „Gwiazdo morza“. Przy tej strofie: „Matko litościwa“ ustał nagle, podniósł się i zawołał:

— Módlcie się Ojcowie, najazd złych duchów już niedaleki — ja się boję!

Ojcowie dodawali mu otuchy i uspokoił się. Ojciec Alegambe mówił z nim o miłości ku Maryi a Berchmans oświadczył, że gdyby miał tysiąc serc, tysiącem serc kochałby Maryę. O północy nagle i szybko podniósł się z łóżka; wzrok jego był ku górze zwrócony, usta mu drżały, oblicze jego wyrażało przerażenie, a on głosem serce rozdzierającym zawołał:

— Nie, nie, tego nie uczynię! O Panie Ciebie obrazić? O Maryo, nie, ja Twego Syna nie obrażę! Niech mnie Bóg uchowa od takiego nieszczęścia! Raczej umrzeć! Tak, lepiej tysiąc razy umrzeć, sto tysięcy razy, milion razy umrzeć!

I długo jeszcze powtarzał: milion razy umrzeć, milion razy umrzeć! Wszyscy upadli

na kolana i zaczęli się modlić. Naraz chory obrócił się ku ścianie i pełen odwagi i stanowczości zawołał:

— Ah, szatanie idź precz!

Potem wziął krucyfiks, różaniec, reguły i relikwiarz i pokazując je niewidzialnemu wrogowi, rzekł:

— To jest broń!

Przyglądając się tym przedmiotom, rzekł do siebie:

— Czegóż miałbym się bać! Ten krzyż zwyciężył piekło! Różaniec: Matka-Dziewica starła łeb smokowi! Moje reguły: one są na to, by królestwo szatana zniszczyć — te relikwie: Święci tryumf nad szatanem odnieśli!

Położył krucyfiks i relikwie obok siebie, zawiesił różaniec na szyi i zaczął w książeczce reguł kartki przewracać. Czytał tylko tytuły, ale gdy przyszedł do formułki ślubów, odmówił ją głośno i pobożnie. Ojciec Gravita zaczął litanię o Matce Boskiej, Berchmans odpowiadał silnym głosem, trzymając krucyfiks w ręku. Przy słowach: „Baranku Boży“ może ze 30 razy powtarzał słowa:

— Przebacz mi Panie, przebacz mi Panie!

O drugiej godzinie puls znacznie osłabł. X. Rektor wzbudzał z chorym akty wiary, nadziei i miłości i polecił mu mówić te słowa: „Gotowe serce moje, Panie, gotowe serce moje“. Berchmans powtarzał je cicho; mó-

wić już nie mógł. Otrzymawszy jeszcze raz rozgrzeszenie, trzymając najdroższe swe przedmioty w ręku, poruszał ustami, co dowodziło, iż się łączył w modlitwie z otaczającymi go. Często silił się na to, aby krucyfiks do ust przytulić, ale już nie mógł bez pomocy; całował go jak najczulej.

Z ciekawością oczekiwano, czy też spełni się jego zapewnienie, że jeszcze w ostatniej chwili mówić będzie. O 5-tej godzinie zauważył O. Piccolomini, że Berchmans bardzo szybko usta porusza. Nachylił się doń i pytał, czego żąda.

— Ach chciałbym mówić, rzekł cichym głosem.

— To wymawiaj sercem najświętsze imię Jezus — odrzekł Ojciec.

Berchmans wszystkie swe siły zebrał i zawołał dwakroć głośno: Jezus, Jezus!

O szóstej rzekł doń O. Rektor:

— Teraz, mój synu, muszę Mszę św. odprawić. Ale strzeż się, byś przed moim powrotem nie umarł.

Berchmans uśmiechnął się i rzekł z radością:

— Dobrze, dobrze, mój Ojcze, ja poczekam.

Zaledwie O. Rektor wyszedł, już znowu walka się poczęła. Ale aktem posłuszeństwa względem Ojca Grassi, który mu w głos akty wiary, nadziei i miłości poddawał i

zakazał o czem innem myśleć, został wróg pobity; dawna wesołość powróciła.

Po Mszy X. Rektor przyszedł i zaczęto odmawiać litanię do wszystkich Świętych. Berchmans na wszystkie wezwania odpowiadał wyraźnie; przy litanii do N. Panny jedno wezwanie opuszczono — on go nie opuścił.

Po ósmej utkwił wzrok swój w krucyfiks, który trzymał w ręku. Potem wezwał słodkie Imiona Jezus i Marya, a piękna dusza jego opuściła śmiertelną powłokę, aby na wieki z Bogiem i Maryą się połączyć. Było to w piątek 13 sierpnia 1621. Berchmans żył lat 22 i 5 miesięcy. Z tych 5 lat w zakonie, 5 lat w gimnazyum, 5 lat w szkole elementarnej w domu. Imię jego nieśmiertelne, bo zapisany jest w księdze żywota.

(O. Hausherr S. J. Mainz. Die drei Jugendpatrone).

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

Nie zawiera nic przeciw wierze i obyczajom.

X. Władysław Długołęcki T. J.

L. 1492.

POZWALAMY DRUKOWAĆ. W zastępstwie JEminencyi

(L. S.) *X. Gawroński.*

Kraków 14 Kwietnia 1893.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ pod zarz. J. Łakocińskiego.
Nakładem X. Michała Mycielskiego T. J.

Spis rzeczy tomu piątego.

III. Ciało i Krew Pańska.

D. Msza święta. (Dokończenie). Str.

Osobliwsza Msza 3
Skuteczność Mszy św. 7

O czci Serca P. Jezusa.

Błogosławiona Małgorzata Alacoque 11
„Nikt nie umarł“ 29
Oblubienica Serca Jezusa 33
Garcia Moreno 37
Najlepsza cześć Serca Jezusa 45
Skarbniczka Boskiego Serca Jezusa 48
Poświęcenie miasta i dyecezyi Amiens Boskiemu Sercu Jezusa 52
Z Dalmacyi 58
Serce Jezusa miłosierdzia pełne 63
Serce Jezusa wśród żołnierzy 65
Z Węgier 76
Ze Szląska 78
Śmierć szczęśliwa 80
Morze nieprzebranego miłosierdzia 83

Str

IV. Pokuta.

Niezwykłe nawrócenie 91
Poncyusz de Lavèze 95
Ksiądz de la Mothe 97
Szczera spowiedź 98
Pokuta? Co to jest? 100
Cesarz pokutnik 106
Pyszny krawiec 108
Mała pokuta 110
Nawrócenie masona 112
Dusza ocalona 119
Oberżysta z Dijon 129
Dwaj koledzy 131
Wyznanie kapłana-apostaty 139
Przed spowiedzią przebacz 142
Spowiedź w loży masońskiej 146
Odwołanie 161
Tajemnica galernika 166
Zadośćuczynienie 169
Z Ameryki 171
Restytucya 173
Nieszczera spowiedź 176
Z życia św. Antonina 178
Marta z Limy 180
Komendant Coué 182
Na łożu śmiertelnem znaleziona 183

Sekret spowiedzi.

Car Paweł I. i ks. Pinguelli 189
Heroizm kapłana 193
Ojciec Marielux 208
Ksiądz Kobyłowicz 212
Inne przykłady 214
Wierny aż do śmierci 218

Str.

O odpuście.

„Czemu nam tego nie powiedziano?“ . . . 225

V. Kapłaństwo.

Alegorya 230
Dobry pasterz 233
Mężny proboszcz 235
Co za miłość! 239
Obrońca kapłanów 241
Ksiądz Piotr Brassier 245
Stój! aresztuję cię! 247

VI. Małżeństwo.

Starodawny obraz chrześcijańskiego małżeństwa 250
Święta Monika 251
Św. Elżbieta, królowa 255
Święty Gomer 257
Budujące wesele 259
Gilbert i Matylda 261
Św. Eleazar i św. Delfina 267
Święta Joanna Franciszka 270
Z życia św. Franciszka Salezego 274
Roztropność dziewicy 278
Cnotliwy lekarz 280
Najskuteczniejszy środek 282
Co może dobra żona? 284
Święty Franciszek Borgiasz 289
Która z nich najszczęśliwsza? 292
Uboga oblubienica 294
Dziwna zmiana 301
Co ja też zgubiłem? 304
Smutne przykłady 308
Małżeństwo mięszane 315
Małżeństwo mięszane 321

Str.

VII. Ostatnie Namaszczenie 326

Ostatnie życzenia na ziemi 328
Słowo arcypasterskie 330
„Teraz chętnie umieram!“ 333
Ojciec Moreyra 346
Podobny przykład 348
Z życia św. Franciszka Salezego 349
Ojciec Eck 253
Śmierć św. Eleazara 355
Bł. Marya Bagnesi 356
Pragnienie św. Sakramentów 357
Misyonarz w Szkocyi 359
Szczęśliwy kupiec 361
Śmierć św. Jana Berchmansa T. J. 365